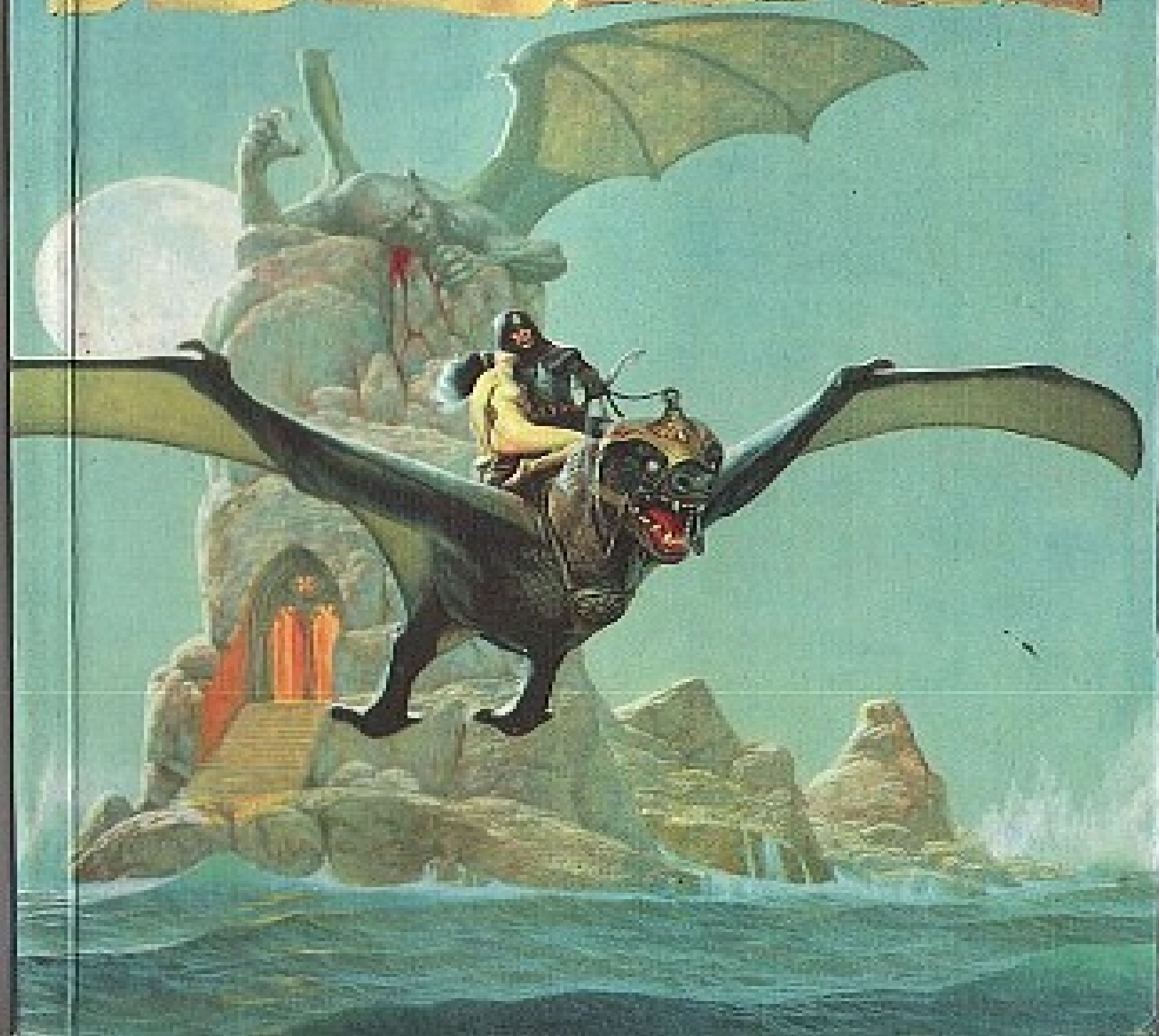


Fantasy

HANNES BOK

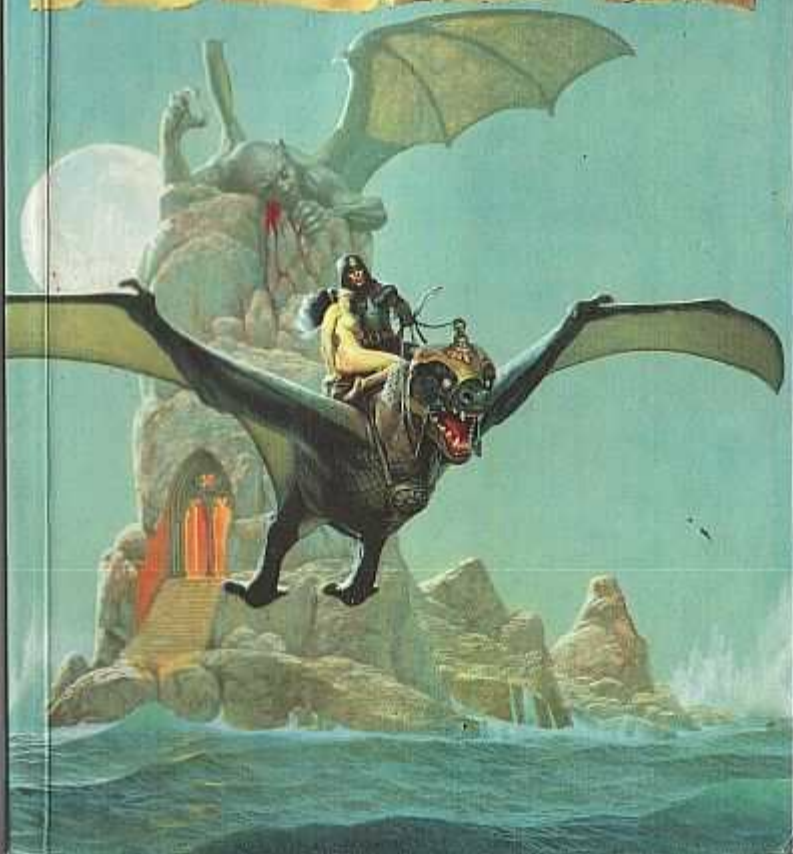
**Statek  
czarnoksiężnika**



Fantasy

HANNES BOK

**Statek  
czarnoksiężnika**





# STATEK

## CZARNOKSIEŻNIKA

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SORCERER'S SHIP

PRZEKŁAD: BOGUMIŁA NAWROT

WYDAWNICTWO „ALFA” WARSZAWA 1993

### *O Statku czarnoksiężnika i Hannesie Boku: Podróż do krainy czarów*

Hannes Bok był najcudowniejszym człowiekiem jakiego kiedykolwiek znałem; zażywny, wesoły psotnik, zawsze promiennie uśmiechnięty, z figlarnym błyskiem w niebieskich oczach i zmierzwionymi siwymi włosami, opadającymi na czoło. Przyjaciele nazywali go

„Pustelnikiem z Ulicy Zachodniej nr 109”, ale jego małe mieszkanie przypominało raczej siedzibę czarnoksiężnika. Wzdłuż ścian stały skrzynki po pomarańczach, wypełnione książkami i albumami płytowymi, małe lampki choinkowe umieszczone wokół drzwi świeciły jak oczy chochlików, przy wyjściu pożarowym znajdowały się pojemniki z ziołami, kwiatami i roślinami, ale przede wszystkim – wszędzie wisiało pełno obrazów. Zajmowały każdy wolny skrawek ściany, przyciągając wzrok niesamowitymi barwami, wibrującymi postaciami o drwiącym spojrzeniu skośnych oczu, groteskowymi i komicznymi potworami czy gigantycznymi pałacami o tysiącu wież; były jak magiczne okna na dziwne i cudowne światy. Kiedy chodziło się do Hannesa z wizytą – stawał przed gościem filiżankę aromatycznej, gorzkiej kawy i włączał magnetofon z muzyką na przykład z *King Konga* czy *Złodzieja z Bagdadu*.

Następnie siadał za wielkim biurkiem i wyciągał z metalowego pudła kartkę z nazwiskiem odwiedzającego. Na kartce tej był horoskop, sporządzony własnoręcznie przez Hannesa, zafascynowanego astrologią, której – jeśli można tak powiedzieć i – był gorliwym zwolennikiem.

Z muzyką Maxa Steinera czy Mikłosa Rozsa w tle Hannes zaczynał snuć swą opowieść. Był

jednym z największych gawędziarzy na świecie. Omawiał twoje wszystkie przeżycia – od waszego ostatniego spotkania (zgodnie z tym, co wyczytał w gwiazdach), a potem przepowiadał, co cię czeka w przyszłości. Rytuał taki obowiązywał w stosunku do każdego gościa, nawet tak obojętnego wobec astrologii, jak ja.

Załatwiwszy się z gwiazdnymi sprawami, Hannes przechodził do innych tematów. Interesował się niezwykle wieloma problemami i wystarczyło jedno słowo zachęty, by cały wieczór i pół nocy rozprawiał o jakimś zagadnieniu. Na przykład był wyjątkowym miłośnikiem Maxfielda Parrisha. Parrish, amerykański ilustrator i twórca kalendarzy, niezmiernie popularny w latach dwudziestych, był guru i nauczycielem Boka. Hannes jako artysta czerpał wiele z jego stylu – romantyczne bogactwo oraz kolory; obrazów wywodzą się wprost z prac Parrisha, którego ilustracje książkowe i ryciny Bok kolekcjonował. Był również gorącym wielbicielem Maxa Steinera, znał każdy film, do którego

Steiner napisał muzyką i potrafił zanucić motywy przewodnie. Poza tym był ogromnym entuzjastą twórczości A. Merritta, korespondo-wał z wdową po nim i pod koniec lat czterdziestych skorzystał z okazji i dokończył dwie powieści, które Merritt rozpoczął: *The Fox Woman* i *The Black Wheel*. Artystę bardzo interesowała również mitologia orientalna, zaginione cywilizacje, jak Atlantyda czy MU, okultyzm, magia, telepatia i inne zjawiska nadprzyrodzone, poza tym prace W.T. Benda, współczesnego mistrza masek, oraz... koty.

Gdy Hannes mówił, to dosłownie tryskał zapałem i radosnym podnieceniem. Słowa pły-nęły, potykając się jedno o drugie, a on wiercił się i podrygiwał na kuchennym stołku, przeskakując z tematu na temat tylko na zasadzie luźnych skojarzeń, opowiadając anegdoty o swych starych, dobrych znajomych – Rayu Bradburym, Emilu Petaji, Franku Dietzu; wspomi-nając swoje spotkanie z Borisem Dolgovem na wystawie sztuki w Greenwich Village wiele lat temu, gdy obaj byli jeszcze młodymi artystami, walczącymi o uznanie; przytaczając weso-

łe historyjki o tym, jak sprzedawał swoje ilustracje do *Weird Tales* i *Famous Fantastic Mysteries*. Kiedy mówił, był w ciągłym ruchu, bawił się machinalnie papierosem, wybiegał

po dodatkową filiżankę kawy lub zmieniał taśmę w magnetofonie.

Mówiąc krótko – był cudownym facetem o chłopięcym usposobieniu. Lubił płatać psikusy, był bezgranicznym optymistą, pełnym entuzjazmu, ciepło i przyjaźnie nastawionym wobec świata – absolutnie wyjątkowym człowiekiem.

Hannes urodził się w Minnesocie 2 lipca 1914 roku, ale pierwsze lata życia spędził

głównie w Seattle. Tak oczarowały go ilustracje *science fiction* Franka R. Paula, pioniera tego rodzaju twórczości, że już jako chłopiec postanowił zostać artystą. Szybko został członkiem grupy miłośników fantastyki naukowej w Seattle. Pierwszą jego pracą, która została opublikowana, była seria ilustracji do tomiku wierszy Emila Petaji, zatytułowanego *Brief Candle*.

Mam egzemplarz tej rzadkiej książeczki – powielony jest na kolorowym papierze, nie posiada daty wydania. Hannes podpisał swoje rysunki literami HB.

To Ray Bradbury zwrócił uwagi: nowojorskich wydawców na talent Hannesa. Bradbury spotkał Boka w Los Angeles jesienią 1937 roku, kiedy sam jeszcze studiował. Umieścił prace Boka na okładkach czterech wydań swego magazynu *Futura Fantasia*, a parę lat później...

ale pozwólmy Ray'owi Bradbury'emu opowiedzieć to wydarzenie własnymi słowami. *Hannes był geniuszem. Mogłem przez całe dni oglą dać jego obrazy. Dostałem bzika na punkcie Hannesa i postanowiłem, że ś wiat musi poznać tego artystę . Kiedy w lipcu 1939 roku udawa-*

*łem się do Nowego Jorku na organizowany tam po raz pierwszy Ś wiatowy Zjazd Fantastyki Naukowej, namówiłem Hannesa, by pozwolił mi wystą pić w charakterze swojego agenta.*

*Wysłał mi z Seattle tekę ze swymi obrazami, szkicami i rysunkami tuszem, którą zabrałem do Nowego Jorku. Jechałem autobusem Greyhound. Przybyłem do Sali Zjazdu dumny i szczęś li-wy, że*

e reprezentuję najlepszego artystę na tym cholernym ś wiecie! Bradbury pokazał prace Boka kilku wydawcom, ale jedynym, który dał się ponieść entuzjazmowi Raya, był wielki S.

Fransworth Wright, wydawca *Weird Tales*, który poprosił Boka, by ten natychmiast zaczął ilustrować jego magazyn.

Bok przeniósł się do Nowego Jorku w 1940 roku i zaczął tworzyć ogromne ilości rysunków. Niestety te „ogromne ilości” nie odnosiły się do pieniędzy. W tamtych czasach czasopisma, a przynajmniej popularne magazyny płaciły bardzo mało za ilustracje – przeciętnie pięć do dziesięciu dolarów. Wkrótce artysta zwrócił się ku bardziej dochodowej dziedzinie twórczości – ku pisarstwu. Jako chłopiec był pod urokiem A. Merritta, którego styl odcisnął

piętno na pracach Boka. Najprawdopodobniej dlatego, że kiedyś Bok przepisał odręcznie cały tekst *The Ship of Ishtar*, wypożyczył numery *Argosy All-Story*, w których zamieszczona była ta powieść w odcinkach i przepisał ją, bo nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie miał okazję zdobyć egzemplarz tej książki Merritta.

Pierwszym opublikowanym utworem literackim Boka był „Starstone World”, wydrukowany w *Science Fiction Quarterly* latem 1942 roku, a po nim – *Statek czarnoksięż nika* w *Unknown* w grudniu tego samego roku. Przeczytałem *Statek czarnoksięż nika* mając około czternastu lat i bardzo mi się spodobał. Wiele lektur z czasów młodości sprawia wrażenie naiwnych i banalnych, gdy do nich po latach powracamy, ale *Statek czarnoksięż nika* nie należy do tej kategorii. Jest to przepiękna książka, porywająca i tajemnicza powieść przygodowa, napisana doskonałym językiem, pełna niezwykle obrazowych opisów – opisów, któ-

rych można oczekiwać po takim malarzu, jakim był Hannes.

Młody człowiek imieniem Gene zostaje w nie wyjaśniony sposób rzucony w obcy świat, istniejący równoległe do naszego, lecz w nieznanym przestrzeni. Wyłowiony z morza, dostaje się na pokład dziwnego statku, przypominającego wenecką galerię z dawnych czasów, odbywającego długi rejs ku cudownym i tajemniczym wyspom. Chłopak niemal natychmiast zostaje wciągnięty w sieć intryg. Piękna Siwara, księżniczka Nanich, płynie na wyspę, zajęta przez wojownicze państwo Kof, aby zapobiec grożącemu konfliktowi. Ale niektórzy członkowie jej świty pragną udaremnić te zamiary. Historia tej podróży przez nieznaną morza ku tajemniczemu celowi, podróży, w której bierze udział pół-bóg, a przewożony jest magiczny kamień, jest niezwykle i nadzwyczaj piękna.

Bok mógł zrobić wspaniałą karierę jako pisarz, ale malarstwo było jego pierwszą i największą miłością i jemu poświęcał większość czasu i energii. Używał technik renesansowych, wolno, ton za tonem, budując dzieło. Często poświęcał na jeden obraz sześć miesięcy, a oznaczało to pół roku wyczerpującej pracy. Pozostawało mu niewiele czasu na inne zajęcia, w tym

– na pisanie.

Dokończył dwa wspomniane wcześniej fragmenty prozy Merritta. Poza tym za jego życia opublikowana została jeszcze jedna powieść – „Blue Flamingo” (wersja rozszerzona pt.

*Beyond the Golden Stair* – 1969) w *Startling Stories* w styczniu 1948 roku.

Jest to barwna i żywa fantazja z wyimaginowanego świata, chociaż znana tylko w niepełnej wersji. Oryginalny rękopis liczył przeszło siedemdziesiąt tysięcy słów, wydrukowany utwór ma ich około trzydziestu pięciu tysięcy. Wydawca musiał okroić powieść, odrzucając przynajmniej połowę fabuły. Podobno w rękopisie istnieje szóstą powieść Boka, ale może to być tylko plotka: odziedziczyłem papiery Hannesa Boka, w tym również rękopisy kilku jego opowiadań, wierszy i notatek, ale nie ma wśród nich powieści. Niemniej jednak wciąż poszukujemy zaginionego rękopisu i być może kiedyś go odnajdziemy...

Ostatni raz widziałem Hannesa późną wiosną 1963 roku. Avram Davidson, ówczesny wydawca *The Magazine of Fantasy and Science Fiction*, chciał zamówić u Boka kilka prac do swego czasopisma. Ponieważ Bok chronił swoje życie prywatne przed obcymi, przyjaciele utrzymywali jego adres w największej tajemnicy. Skontaktowałem Hannesa z Avramem, który wraz z żoną zaprosił mnie i Boka do Central Parku. Przyszedłem ze swoją żoną Noel, wtedy jeszcze moją narzeczoną, która była zafascynowana pracami Hannesa i pragnęła go poznać osobiście. Dzień był zimny i słotny. Rozmawialiśmy, jedząc kanapki z pobliskiego sklepu. Hannes dominował nad całym towarzystwem. Noel była nim zachwycona, a Bok chciał namalować jej portret, ale jakoś nigdy do tego nie doszło.

Więcej już go nie ujrzałem. Zmarł 11 kwietnia 1964 roku w swojej pustelni na West Street 109 na atak serca. Był sam, gdy dosięgła go nagła śmierć i minęło kilka dni, nim policja, wezwana przez zaniepokojoną sąsiadkę, dostała się do mieszkania.

Wiadomość o jego zgonie mocno poruszyła przyjaciół Hannesa. Byłem w pracy, kiedy zadzwoniła do mnie żona. Odłożyłem słuchawkę, odwróciłem się do okna i patrzyłem przez nie przeszło godzinę, aż ktoś wszedł do pokoju i zapytał, co się stało. Roger Żelazny, przebywający akurat w Nowym Jorku, przerwał opowiadanie, nad którym pracował i spędził resztę dnia, układając wiersz poświęcony Hannesowi. Emil Petaja, mieszkający na wybrzeżu zachodnim, postanowił zrobić wszystko, by ocalić imię Boka od zapomnienia. Powołał Fundację Bokanalia i wydał kilka pięknych tek z obrazami i rysunkami Hannesa.

Nie mogę za to ręczyć, ale jestem pewien, że Bok umarł tak, jak żył – z uśmiechem na ustach. Wielki ilustrator, utalentowany artysta, którego zarobki nie wystarczały nawet na skromne życie, całymi latami zadowalał się kawą, płatkami kukurydzianymi i sałatką z kapusty. Nigdy się nie skarżył, nawet gdy wydawcy nie płacili mu za dostarczone utwory lub nieuczciwi agenci pozbawiali go owoców wieloletniej pracy. Jestem pewny, że umierając uśmiechał się, ponieważ kochał wszelkie aspekty życia, a śmierć jest przecież jednym z nich. Był

najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

*Lin Carter*

*The Ballantine Adult Fantasy Series*

*Hollis, Long Island, Nowy Jork.*

# I

Koszmar minął, ale uczucie kołysania nie ustępowało. Wokół rozlegał się niezwykle dźwięk, przypominający brzęk wielu butelek.

Odczuwał nieznośny ból, jego ciało płonęło, jakby go wychłostano i oblano wrzątkiem.

Miał zamknięte oczy, ale ostre światło przenikało przez obrzmiałe powieki. Z trudem je uniósł. Był tak słaby, jakby jeden z wampirów, które widział we śnie, pozbawił go kompletnie z sił i pozostawił umierającego. Skrzywił się z bólu, spróbował unieść drżącą rękę do twarzy, ale nie udało mu się; ponownie zamknął oczy. Promienie słoneczne paliły jak rozżarzone węgle. Gdzie był?

Jeszcze raz powoli uniósł powieki. Jedna ręka zsunęła mu się do lodowatej wody. Instynktownie wyciągnął dłoń i ten gwałtowny ruch spowodował, że krew zaczęła mu żywiej płynąć w żyłach. Woda? Spróbował usiąść, ale na próżno. Jęcząc z wysiłku, podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Gdy to robił, znów rozległ się ten dziwny odgłos.

Leżał na tratwie z poczerniałych desek, pokrytych warstwą błyszczącej w słońcu soli.

Pod głową miał wiązkę suchych, kruchych wodorostów; to one tak szeleściły. Co się stało z jego ubraniem? Miał na sobie jedynie spodenki kąpielowe, sztywne od soli. Wokoło, aż po sam horyzont, rozciągała się woda.

Co robił na tej lichej tratwie? Zmarszczył brwi, próbując sobie coś przypomnieć i uczył

ostry ból, jak gdyby ktoś wbił mu w czoło tysiące igieł. Przesunął dłonią po twarzy: była szorstka i pokryta bąblami na skutek długiego przebywania na słońcu.

Stopniowo wracały mu siły. Zaciskając zęby, zgiął rękę, oparł się na niej i uniósł do pozycji siedzącej. Przesunął ręce do tyłu i spoczął na nich całym ciężarem ciała. Tak go to wyczerpało, że opuścił głowę. Fale kołyszące tratwę szemrały cicho. Rozejrzał się zakłopotany.

Próbował sobie coś przypomnieć, ale sam nie bardzo wiedział co; w głowie czuł pustkę. Był

pewien jedynie tego, że znajduje się na tratwie, dryfującej środkiem morza. Teraz najważniejszą sprawą było dotrzeć do brzegu.

Może spowodowała to jego słabość, ale czuł, że coś dziwnego stało się z niebem. Było zbyt lazurowe i od czasu do czasu jakby migotało błękitnymi błyskawicami. A tarcza słoneczna drgała, jak gdyby obserwował jej odbicie na falującej powierzchni wody lub przez słup gorącego powietrza.

Rozbitek podkulił nogi i pochylił się, nie podnosząc głowy, czując na plecach palące promienie słońca. Było mu trudno zebrać myśli. Przesunął językiem po spierzchniętych warstwach, poczuł sól i nagle zaczęło go dręczyć pragnienie. Kątem oka spojrzał chciwie na wodę, ale wiedział, że to na nic.

Stał chwiejąc się na chyboczącej tratwie. Nigdzie nie było widać ani śladu lądu, wszędzie



rozciągała się woda. Stracił równowagę i prawie upadł. Usiadł ostrożnie, jakby sadowił się na odłamkach szkła. Odetchnął głęboko, wydając odgłos przypominający jednocze-

śnie szloch i westchnienie. Popołudnie wolno przechodziło w zmierzch, a każda minuta ciągnęła się jak godzina. Raz tylko duża ryba plusnęła w wodzie i to było wszystko.

O zachodzie słońca mężczyzna leżał na brzuchu, wpatrując się w pustą głębię niebie-skoczarnej wody. Instynktownie uniósł głowę. Słońce stało nad horyzontem jak szkarłatny dysk, od którego po wodzie, aż do samej tratwy, biegła drżąca, czerwona dróżka. Na tle lśni-

cego kręgu rozbitek ujrzał ciemny punkcik. Przysłonił oczy ręką i wyteżył wzrok, kierując go w stronę małej plamki w oddali. Czyżby statek? Oczy mężczyzny zabłyśły nadzieją, a gdy wstał, by pomachać ręką w tym kierunku, na twarzy pojawił mu się uśmiech. W miarę jak punkcik rósł, słońce stopniowo zanurzało się w morzu, pozostawiając chwiejny ślad w powietrzu, przesyconym niebieskimi błyskawicami, znaczący drogę ku zachodowi. Purpurowy zmierzch nadciągający ze wschodu jak kolorowa mgiełka przyniósł ze sobą chłodny wiatr, którego powiew był dla spieczonej skóry rozbitka niczym kojący balsam. Morze uniosło się, jak gdyby budząc się ze snu, a tratwa chwiała się na falach, niemal przewracając stojącego mężczyznę.

W gęstniejącym mroku coraz wyraźniej majaczyła sylwetka statku. Człowiek zamachał

rękami i próbował podskoczyć, ale był jeszcze zbyt słaby; zachwiał się i nieomal wpadł do wody. Otworzył usta, ale zamiast krzyku wydobyło się z nich jedynie westchnienie. Czekał

niecierpliwie, dając sygnały uniesionymi rękami.

Wiatr przybrał na sile i stał się zimny. Pędziły fale jak stado bydła, tworząc na ich grzbietach spienione grzywy. Fale szarpały tratwę, jakby próbując zmieść ją ze swej drogi. Tracąc równowagę, mężczyzna padł na kolana. Gwiazdy podniosły niebiańską kurtynę, by spojrzeć w dół. Człowiek patrzył w noc, która przyniosła przejmujący chłód. Spienione fale pędziły z narastającym pluskiem jedna za drugą. Statek rzucał na wodę potężniejący z każdą chwilą cień.

Od wypatrywania mężczyznę zabolowały oczy; desperacko wymachiwał rękami. Statek sunął w jego stronę, całkowicie nie oświetlony. Mężczyzna zauważył, że był to osobliwy statek, jakiego nigdy nie widział w rzeczywistości. Fale zalewały tratwę, a człowiek, z oczami utkwionymi w statek, przywarł do wypaczonych desek. Zacisnął usta, próbując przypomnieć sobie, skąd zna takie okręty.

Ależ tak! Z książek i z filmów! Statek przypominał z grubsza łódź Wikingów. Statek Wikingów na pełnym morzu? To niemożliwe! Ale przecież widział go, był coraz bliżej. Mi-mo ciemności dostrzegł czerwono-żółty żagiel. Tratwa szarpnęła nagle, przewracając rozbitka na twarz. Statek był w odległości około trzystu metrów. Mężczyzna zdał sobie sprawę z tego, że wymachiwanie rękami jest bezcelowe. Zacerpnął dłońmi nieco wody i przepłukał usta.

Teraz mógł krzyknąć. Ledwo słyszał swój ochryply głos przez huk fal – czy ludzie usłyszą go w tym zawodzącym wietrze?

Statek zbliżał się do tratwy jak nacierająca bestia. Jeżeli nie uderzy, to minie ją blisko, bardzo blisko. Mężczyzna znowu krzyknął. Muszą go usłyszeć! Stał wyczerpany i czekał.

Statek był tuż obok. Mężczyzna uniósł dłonie do ust i ponownie krzyknął. Wydawało mu się, że zauważył na pokładzie człowieka, ale ów sprawiał wrażenie, jakby nie widział nikogo. Statek minął go i popłynął dalej. Rozbitek odwrócił się machając, krzycząc i skacząc z podniecenia.

Nie było żadnego odzewu, statek zaczął się już oddalać. Mężczyzna poślizgnął się i upadł na deski. Leżał na pół ogłuszony, z uniesioną głową i oczami utkwionymi w znikający punkt. Nad tratwą przetoczyła się zimna fala, pociągając nieszczęśnika za sobą. Wcisnął palce w szczelinę pomiędzy deskami i złapał się ich kurczowo. Wiatr był bardzo zimny. Człowiek zaczął szczełkać zębami, chwyciły go dreszcze, palce mu zdrętwiały. Wiatr nie ustawał. Męż-

czyzna znowu przeżywał koszmar. Tym razem nie były to już jednak senne majaki, ale brutalna walka z wodą i przejmującym wiatrem. Gwiazdy obojętnie obserwowały te zmagania.

Człowiek zwrócił swą bladą twarz w stronę nieba, nawet w takiej chwili nie mogąc nadziwić się ich ogromnej liczbie i bliskości. Drżące niebo było teraz czarne, stanowiło bezkresny obszar żywego mroku.

Rozbitek tracił siły i jego chwyt słabł. Nadpłynęła kolejna fala i tratwa wyslizgnęła mu się z jednej ręki; zachłysnął się wodą. Znowu uchwycił się palcami desek, krzywiąc się z bólu, bo zdarł sobie skórę aż do krwi. Tratwa podskakiwała na wodzie. Walcząc z falami, w pewnej chwili ujrzał w oddali niki, żółte światełka. Nie były to gwiazdy, bowiem świeciły stałym blaskiem. Woda obróciła tratwę. Nie wierząc własnym oczom mężczyzna obserwował

przybliżające się światełka.

Statek! Czyżby usłyszeli wołania i wracali po niego? Trzymając się jedną ręką tratwy, drugą zaczął machać, jednocześnie krzycząc głośno. Światła wciąż się przybliżały. Wiatr ucichł na moment i mężczyzna wydał nieartykułowany okrzyk. Statek sunął w jego stronę, lecz nie był to ten sam okręt, który mężczyzna widział poprzednio. Ten przypominał raczej galerę wenecką z dwoma żaglami i kolorowymi lampionami. Człowiek krzyknął jeszcze raz i usłyszał odpowiedź. Znalazł się nagle w strumieniu światła skierowanym na wodę. Znowu rozległy się okrzyki. Z burty statku spuszczano łódź.

Gdy szalupa, podpłynęła do niego, przeskakując przez fale, mężczyzna położył się na deskach tratwy, zafascynowany widokiem połyskujących żagli, obwisłych, gdyż wiatr na chwilę ustał. Ktoś go wołał; człowiek uniósł głowę, by odpowiedzieć. Szalupa była już tylko kilka metrów od niego i po minucie dobiła do tratwy. Mężczyzna spróbował dostać się na łódkę o własnych siłach, ale bez powodzenia. Poczł, jak silne ręce unoszą go z tratwy. Po chwili leżał na dnie szalupy i chociaż ozebrowanie kadłuba uwierało go, a wiosłujący marynarze poszturchiwali, napierając na wiosła, był wreszcie bezpieczny.

Uratowany obserwował kołyszące się niebo i wioślarzy. Nagle łódź głucho uderzyła o burtę statku; rzucono liny i przymocowano je, a następnie wyciągnięto szalupę na pokład.

Marynarze wyskoczyli, ale rozbitek był zbyt słaby, by się ruszyć. Ujrzał nad sobą pochylone głowy ludzi ubranych w barwne szaty w orientalnym stylu. Potem spostrzegł jeszcze jakąś dziewczęcą twarz, delikatną i miłą.

W tym samym momencie usłyszał łagodny i pełen współczucia głos mężczyzny:

– Zanieście go do mojej kajuty.

Czy rzeczywiście nieznajomy właśnie to powiedział? Mówił z obcym akcentem i jakby innym językiem. Było to bardzo dziwne.

Nieśli go pod połyskującymi żaglami przez niskie, szerokie drzwi, prowadzące do słabo oświetlonego, wąskiego korytarza, w którym unosił się zapach przypraw. Rzeźbione ściany pomalowane były na jaskrawy kolor. Minęli kolejne drzwi, aż znaleźli się w niskim pokoju, oświetlonym jedynie migotliwym blaskiem kołyszącej się lampy. Mężczyzna dojrzał jedynie ciemny baldachim nad szerokim, niskim łóżem. Położono go na miękkim materacu. Zanurzył

się w nim jak w puchu...

Do łóżka podszedł wysoki i bardzo szczupły starzec w długim, niebieskim kimonie. Pochylił się nad rozbitkiem z zatroskaną twarzą. Dotknął czoła i piersi mężczyzny, odwrócił się i uniósł rozkazująco rękę.

– Przynieście mu coś do picia, coś mocnego.

Człowiek na łóżku usłyszał brzęk szkła. Zaszleściła prześwitująca tkanina i dobiegł go słaby zapach perfum.

– Proszę – powiedziała cicho kobieta.

Obok niebiesko odzianego mężczyzny stała dziewczyna, którą widział już na pokładzie.

Trzymała karafkę i kielich.

Poprzednio wydawała mu się bardzo wysoka, ale wtedy na pokładzie patrzył na nią z pozycji leżącej. W rzeczywistości była zupełnie mała. Nie, nie była piękna, ale zgrabna i bardzo atrakcyjna. Miała dziecianną, bladą twarz i ogromne, brązowe oczy. Wyglądała na osiem-naście lat. Jakiej była narodowości? Nie różniła się zbyt od dotychczas poznanych dziewcząt. Nie było w niej, pomimo dziwnego uczesania, nic egzotycznego. W wysoko upięte włosy wplecione były sznury klejnotów. Ubranie dziewczyny przypominało strój wieczoro-wy: nosiła długą suknię barwy śliwkowej, a szerokie bransolety przytrzymywały fałdziste, rozcięte rękawy. Miała w sobie wiele kobiecego wdzięku i każdy ruch wykonywała z niezwykłą gracją.

– Proszę, napij się – mężczyzna przytknął mu puchar do ust. – To cię wzmocni.

Wyłowiony rozbitek posłusznie wypił napój. Aromatyczny i słodki płyn przeniknął jego znużone ciało falą ciepła. Mężczyzna utkwiał oczy w dziewczynie, wspartej na ramieniu starca.

– Spójrz na jego skórę! Jest zupełnie spalona od słońca! Mam maść, która uśmierza ból, zaraz ją przyniosę.

Odeszła, a rozbitek spoglądał za nią żałośnie. Zaczęła ogarniać go senność, powieki stały się nagle bardzo ciężkie i zamknął oczy.

Znowu poczuł tę samą subtelną woń i wiedział, że dziewczyna wróciła. Uniósł powieki.

Kłęczała obok łóżka, trzymając w rękach małą buteleczkę z czerwonego szkła. Nalała na dłoń trochę gęstego olejku i posmarowała mu twarz. Jej dotyk był delikatny jak letni wietrzyk, a chłodny olejek koił ból. Na moment ich oczy spotkały się i coś zadrżało w powietrzu. Rozbitek nie był pewny, co to było, ale sprawiło mu to przyjemność. Dziewczyna zawstydziła się i opuściła powieki, a jej ruchy stały się bardziej energiczne. Natarła mu olejkiem piersi i oczy obojga znów się spotkały.

Mężczyzna czuł ogromną senność i nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Jego ręka odnalazła dłoń dziewczyny i uściśnęła ją lekko. Może chciał w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność za jej dobroć, a może coś więcej. Sam nie był pewien. Dziewczyna nie cofnęła swej dłoni.

– Wystarczy, Siwaro. Zostaw nas teraz samych. Zaopiekuję się nim – odezwał się szorstko niebiesko odziany mężczyzna.

Dziewczyna natychmiast wstała, zaś starzec wziął od niej buteleczkę. Kobieta odsunęła się od łóżka, pogrążyła się w cieniu i po chwili zniknęła. Wiatr znowu przybrał na sile –

huczał na zewnątrz ze ślepą zawziętością.

Rozbitek leżał z zamkniętymi oczami, a starzec nacierał go olejkiem.

Dziwny to był statek, jakby z innego świata. Mimo wszystko mężczyzna czuł się na nim bezpiecznie. Dokąd płynął? Kim byli ci ludzie? Niezbyt się tym wszystkim w tej chwili przejmował. Oczywiście nie dotyczyło to dziewczyny...

Nie otwierając oczu westchnął, przepełniony szczęściem. Ogarnęła go ciemność i zapadł w sen.

## II

Gdy się obudził, w całym ciele czuł przyjemne rozleniwienie. Pod samą brodę okryty był lekkim, ciepłym kocem. Otwierając oczy wyczuł, że ktoś w pośpiechu opuszcza pokój, ale nie zauważył, kto to taki. Białe światło dnia padało na łóżko przez rząd małych okienek.

Statek unosił się i opadał miarowo, niczym pierś śpiącego człowieka.

Cóż to była za dziwna kajuta! Na ścianach znajdowały się szafki z mosiężnymi okuciami, drzwiczki pokrywały złocone rzeźby o skomplikowanych motywach. Gdzieś wisiły ozdobione klejnotami gobeliny, przedstawiające baśniowe sceny. W pomieszczeniu było kilka masywnych, drewnianych kufrów i krzeseł bez oparc, intarsjowanych kolorowym drewnem. Podłogę zakrywał ciemny dywan o tak długim włosiu, że przypominał raczej szare futro.

Na jednej ze skrzyń leżał długi łuk i pęk strzał; cienkie oszczepy przymocowane były do ścian jako ozdoby; pod szeregiem małych okienek wisiały tarcze, poruszające się w rytm kołysania statku.

Drzwi otworzyły się i do kajuty wszedł wysoki mężczyzna, ubrany na czerwono. Jego pociągła twarz przypominała nie dokończoną rzeźbę w drewnie, miała ostre i wyraźne linie znamionujące bezwzględność. Dziwnie proste szaty opadały sztywnymi, pionowymi fałdami.

Spod krzaczastych brwi spoglądały ciemne, złe oczy. Szpakowate włosy zaczesane do tyłu tworzyły na karku nierówną linię. Stał przy łóżku, patrząc badawczo. Spod maski uprzejmości wyzierało jego prawdziwe, zimne oblicze.

– Jestem Froar.

Jego głos był chrapliwy i oschły, przypominał dźwięk, jaki wydają ocierające się o siebie kamienie.

– Spałem, gdy cię wyłowiono. Kim jesteś?

Usiadł niedbale na brzegu łóżka, owijając się togą, jakby mu było zimno.

Głos rozbitka zabrzmiał niepewnie.

– Mówiąc szczerze, nie wiem – odrzekł usprawiedliwiającym się tonem. Zmarszczył

brwi, próbując sobie coś przypomnieć. – Nic nie pamiętam. Tylko wodę... i wiatr...

– Jesteś z Kof czy z Nanich? – Froar przeszył go wzrokiem, niecierpliwie oczekując odpowiedzi.

– Kof? Nanich?

– Jak się nazywasz?

– Jak się nazywam? – wyratowany zastanowił się, przyciskając dłoń do czoła. Uniósł

wzrok. – Przepraszam, że jestem tak rozkojarzony, ale zupełnie nie mogę zebrać myśli. Wydaje mi się, że mam na imię Gene – próbował sobie coś więcej przypomnieć. – Gene... ale jak dalej? Nie mogę myśleć. Nie pamiętam.

– Gene – mruknął Froar. – W jaki sposób znalazłeś się na pełnym morzu? Czy statek, którym płynąłeś, się rozbił? A może jesteś rybakiem i wasz kuter odpłynął zbyt daleko od brzegu i przewrócił się?

Gene potrząsnął głową.

– Nie sędzę. Nie, na pewno nie jestem rybakiem. Czuję się zupełnie zagubiony. Jedyne, co pamiętam, to wielkie miasto i mnóstwo ludzi...

– Nanich – wtrącił Froar.

– Nie, nie Nanich. Nowy... Nowy Jork. – Twarz Gene'a rozjaśniła się. – Tak, to był

Nowy Jork.

– Nigdy o nim nie słyzałem – powiedział Froar.

– Jedno mnie zastanawia – ciągnął Gene. – Tutaj jest zupełnie inne powietrze, jakby przesycone elektrycznością. – Froar nie znał tego słowa. – A ty... i wy wszyscy... mówicie dziwnym językiem, którego nigdy przedtem nie słyzałem, a mimo to rozumiem was.

– Twoja mowa brzmi w moich uszach równie obco – powiedział Froar. – Nie jest to język ani Kof, ani Nanich. Ale czuję, co chcesz wyrazić, tak jakbym czytał w twoich myślach.

Niektórzy z nas to potrafią, ale tylko niektórzy. Może byłeś w Nowym Jorku – z upodobaniem wymienił nazwę miasta – kimś ważnym.

– Kimś ważnym? Nie sędzę – rozbitek w zamyśleniu opuścił oczy. – Nie pamiętam –

uniósł wzrok. – Jedyne, co pamiętam dokładnie, to ocean, wiatr i ten drugi statek, który mnie minął.

– Drugi statek? Minął cię jakiś inny statek? – Obcy zrzucił nagle maskę współczucia, pochylił się i spojrział z ukosa. – Jak wyglądał ten drugi statek?

– Pojawił się zaraz po zachodzie słońca. Był bez świateł i miał żagiel w czerwono-żółte pasy.

Na wyrazistej twarzy Froara nie było teraz ani śladu życzliwości. Wyprostował się gwałtownie.

– Powiedziałaś o tym Kaspelowi czy komukolwiek innemu?

Gene potrząsnął głową.

– Nie. Byłem zbyt wyczerpany.

– To dobrze. Lepiej tego nie rób – Froar pochylił się do przodu. – Nie zrozumieliby cię właściwie. Mogliby ci nawet nie uwierzyć. Człowiek z Nowego Jorku, miasta, które nie istnieje! Na świecie są tylko Kof i Nanich oraz nie zbadane wyspy na dalekich morzach. Ale ja ci wierzę! – uśmiechnął się nieśmiało. – Tak, wierzę ci i pomogę, jeśli mi zaufasz. Zresztą, możesz potrzebować mojej pomocy.

Cofnął się.

– Jesteś tu obcy i rozprawiając o mieście, o którym nikt nigdy nie słyszał, zostaniesz niewątpliwie uznany za szaleńca. Dokąd pójdziesz po zakończeniu rejsu? Co będziesz robił?

– Rozłożył ręce. – Ale ja coś w tobie dostrzegam, jeszcze możesz mi się przydać. Poza tym masz zdolność porozumiewania się za pomocą myśli i... – Powiódł wzrokiem po udekorowanych ścianach. – Jeżeli ci pomogę, zrobisz to, co ci każę?

– Sądzę, że to bardzo ładnie z twojej strony, że...

– Przede wszystkim musisz zabić Kaspela. Widziałeś go? Jego kolorem jest błękit, tak jak moim czerwień.

Gene przypomniał sobie wysokiego starca w niebieskich szatach, który dał mu wino, i skinął głową.

– Tak długo, jak długo jest na tym statku, wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo.

Gdyby dowiedział się o tym drugim statku, który widziałeś, mógłby zrobić parę nieprzyjemnych rzeczy, na przykład zatopić nasz okręt... Powtarzam, póki Kaspel żyje, jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– A dziewczyna – spytał obojętnie Gene. – Kim ona jest?

Froar przyjrzał mu się badawczo.

– To Siwara, księżniczka Nanich. Znajdujesz się na jej statku. Płyniemy z wizytą nieoficjalną do Kof. Kof grozi wojną państwu Nanich. Siwara udaje się tam, by z moją pomocą zawrzeć tajny układ pokojowy. Nie towarzyszy nam eskorta, ponieważ oficjalnie to tylko rejs wycieczkowy wzdłuż wybrzeża. Ale Kaspel wprosił się na pokład i robi wszystko, by nasz statek nie dopłynął do Kof. Czemu? Bo jest stary... i głupi. Zresztą nieistotne jest, co myśli.

Dopiero kiedy zginie, będziemy bezpieczni – i ty, i ja, i Siwara.

Był wyraźnie z czegoś zadowolony.

– A więc widziałeś ją?

– Jest... urocza. Ale wracając do osoby Kaspela i jego śmierci... – Gene poważnie potrząsnął głową. – Nie wiem, co ci odpowiedzieć...

– Wyglądasz na zaskoczonego – Froar uśmiechnął się pobłaźliwie. – No cóż, jakie znaczenie ma

życie? Przecież ciągle zabijamy, by żyć. Na przykład zabijamy dzikie bestie, które nam zagrażają. Kaspel jest właśnie taką bestią; należy go unieszkodliwić. Interesujesz się Siwarą i nie chciałbyś, żeby coś jej się stało, prawda? A zginie, zanim dopłyniemy do Kof, o ile nie rozprawimy się z Kaspelem.

– Widziałem ich tylko parę minut. Byłem śmiertelnie zmęczony, ale wydawało mi się, że są w dobrych stosunkach.

– To właśnie jest najsmutniejsze. Kaspel to płaszczący się przed nią hipokryta. Ale jest zdecydowanym przeciwnikiem naszej misji. Głupiec, woli wojnę między Nanich i Kof! Dla jakichś niemądrych idei gotów jest poświęcić swą ojczyznę i księżniczkę!

– Czemu sam go nie zabijesz?

– Ja? Sądzisz, że byłoby to możliwe? Kaspel opłacił część załogi i jego ludzie mnie szpiegują. Oczywiście, ja też mam swoich agentów, ale nie jestem pewny, czy mogę im ufać.

Ty zaś jesteś tu obcy. Możesz udawać, że chcesz zostać przyjacielem Siwary i Kaspela. Przy tobie nie będą tacy ostrożni, jak wobec innych. Gdyby weszli podczas naszej rozmowy... –

uniósł groźnie rękę – musisz powiedzieć, że mówiliśmy o sztormie i o twoim ocaleniu. O niczym więcej. Rozumiesz?

– Tak – odrzekł Gene niepewnym głosem. – Nie mogę powiedzieć, aby podobał mi się pomysł morderstwa. Musisz mi dać trochę czasu. Chcę porozmawiać z Kaspelem i z księżniczką. Chcę mieć pewność.

– Ty głupcze! Czyż nie mówiłem, żebyś mi zaufał? Nie wierzysz moim słowom? –

Froar rozprostował ramiona, oczy mu błyszczały, na twarzy nie było ani śladu życzliwości.

– Nie chodzi o brak zaufania, po prostu nie należę do ludzi, którzy zabijają ot, tak sobie.

Nie potrafię tego zrobić. Jeżeli przekonam się na własne oczy, to co innego.

– Rozumiem – Froar wstał i wyrzął przez okno z zamyśloną miną.

Drzwi znowu się otworzyły i wszedł niepozorny, ubrany na czarno człowiek, niosąc tacę pełną jedzenia, którą postawił koło łóżka.

– Widziałem, że pan się budzi i poszedłem po śniadanie – wymamrotał mężczyzna w czerni, czekając, aż Gene usiądzie.

Postawił przed nim tacę i usłużnie wygładził poduszki, aby choremu było wygodniej.

Następnie zaczął unosić metalowe pokrywki z półmisków.



– Przyniosłem pieczywo, duszone mięso, owoce i wino – to mówiąc, przechylił pękatą butelkę i nalał do kieliszka nieco czerwonego płynu, a potem popatrzył niepewnie na Froara.

– Czy mogę już odejść?

Froar kiwnął głową, nie odwracając się nawet. Człowiek w czerni spojrzał niezdecydowanie na obu mężczyzn i wysunął się z kajuty.

– To jeden ze szpiegów Kaspela – powiedział Froar. – Najprawdopodobniej czuwał przy tobie przez całą noc. Przyszedłem dopiero wtedy, gdy zauważyłem, że opuszcza pokój.

Ale teraz zobaczył mnie tutaj, to niedobrze – westchnął i obrócił się gwałtownie. Gene odłamał właśnie chrupiącą skórkę chleba. – Czy skosztowałeś mięsa?

– Nie... nie ma widelca ani innych sztuczków – wyjaśnił Gene.

– Jedz palcami! A jak smakuje ci wino?

Gene uniósł kielich do ust.

– Jest bardzo dobre.

– Mogę sprawić, by było jeszcze lepsze – Froar zanurzył rękę w fałdach swojego czerwonego płaszcza i wyciągnął małą szklaną fiolkę z zielonożółtym płynem. Pochylając się nad łóżkiem, wlał kilka kropli do kieliszka Gene'a. – No, spróbuj, jak ci będzie teraz smakowało. Bardzo niedobrze, że akurat teraz wszedł człowiek Kaspela – dodał jakby do siebie, zamykając buteleczkę i chowając ją na piersi.

Gene uniósł kielich do ust.

– Wypij, wypij wszystko – zachęcał go Froar.

Gene popróbował wina. Było teraz wyjątkowo aromatyczne i pachniało wędzącymi kwiatami. Wypił trochę, czując, jak szczypie go w usta.

– No, pij – powtórzył Froar. – Wypij wszystko, zanim krople przestaną działać – powiedział rozkazująco.

Stał nad Genem na szeroko rozstawionych nogach, założywszy ręce do tyłu. Oczy błyszczały mu tajemniczo.

Gene uczył, że drętwieją mu usta. Nie był pewny, czy sprawia mu to przyjemność.

Zakasłał i wylał trochę wina. Ale Froar przybrał postawę pełną nalegania i rozbitek posłusznie znowu zbliżył kielich do ust. W tym momencie Froar odwrócił się szybko w kierunku drzwi, mamrocząc pod nosem przekleństwo. Z korytarza dobiegły głosy dziewczyny i człowieka w błękitnej

szacie. Zaciekawiony Gene zapomniał na chwilę o napoju i opuścił kielich, ale Froar gwałtownie zwrócił głowę w jego stronę i władczo wskazał na wino.

Gene poczuł, że drętwieje mu gardło. Gdy Siwara i Kaspel weszli, odstawiał już czarę.

Dziewczyna wyciągnęła rękę do Froara, jakby pozdrawiała drogiego przyjaciela, a ten uści-śnął krótko jej szczupłą dłoń.

– Widzę, że nasz rozbitek się obudził – powiedział Kaspel, zanim pozostali zdołali otworzyć usta. Jego łagodny głos pełen był podejrzliwości. – Chyba już trochę za późno na śniadanie – dodał, uśmiechając się do Gene'a.

Nie wyglądał wcale groźnie. Czyżby ten starzec o miłej twarzy istotnie miał zamiar zatopić statek, zanim dopłyną do Kof? Wydawało się to nieprawdopodobne. To raczej Froar ze swą posępną twarzą i głosem mógł komuś zagrażać, chociaż nie wydawało się, aby młoda księżniczka żywiła jakiegokolwiek obawy. Skierowała się w stronę łóżka, bardziej płynąc niż idąc, i szczupłymi dłońmi dotknęła zastawy. Froar wolno, długimi krokami podszedł do dziewczyny.

– Niedużo zjadłeś – powiedziała nieśmiało. – Nie powinniśmy przeszkadzać ci podczas posiłku. Ale martwiłam się o ciebie, gdyż ostatniej nocy byłeś taki chory! Służący mówił, że jęczałeś przez sen...

Gene skinął głową. W całym ciele czuł mrowienie, a usta miał odrętwiałe. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł nic wyksztusić przez ściśnięte gardło. Froar rzucił ukradkowe spojrzenie na Kaspela, stojącego ze zmarszczonymi brwiami, i uniósł kielich Gene'a.

– Może to nawrót choroby – powiedział. – To wino przepłucze mu gardło.

Ale gdy podnosił kielich, ten wysunął mu się z dłoni i upadł na dywan, a wino wsiąkło w tkaninę.

– Ależ jestem nieostrożny! – zganił sam siebie, wcale nie zmieszany. – Wszystko rozla-  
łem!

Dziewczyna przyglądała się Gene'owi z zaniepokojeniem. Złożyła ręce i odwróciła się do Kaspela. Tymczasem mrowienie przeszło w drętwotę. Rozbitek poczuł, że nie ma siły w mięśniach i wolno osunął się na poduszki.

– Jesteś potrzebny na pokładzie – powiedział Kaspel do Froara, który spojrzał na Gene'a, skinął księżniczce głową na pożegnanie i wyszedł.

Starzec obserwował, jak tamten wychodzi, a potem wyciągnął chusteczkę, pochylił się nad rozlanym winem i umoczył w nim skrawek materiału. Księżniczka przypatrywała się Gene'owi przerażonym wzrokiem, a następnie zwróciła się do towarzysza.

– Po co to robisz, Kaspel? Służący zaraz to wytrze...

Kaspel wstał tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to wiek. Wyciągnął chusteczkę w stronę Siwary.

– Powąchaj! – wykrzyknął, błądzący z wściekłości. – Vyras – trucizna! Wydawało mi się, że czuję, gdy weszliśmy do pokoju. Froar go otruł!

Wzięła chusteczkę i przytknęła ją do nosa.

– Rzeczywiście, pachnie jak Vyras – zgodziła się. – Ale sądzić, że Froar...

– Nigdy mi nie wierzysz! – mruknął Kaspel ze złością, pochylając się do Genem i potrząsając nim. – Jest nieprzytomny. W kielichu sporo jeszcze zostało. Najprawdopodobniej wypił za mało, by umrzeć.

Ułożył bezwładne ciało mężczyzny i okrył go kocem.

Ale Gene nie był nieprzytomny; umysł miał sprawny i wszystko słyszał. Chwilowo został sparaliżowany trucizną, którą Froar wlał do wina.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbyś o to oskarżać Froara – powiedziała Siwara. –

Jakim motywem by się kierował?

Kaspel odwrócił się do niej.

– Nie wiem... ale się dowiem. Będę siedział przy tym człowieku, póki się nie ocknie, a potem go przesłucham. Najwidoczniej wie coś, o czym my nie wiemy, i Froar nie chce, żeby-

śmy się tego dowiedzieli.

– Czy musisz tak nienawidzić Froara tylko z powodu różnic w poglądach politycznych?

Zawiodłam się na tobie. Sądziłam, że masz więcej charakteru.

– Żyję tylko dla ojczyzny – odpowiedział dumnie Kaspel. – Jedyńm moim celem jest rozkwit Nanich. Jestem już stary, moja żona i dzieci pomarły. Jedyńm pocieszeniem po ich stracie była myśl, że mogę uczynić coś dla innych. Siwaro, nie wolno ci jechać do Kof! Froar używa cię jako narzędzia, jestem tego pewien! Zawróć, zanim będzie za późno!

– Nie, Kaspel – powiedziała. – Nie wrócę, nie mogę. Myślisz, że sprawia mi przyjemność podróż do Kof i targi z tamtejszymi ministrami wojny? Ale Nanich nie przetrzyma jeszcze jednej walki. Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by zachować pokój.

Kaspel jęknął cicho.

– Lepiej byłoby dla Nanich, żebyśmy wszyscy zginęli, niż byśmy mieli płacić im haracz! Czemu nie możesz zrozumieć, że kiedy poddamy się Kof, stracimy swoją odrębność?

To będzie oznaczało koniec naszego kraju. Nie będzie więcej szkół ani prac naukowych. Uależnimy się gospodarczo od tamtych i będziemy wytwarzać tylko to, co oni nam każą. Nasi mężczyźni będą pracować na polach jako niewolnicy, nasze kobiety zaś zostaną uprowadzone do Kof...

– Nie może być aż tak źle – zaprotestowała Siwara. – Poza tym podpisanie traktatu nikomu nie zaszkodzi. Jeżeli Kof nie będzie przestrzegało warunków umowy, wtedy zawsze możemy wypowiedzieć wojnę.

Kaspel podniósł głos.

– Och, Siwaro, jaka ty jesteś naiwna! Kiedy twój ojciec umarł i objęłaś tron, myślałem sobie: oto księżniczka, która wie, jak rządzić krajem. Jeśli chcesz, podpisuj ten swój układ.

Czy myślisz, że ministrowie wojny cię nie oszukają? Będą wysyłać swoich szpiegów do Nanich – pozornie zwykłych kupców i im podobnych. A kiedy zdasz sobie sprawę z tego, że zostałaś oszukana, będzie za późno. Już ludzie z Kof o to zadbają. Nie będzie żadnej wojny, tylko niewielki bunt, szybko zdławiony przez Kof. Do końca życia nie zapomnisz tego, co ci teraz mówię i będziesz żałowała, że nie zapobiegłaś...

Siwara niecierpliwie tupnęła małą nóżką.

– Ale co wspólnego ma z tym wszystkim Froar?

Kaspel zrozpaczony uniósł ręce.

– Froar kocha Kof i wszystko, co z nim związane. Wyśmiewa nasze szkoły. Nie podoba mu się idea wykształconego społeczeństwa, bo być wykształconym to znaczy rozumieć, przynajmniej w Nanich. Ludziom oświeconym nie można zabrać tego, co im się należy. Froar chce mieć wszystko. Boi się, że nie doczeka dnia, kiedy w Nanich zapanuje powszechny do-brobyt. Nie chce dzielić trudów naszej walki o pomyślność i dostatek dla wszystkich obywateli.

Siwara odwróciła się do niego.

– Nigdy mnie nie przekonasz, nawet nie próbuj.

Kaspel w zadumie popatrzył na Gene'a.

– Ten człowiek może mieć argument, który cię przekona. Musi wiedzieć coś ważnego, inaczej Froar nie chciałby się go pozbyć.

Dziewczyna spojrzała na leżącą w łóżku postać.

– To dziwne – mruknęła. – Nie mogę uwierzyć, że Froar próbował go otruć. Ale przecież ktoś musiał to zrobić. Tylko czemu? Czy ktoś na statku go zna i nienawidzi? – westchnę-

ła. – W tym momencie mam dosyć bycia księżniczką. Wyjdę na pokład i poproszę, żeby służąca mi pośpiewała. Zostań tu, Kaspel, i popilnuj go. Kiedy poznasz jego sekret, powiadom mnie. Wtedy zobaczymy, czy wracać do Nanich.

Czule dotknęła ramienia starca i wybiegła z pokoju.

Kaspel spoglądał za nią smutno. Pokiwał głową ponuro, po czym przeszedł przez pokój i przystawił krzesło do łóżka, by czekać, aż Gene się ocknie. Siedział zgarbiony, opierając ręce na kolanach.

Statek kołysał się delikatnie.

# III

– Co powiedział ci Froar? – zapytał Kaspel, pochylając się nad przebudzonym Gene'em.

Wpadające przez okienko światło dnia przybrało różowy odcień.

Gene zastanowił się: co powinien odpowiedzieć? A właściwie czemu nie wyjawić prawdy?

– Chciał, żebym cię zabił!

Kaspel uśmiechnął się gorzko.

– Spodziewałem się tego. Ale czemu chciał twojej śmierci?

– Nie spałem – powiedział Gene. – Leżałem tutaj, nie mogąc się poruszyć ani przemówić, ale słyszałem wszystko, co mówiliście – ty i Siwara. Teraz wiem, jak to wszystko wygląda... przynajmniej tak mi się wydaje. Froar powiedział, że chcesz zatopić statek, zanim dopłyniemy do Kof.

Kaspel przytaknął z powagą.

– To prawda. A jeżeli nie uda mi się zatopić statku, zabiję Siwarę, chociaż bardzo ją kocham. Ludzie z Nanich nie mogą nigdy zaznać władzy Kof. Żyją swobodnie i muszą umrzeć wolni. Siwara tego nie rozumie.

– Zanim mnie uratowaliście, minął mnie inny statek – powiedział Gene. – Miał żagiel w czerwonożółte pasy i wygaszone światła, chociaż nadchodziła noc. Froar wydawał się bardzo podniecony, gdy mu o tym powiedziałem. Prosił mnie, żebym nikomu o tym nie mówił.

– Mimo to powiedziałaś – Kaspel uniósł brwi. – Nie wiesz, że robiąc tak, ryzykujesz życie. Froar chce mojej śmierci, a połowa ludzi na tym statku jest mu wierna. Pozostali są najprawdopodobniej – powtarzam najprawdopodobniej – wierni mnie i Siwarze. Śmierć Froara nic mi nie da, w przeciwnym razie już dawno bym go zabił. To nie miałoby jednak wpływu na postępowanie Siwary; wprost przeciwnie, stałaby się jeszcze bardziej uparta.

Usiadł na krześle i pochylił się do przodu, splatając palce.

– Nie masz pojęcia, jak niebezpieczna jest ta podróż. Wydarzyło się mnóstwo drobnych wypadków – przynajmniej w ten sposób to się tłumaczy. Te dziwne incydenty dotyczyły obu stron, lecz głównie mnie. Niektóre wydarzenia mogły być fatalne w skutkach. Na szczęście moi ludzie są czujni. Wszyscy mamy oczy otwarte.

Przestał obserwować swoje ręce, uniósł głowę i spojrzał na Gene'a.

– Więc Froar nie chciał, abym dowiedział się o tym statku? To dziwne. Zawsze mnó-

stwo statków płynie z Kof do Nanich i z Nanich do Kof. Dlaczego akurat ten tak go zaniepokoił? Chyba że...

Wstał i zaczął chodzić po kajucie z rękami założonymi do tyłu, a na jego smutnej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

– Chyba że jesteśmy śledzeni! Oczywiście! To wyjaśnia, czemu ów statek płynie bez świateł!

Stanął bez ruchu, wpatrując się w dywan.

– Froar boi się, że namówię Siwarę, by zawróciła! Postanowił do tego nie dopuścić!

Jeżeli zmienimy kurs, da znak tamtemu okrętowi, by nas zaatakował. Za wszelką cenę chce, aby Siwara dotarła do Kof. Dlatego chciał cię zabić. Uznał że nie może ci zaufać, i zrozumiał, że będę coś podejrzewał, kiedy się dowiem, że tu był!

Ostrzegawczo pokiwał Gene'owi palcem.

– Młodzieńcze, od tej chwili twoje życie jest w niebezpieczeństwie! Nie żywię do ciebie urazy, bo możesz zostać mym sprzymierzeńcem. Nie wiem, co ci grozi, kiedy dopłyniemy do Kof, o ile nie przekonamy Siwary, by cię chroniła. Ale wtedy ona sama będzie potrzebowała pomocy. Froar może tu wejść w każdej chwili. Kiedy się tu zjawi udawaj, że wciąż śpisz. Nie przyznawaj się, że ze mną rozmawiałeś...

Gene uniósł się na łokciu.

– Czy zabijesz Siwarę?

– Tylko w ostateczności. Kocham ją, kocham ją nad życie! Jej ojciec był moim przyjacielem. Jestem łagodnym człowiekiem. Serce mnie boli na myśl o rozlewie krwi, ale muszę...

Tak, zabiję ją, bo jej śmierć ocali życie wielu mieszkańcom Nanich.

Szybkim krokiem podszedł do łóżka.

– Ale twoje przybycie jest prawdziwym zrządzeniem losu! Nieważne, kim jesteś. Siwara czuje do ciebie sympatię, a przynajmniej ci współczuje. Jesteś młody i silny. Rozkochaj ją w sobie! Nigdy jeszcze nie była zakochana. Jeśli to nastąpi i będzie się o ciebie bała, może ze-chce zawrócić! No tak – machnął ręką zrezygnowany – lecz wtedy będziemy musieli stoczyć bój ze szpiegującym nas statkiem! Trudno, przynajmniej zginiemy jak żołnierze, a nie jako niewolnicy Kof. I Siwara zda sobie sprawę z podstępu Froara.

Przechylił głowę, nasłuchując.

– Połóż się – szepnął. – Ktoś nadchodzi!

Gene ułożył się wygodnie i zamknął oczy. Kaspel pochylił się, zrećtnie okrywając go kocem. Wszedł Froar i podszedł do łóżka.

– Ciągłe śpi? – cmoknął. – Biedaczysko! Morze okazało się dla niego zbyt okrutne.

Kaspel odwrócił się do niego.

– Nie oszukujmy się, Froar. – Oczy obu mężczyzn się spotkały. – Wiem, że dodałeś mi do wina Vyras. Poczulem zapach trucizny. Najwidoczniej chciałeś się go pozbyć, zresztą podobnie jak i mnie.

Ponurą twarz Froara rozjaśnił pogardliwy uśmiech.

– Kaspel, zadziwiasz mnie swoją podejrzliwością! Czyż nie jestem twoim przyjacielem? Czyż co wieczór nie jemy razem kolacji w kajucie Siwary? I czy chociaż raz próbowa-

łem cię otruć? – jego chropawy głos stał się prawie miły.

– Nie – powiedział Kaspel – ale zabierasz mnie na przechadzki po statku i akurat wtedy urywa się kawałek liny albo prawie staczam się w dół po wąskich schodach.

Uśmiech zniknął z twarzy Froara.

– Przynajmniej wiemy, na czym stoimy.

– Właśnie.

Wymienili nieprzyjazne spojrzenia.

– No tak – Froar gwałtownie pochylił się nad Genem. – Widzę, że ten młody człowiek nie odzyskuje przytomności. Jakie to przykre! – powiedział triumfująco. – Gdyby się obudził, mógłby ci opowiedzieć ciekawą historyjkę. Rozmawiałem z nim tuż przed... przed tym nie-fortunnym pogorszeniem jego stanu i biedak strasznie majaczył. Tyle przeszedł, że aż stracił

rozum. Wydawało mu się, że widział jakiś inny statek oprócz naszego, na dodatek nie oświetlony. – Niemal tkliwie spojrzał na Gene'a. – Najprawdopodobniej wziął za statek jakąś daleką chmurę! Mówił, że nazywa się Gene – cóż za dziwne imię – i że pochodzi z miasta zwane-go Nowy... – zawahał się – Nowy Jork. Wiesz, że zupełnie zwariował. Szkoda, jest jeszcze taki młody!

Pokiwał głową z udanym współczuciem. Wyprostował się, a wtedy do łóżka podszedł

Kaspel.

– Będzie jeszcze chyba długo spał. Vyras jest silną trucizną. Byłeś na tyle sprytny, by wybrać środek, na który nie ma antidotum.

– Nie chcę dodatkowych kłopotów związanych z tym szaleńcem. Wystarczą mi te, które mam – powiedział obłudnie Froar. – Jeżeli wróci do przytomności, myślę, że będzie pod twoją opieką.



– Pod opieką Siwary – poprawił go Kaspel. – Możesz już odejść, Froar. On jeszcze długo się nie ocknie.

– Jesteś tego dziwnie pewny – mruknął Froar. – Zaczekam jakiś czas. Nie mam nic ważnego do roboty – usiadł na krześle koło łóżka. – A czemu ty nie pójdziesz, Kaspel? Jesteś na pewno zmęczony czuwaniem.

– Dziękuję, ale zostanę – pospiesznie powiedział Kaspel i przysunął do łóżka drugie krzesło. – Nie mam do ciebie zaufania i nie zostawię cię samego z tym człowiekiem. Jeszcze po moim odejściu zacząłby zachowywać się gwałtownie i, oczywiście, próbując go uspokoić, mógłbyś niechcący zabić biedaka.

– Jesteś jak na swój wiek niezwykle przewidujący – Froar uśmiechnął się.

Zapanowała cisza. Gene poruszył się, ale nie otworzył oczu.

– Byłoby zabawne – powiedział Froar – gdyby się okazało, że ten młodzian nie jest tak nieprzytomny, jak sądzimy, i że słyszał wszystko, co mówiliśmy. Ale, jak widzisz – machnął

ręką w kierunku Gene'a – nie zdaje sobie sprawy z naszej obecności. Ciekawe, po czyjej stanąłby stronie: po twojej czy po mojej, gdyby nas teraz słyszał? Jaką drogę by obrał? Czy poszedłby z tobą, wybierając wykształcenie i nędzę przez całe życie, czy ze mną, mając widoki na wielkość, bogactwo i władzę na ludzi? To interesujące zagadnienie, nie sądzisz, Kaspel?

Ale oczywiście ten młodzieniec śpi – dodał, uśmiechając się lekko, po czym powstał, zgarniając sztywne fałdy swej szaty. – Pójdę już. Biedny chłopak – w tych słowach zabrzmiała gro-

źba. – Zastanawiam się, co też z nim będzie, kiedy dopłyniemy do Kof? – niedbale potrząsnął

głową. – Nie siedź za długo, Kaspel. Pamiętaj, że Siwara oczekuje nas na kolacji!

Wyszedł z kajuty. Kaspel patrzył za nim niespokojny. Potem odwrócił się w stronę łóżka.

W porządku – powiedział do Gene'a. – Słyszałeś wszystko. Nie możesz teraz pozostać neutralny. Musisz wybierać. A więc? Co zrobisz?

Gene patrzył na drzwi, jakby Froar wciąż tam był. Zawahał się przez moment.

– Idę z tobą i Siwarą – powiedział.

– Świetnie! – Kaspel przyjaźnie położył mu dłoń na ramieniu. – A teraz wychodź z łóżka. Wstań i spróbuj zrobić parę kroków. Muszę sprawdzić, czy jesteś wystarczająco silny, bym mógł zostawić cię samego. Trudno przewidzieć, co może się stać po moim odejściu, nawet jeśli zostawię kogoś, by cię pilnował. Nazwał cię „Gene”. Czy to twoje imię? No, Gene, wstań i przejdź się trochę.

Gene odwinął koc i popatrzył zakłopotany na swe nagie ciało. Kaspel pospieszył do jednej z wielkich skrzyń, uniósł wieko i zaczął grzebać w środku. Wyciągnął zwój niebieskiego materiału,

który rzucił na łóżko.

– Załóż to – powiedział, zamykając skrzynię.

Gene nałożył tunikę.

– Dziwnie się czuję – powiedział. – Tak jakbym był w koszuli nocnej.

Kaspel niecierpliwie machnął ręką.

– Nie przejmuj się, to kwestia przyzwyczajenia. No, wstawaj.

Gene opuścił łóżko.

– Jak się czujesz? Dobrze? Zobaczymy, czy możesz chodzić.

Gene zrobił kilka kroków po grubym dywanie, odwrócił się i doszedł z powrotem do łóżka.

– Czuję się dobrze, tylko jestem głodny.

– Poproszę, żeby przyniesiono ci coś do jedzenia. Tak, wydaje mi się, że w razie czego dasz sobie radę. Dla pewności przyślę tu dwóch ludzi. Jeden będzie uważał na drugiego, a obaj będą pilnowali ciebie.

Starzec w zamyśleniu poklepał Gene'a po policzku; szeroki rękaw jego szaty odwinął się, ukazując kościste ramię.

– Musisz się odwdzięczyć za moje starania. Musisz sprawić, by Siwara cię pokochała.

– Nie wiem, czy potrafię to zrobić – powiedział Gene. – Ale mogę spróbować. Kiedy ją zobaczę?

– Spotkacie się jutro na pokładzie. Teraz muszę już iść. Bądź ostrożny!

Gene skinął głową, a Kaspel spiesznie opuścił pokój. Gene podszedł do okna i wyjrzał

przez nie. Zapadał zmierzch. Wkrótce trzeba będzie zapalić lampę. Uniósł bosą nogę i podszedł do skrzyni, z której Kaspel wyciągnął błękitne szaty. Długo szukał, zanim znalazł parę sandałów. Były trochę za duże, ale musiały wystarczyć.

Podniósł łuk, leżący na innej skrzyni, i umocował wolny koniec szpagatu. Szarpnął

cięciwę, wyciągnął strzałę z kołczana, umieścił ją w łuku i wycelował. Kiwnął głową z zadowoleniem. Nie znał się na łucznictwie, ale był to niewątpliwie dobry łuk. Miał ochotę z niego strzelić. Napiął cięciwę i skierował łuk w stronę drzwi.

Akurat w tej chwili weszli dwaj mężczyźni; jeden z nich niósł tacę z jedzeniem. Mieli takie same czarne ubiory, jak służący, który przyniósł mu śniadanie. Stanęli bez ruchu, gapiąc się na niego.

Zakłopotany Gene opuścił łuk.

– Nie mamy złych zamiarów – powiedział człowiek z tacą. – Kaspel powiedział nam, byśmy cię strzegli.

Podszedł do łóżka i postawił tacę. Gene odłożył łuk i strzały.

– Chciałem go tylko wypróbować – wyjaśnił, zbliżając się do łóżka. Uniósł pokrywki.

Tym razem przyniesiono mu ciepły chleb, filety z ryby, przybrane marynowanymi owocami, i wino. Gene usiadł i powąchał potrawy. Nie czuł zapachu więdnących kwiatów, tak charakterystycznego dla Vyras, ale mimo to zjadł mało i bez apetytu. Mężczyźni usiedli na krzesłach, obserwując go w milczeniu.

Kiedy skończył, jeden z nich odniósł tacę, po czym powrócił. Gene popatrzył na ich pozbawione wyrazu twarze i poruszył się niespokojnie.

– Jak długo będzie jeszcze trwał rejs? – zapytał.

– Trzy, cztery dni – odpowiedział jeden z mężczyzn. – Kaspel wolałby, żebyśmy z tobą nie rozmawiali.

– Wiem, ale trudno siedzieć razem i nic nie mówić – zauważył Gene.

Człowiek skinął głową, lecz nic nie odpowiedział. Gene podszedł do okna i wyjrzał.

Drżące niebo przybrało barwę purpury.

Jeden z mężczyzn wstał i zdjął lampę. Zza szerokiego paska wyciągnął małe szczypce i ścisnął ich końce. Iskra padła na knot lampy i żółte światło oblało pokój. Służący odwiesił

lampę na swoje miejsce.

Gene obserwował, jak pierwsze gwiazdy zajmowały swoje miejsca na niebie, a potem wrócił do łóżka. Położył się; nie był śpiący, tylko znudzony. W zamyśleniu wpatrywał się w haftowany baldachim nad głową. Światło lampy padało mu prosto w twarz, zamknął więc oczy, by dać im odpocząć.

Ile czasu minęło? Godzina? Dwie? Nie wiedział. Uniósł zaspane powieki. Jeden z męż-

czyn drzemał na krześle, a drugi... Co się stało z drugim? Kiedy Gene oparł się na łokciu, by rozejrzeć się za strażnikiem, ktoś wykonał gwałtowny ruch ręką i wbił nóż głęboko w pościel w miejscu, gdzie przed chwilą leżał. Młodzieńcowi serce podeszło do gardła i szarpnął się gwałtownie. Drugi mężczyzna stał za łóżkiem, oczy miał szeroko otwarte, zaś usta wykrzywił

z przerażenia. Wyciągnął sztylet z koca i uniósł ramię, by uderzyć jeszcze raz. Gene wyskoczył z łóżka, a mężczyzna podbiegł, próbując pchnąć go nożem. Chłopak zrobił unik. Służący chybił, Gene

złapał go za rękę. Drugi strażnik obudził się i patrzył na nich ogłupiały.

Człowiek z nożem próbował wyrwać się z uścisku Gene'a, ale ten nie puszczał, zaciskając z wysiłku zęby. Palce zaczęły mu się ześlizgiwać. Mężczyzna chwycił wolną ręką Gene'a za gardło, ale ten akurat pochylił się, chcąc mu uciec. Wtedy drugi mężczyzna już oprzytomniał. Z całej siły wykręcił rękę trzymającą sztylet i nóż upadł na podłogę.

Napastnik skoczył, by odzyskać broń, ale drugi strażnik był szybszy. Niedoszły zabójca wyprostował się i spojrzał arogancko.

– Widzę – odezwał się do niego wybawca Gene'a – że jesteś po stronie Froara. Myślę, że powinniśmy powiedzieć o tym Kaspelowi. Chodźmy – wskazał palcem drzwi.

Napastnik uśmiechnął się bezczelnie.

– Co to da? Moje słowa są równie dobre, jak twoje.

– Ten człowiek wszystko poświadczy – strażnik lojalny wobec Kaspela wskazał Gene'a.

– A co będzie, jeśli nie zechcę pójść?

Człowiek Kaspela szybko podniósł nóż i machnął nim znacząco.

– Nie ma obawy.

Drugi ze służących spojrzał na sztylet i wzruszył ramionami.

– Dobrze, pójdę. Jesteś teraz taki lojalny, poczekaj, aż dopłyniemy do Kof!

– Zawsze będę służył Kaspelowi i księżniczce, szczególnie w Kof! – Człowiek z nożem ruszył w kierunku drzwi. – Idziemy!

Szli wąskim holem, Gene na samym końcu. Minęli kilkoro rzeźbionych i malowanych drzwi. Doszli do końca korytarza. Człowiek Kaspela przystanął i zapukał. Gene usłyszał zza drzwi beztroski śmiech Siwary, który na odgłos pukania ucichł. Otworzyła im starsza kobieta ubrana na brązowo. Spojrzała na nich zdumiona.

– Wejdźcie – zawołała Siwara.

Siedziała razem z Kaspelem i Froarem na poduszkach, rozłożonych na podłodze. Niski stolik, z którego uprzątnięto już półmiski, przykrywał obrus z wyrysowaną na nim szachownicą.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego przyprowadziliście tu chorego?

Froar i Kaspel powstali. Księżniczka bawiła się naszyjnikiem z topazów.

– Próbował go zabić – powiedział sługa Kaspela, wskazując swego kompana, który zaatakował

Gene'a.

– Czy to prawda? – Kaspel zwrócił się do mężczyzny, a ten potrząsnął głową.

– Nic nie wie, bo spał – odparł. – Obcy podkradł się do mnie i próbował mnie udusić.

Działiałem w obronie własnej.

Gene zrobił krok do przodu.

– To kłamstwo. Dlaczego miałbym go zaatakować?

– Mówiłem wam, że to szaleniec – powiedział Froar, zwracając się do księżniczki i wskazując palcem Gene'a.

Siwara przyjrzała się Gene'owi badawczo.

– Wygląda na zupełnie normalnego. A ty – zwróciła się do człowieka z nożem – opowiedz nam wszystko dokładnie. A więc co się stało?

Podąła rękę Froarowi i Kaspelowi, a oni pomogli jej wstać.

– Byłem nieostrożny. Zdrzemnąłem się. Kiedy otworzyłem oczy już się ze sobą zmagali. Przyłączyłem się i zabrałem im nóż.

Zamyślona księżniczka uniosła naszyjnik i przycisnęła go do ust.

– Nie podoba mi się to. Dlaczego nie możemy spokojnie dopłynąć do Kof? Kaspel, Froar, myślę, że najlepiej będzie, jeśli zamkniemy ich obu do końca rejsu.

Mężczyźni podnieśli ręce w geście protestu, ale nie zwracała na nich uwagi. Przysunęła się do Gene'a i spojrzała mu w oczy z bliska.

– Jestem pewna, że ten człowiek jest normalny. Jeden z was chciał się go pozbyć, ale który? – uważnym wzrokiem zmierzyła twarze Froara i Kaspela. – Nie wiem – powiedziała zakłopotana. – Nie wiem, co o tym myśleć. Niby jesteśmy przyjaciółmi, a mimo to... Mam powody, aby obu wam nie ufać. Ale jednego i drugiego znam tak długo, że trudno mi o was źle myśleć. Lecz ostrzegam: zostawcie tego człowieka w spokoju. Nie zrobił nikomu nic złego i dosyć już wycierpiał tam, na tratwie. A może któryś z was coś o nim wie? Czyżby jego pojawienie się tutaj nie było przypadkowe?

Machnęła ręką z rozpaczą.

– Już sama nie wiem, co począć. Podejrzewam was obu. Niech dziś w nocy pilnuje go więcej ludzi – czterech, jeśli dwóch jest za mało, a jutro sama z nim porozmawiam.

Odwróciła się do Gene'a.

– Biedaku, jesteś jeszcze taki młody. Może chwilami żałujesz, że dostałeś się na nasz statek. Wstyd mi tego, co się tu wydarzyło. Nigdy do tej pory moich gości nie spotkało nic podobnego. A teraz wracaj bez obaw do swojej kajuty.

Może nie była piękna, ale nie mógł się oprzeć jej urokowi. Gene podziękował za pomoc jękając się, a księżniczka uśmiechnęła się łaskawie.

Froar wyszedł ze strażnikami. Kaspel pospieszył za nimi, dając znać Gene'owi, by mu towarzyszył. Siwara, uśmiechając się nadal, skinęła im na pożegnanie.

Gene śnił o niej całą noc.

# IV

Złote promienie słońca wpadały przez okna kajuty. Gene wytarł dłonie w ręcznik, który podał jeden ze służących i odwrócił się do umywalki, by założyć swe błękitne szaty, kiedy do kabiny wpadł Kaspel i odciągnął go na bok.

– Siwara jest na pokładzie – szepnął. – Pamiętaj, jeśli cię pokocha, będziemy bezpieczni. Czy jesteś gotów teraz się z nią spotkać?

– Jeszcze chwilę, tylko się uczeszę – Gene wziął z rąk służącego szczotkę. – Szkoda, że nie ma tutaj lustra – westchnął.

Zaczesał włosy do tyłu, ufając, że osiągnął właściwy efekt, oddał szczotkę i ruszył za Kaspelem.

– Trochę się bałem, kiedy jeden z nich zaczął mnie golić. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie poderżnie mi gardła.

Ruchliwa twarz Kaspela wyrażała rozbawienie, ale nic nie odpowiedział. Przeszli wzdłuż korytarza, otworzyli drzwi i znaleźli się na pokładzie. Statek był bardzo wąski w stosunku do swej długości. Wzdłuż burt znajdowały się ławki dla wioślarzy, teraz puste. Błyszczące żagle wydymał lekki wiatr.

Siwara siedziała w pobliżu fokmasztu na bogato zdobionym krześle, stara służąca szyła coś, skulona na poduszce leżącej u jej stóp. Księżniczka przeglądała małą, ale bardzo grubą książkę. Podniosła wzrok i z trzaskiem zamknęła tom.

– Ach, jesteście wreszcie! Marza, możesz odejść, niech gość zajmie twoje miejsce – odprawiła służącą. Staruszka zebrała swoje szycie i nie patrząc na przybyłych, poszła do kajuty.

– Kaspel, ty też wracaj do swoich zajęć, chcę, aby mój gość czuł się swobodnie.

Przeniosła wzrok na chłopaka.

– Powiedziano mi, że masz na imię Gene.

Wskazała poduszkę u swych stóp. Kaspel obserwował, jak Gene siada, po czym uklonił się dyskretnie i odszedł.

– Zmęczyło mnie czytanie – powiedziała z rozdrażnieniem Siwara, dotykając książki. –

Tylko ilustracje są ciekawe.

– Czy mogę zobaczyć? – Gene wyciągnął rękę, a dziewczyna podała mu książkę. Nie mógł odczytać rzędów dziwnych znaków, pokrywających stronicę. Księgę zdobiły delikatne drzeworyty.

– Drukowana – zauważył.

– A czego się spodziewałeś, iluminowanego rękopisu? Skąd właściwie przybywasz?

Musielicie osiągnąć wysoki poziom rozwoju, jeżeli uważasz nas za aż tak zacofanych. Może pochodzisz z jednej z tych dalekich wysp, o których krąży tyle pogłosek. Albo, jak utrzymuje Froar, jesteś szalony.

– Siwaro, a może powinienem zwracać się do ciebie: księżniczko... Nie wydaje mi się, bym urodził się na owych wyspach. Nie potrafię odczytać tego pisma – wskazał na książkę –

ale rozumiem, gdy mówicie, mimo że nie znam waszego języka.

– Froar mówi, że porozumiewasz się za pomocą myśli – odpowiedziała.

– To się nazywa telepatia, ale wiem, że nigdy nie posiadałem takich umiejętności – powiedział Gene.  
– Sądzę, że istnieje inne wytłumaczenie. Tutejsze niebo i powietrze jest inne, niż to, które znam. Sprawia wrażenie, jakby podlegało ciągłym drganiom w wyniku silnego naładowania elektrycznością. Słyszałem gdzieś, że myśli nie są niczym innym, jak zjawiskiem elektrycznym. Tam, skąd pochodzę, istnieją maszyny, które potrafią rejestrować impulsy mózgu, chociaż nie są w stanie odczytać znaczenia myśli.

– Wróciła ci pamięć?

– Tak, zaczynam sobie powoli wszystko przypominać. Przez jakiś czas nie potrafiłem odróżnić wspomnień od majaków sennych, które trapiły mnie na tratwie. Przypomniałem sobie nawet swoje nazwisko, zdaje się że Trivelli, choć to włoskie nazwisko, a jestem na pewno Irlandczykiem.

Roześmiała się.

– Nawet jeżeli porozumiewasz się za pomocą myśli, to dla mnie i tak nie wszystko, co mówisz, jest jasne! Włoskie, Irlandczyk, elektryczność! Może jednak jesteś szalony! – uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Jeżeli masz zdolności telepatyczne, czy nie mógłbyś opowiedzieć mi o wszystkim bezpośrednio, nie używając mowy?

Uniósł brwi niepewnie.

– Spróbuj!

Spróbował przesłać jej swe myśli.

– Próbujesz? – zapytała, a on skinął głową potakująco. – Nic nie czuję. Spróbuj jeszcze raz.

Ale jego wysiłki okazały się daremne.

– Nic z tego – powiedziała w końcu. – Sądzę, że pochodzisz jednak z Kof. Coś ci się przyśniło, gdy płynąłeś na tratwie, i bierzesz to teraz za rzeczywistość. Nie potrafisz czytać, a w Nanich wszyscy to umieją – dodała dumnie. – Nasze szkolnictwo jest wyjątkowe. Czyli musisz być z Kof; dla nich wykształcenie nie jest sprawą istotną. W jaki sposób znalazłeś się na pełnym morzu? Spróbuj sobie



przypomnieć.

Spuścił wzrok.

– Pływałem – powiedział wolno, grzebiąc w zakamarkach pamięci. – Tak, to było na Coney Island. Wypłynąłem trochę za daleko. Myślałem, że dam radę wrócić, ale się przeliczyłem. Cofająca się fala uniosła mnie na pełne morze. Rozpaczliwie waliłem rękami, starając się utrzymać na powierzchni, ale to nic nie pomagało. To było straszne, woda była bardzo zimna. Nagle zacząłem spadać przez niebieską otchłań w dół, jakby do jakiegoś innego oceanu.

Chyba ogłuszył mnie jakiś wstrząs, gdy już tam dotarłem. Potem nastąpiły koszmary: goniły mnie jakieś potwory, ścisnęły mi piersi łańcuchami, piły moją krew. A później płynąłem na tratwie. Musiałem wdrapać się na nią nieświadomie.

Oczy miała utkwione w jakiś odległy punkt.

– Mówisz, że leciałeś. Marynarze opowiadają stare legendy o spadających z nieba ludziach. Ale kiedy podpływały do nich statki, tamci już nie żyli. Ich ciała przywożono do Kof i grzebano. Jedna z ofiar miała na palcu pierścień. Nosi go teraz książę Kof. Tak mówi legenda, jednak pierścień równie dobrze mógł wykonać jakiś rzemieślnik z Kof, chociaż ich biżuteria nie jest tak piękna, jak nasza – dokończyła patriotycznie. Znowu spojrzała na niego.

– Może ta opowieść jest prawdziwa! Zastanawiam się, którędy mogłeś się tu dostać.

Przez bramę czasu? Jeżeli nawet, to nie w przeszłość, bo powiedziałaś, że nigdy nie słyszałeś o Kof i Nanich. Przez inną bramę, będącą szczeliną w elementach, z których zbudowane są oba światy: tamten i ten? Kto wie? Czy w twoim świecie też istnieją legendy podobne do tej?

– Niejedna – odrzekł. – Człowiek nazwiskiem Charles Fort zebrał je w książkę, ale niewiele z nich pamiętam. Każdy słyszał o deszczach ryb i żab, a czasami wiele mil od pustyń zdarzają się burze piaskowe. Kilkaset lat temu w Anglii pojawiła się kobieta, mówiąca językiem, którego nikt nie znał. Obwożono ją po kraju jako Marsjankę.

– Anglia, Marsjanka! – powtórzyła. – Opowiedz mi o twoim świecie. Czy jesteś tam księciem? Nie? Ale macie książąt?

– W pewnym sensie tak.

– Jakie są wasze miasta? Czy żyjecie w pokoju? A kobiety – czy są piękne? Jak się ubierają?

Kiedy odpowiedział jej na te pytania, zapytała z kolei:

– A jakiej używacie broni? Czy umiesz się nią posługiwać?

– Używamy karabinów – powiedział. – Proch, wybuchając, wyrzuca z metalowej rury małe, ołowiane kule. Nie, nigdy nie strzelałem z karabinu, jedynie na strzelnicy. Mamy również samoloty – wielkie obiekty, które latają jak ptaki i zrzucają bomby – pojemniki z materiałami wybuchowymi. Są

w stanie dokonać olbrzymich zniszczeń...

W oczach Siwary malowało się przerażenie.

– Czy to jakieś czary? – zapytała.

– Nie, nie czary. Nauka.

Potrząsnęła wolno głową, ogarnięta zabobonnym lękiem.

– A jednak wygląda mi to na czary – mruknęła, a potem dodała z żalem: – Och, gdyby-

śmy znali podobne sztuczki w Nanich! Nie musielibyśmy wtedy układać się z Kof.

Pochyliła się nad nim, pełna nadziei. Machinalnie uniósł głowę w stronę dziewczyny, ulegając innemu czarowi – czarowi jej kobiecości. Nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Mógłbyś powiedzieć Kaspelowi, jak wyprodukować tę czarodziejską broń. Gdybyś miał do dyspozycji fabryki Nanich, czy potrafiłbyś ją zrobić?

Te słowa wyrwały go z zamyślenia. Cofnął się i przygryzł wargi.

– Przykro mi, Siwaro, ale nie. Jestem zwykłym człowiekiem. Pracowałem w biurze.

Skąd miałbym wiedzieć, jak się robi karabiny? Gdybym się tym interesował, to może... –

dodał ponuro. – Kiedy wracałem z pracy do domu, byłem tak zmęczony, że myślałem tylko o odpoczynku. Chodziłem do kina, odwiedzałem przyjaciół. Nie jestem czarnoksiężnikiem, tylko normalnym człowiekiem.

Odsunęła się gwałtownie, zaciskając gniewnie usta.

– Wydaje mi się, że jednak jesteś szalony! Opowiadasz mi jakieś niestworzone historie, budząc we mnie nadzieję, i co z tego mam? Tylko rozczarowanie. Znalazłeś się tutaj bez szansy na powrót do tego skąd, miejsca, jak mówisz, pochodzisz. Co zamierzasz tu robić? Na co możesz się przydać w Nanich? Czy potrafisz walczyć? Jesteś dobrym łucznikiem? A może władasz mieczem?

– Nie, ale mogę się nauczyć – uczynił bezradny gest.

Roześmiała się pogardliwie.

– Możesz się nauczyć! A kiedy będziesz już miał długą, siwą brodę, staniesz się tak dobry, jak przeciętny chłopak w Nanich, który wprawia się w szermierce od dzieciństwa!

– Może mógłbym uczyć w waszych szkołach? – zapytał.

– Czego? Swojego pisma? Mamy jeden język i nie potrzebujemy innego. Różne języki rodzą różne

poglądy, a to prowadzi tylko do wojen.

– Czy macie urzędy pocztowe? Czy posiadacie wykwalifikowanych urzędników? Znam tę dziedzinę życia na wylot. Myślę, że mógłbym was czegoś nauczyć.

– Możliwe. Mamy system pocztowy, ale nie funkcjonuje on na zasadzie czarów – odrzekła.

– Znam różne maszyny, powszechnie u nas wykorzystywane. Nie wiem, na jakiej zasadzie działają, ale jeśli opowiem o nich waszym uczonym, może będą umieli je skonstruować.

Zastanowiła się nad tym.

– Tak, to prawda. Ale to za mało, by zawrócić nasz statek. Nie chcę jechać do Kof, boję się. A muszę to zrobić. Bez względu na moje odczucia, muszę zrobić to, co uważam za dobre dla mojego narodu. Kaspel nalega, bym zawróciła, i zaczynam podejrzewać, że ma rację.

Och, sama już nie wiem – wzruszyła ramionami.

Na górnym pokładzie pojawił się Froar. Oparł się o balustradę, a lekki wietrzyk rozwiewał jego czerwone szaty. Udawał, że interesuje go wyłącznie morze, ale od czasu do czasu przenosił swój ostry wzrok w stronę masztu, gdzie siedział Gene z księżniczką.

Siwarę zainteresowały zwyczaje panujące w świecie Gene'a i dokładnie go o wszystko wypytywała. Wreszcie doszli do historii.

– Jak myślisz, w jakich czasach mogły istnieć Kof i Nanich? – zapytała.

– Jakies pięćset-sześćset lat temu – odpowiedział. – Chyba tuż przed wynalezieniem prochu. Dziwne, że nie wymyśliliście spodni. Nie podoba mi się ten płaszcz kąpielowy –

dotknął swojej błękitnej tuniki.

– Spodnie? Ach, tak, mówiłeś, że nawet wasze kobiety je noszą.

Skinął głową w odpowiedzi.

– Musisz opisać je Marzy, mojej pokojówce. Uszyje mi jedno na próbę – opuściła rękę, a Gene ujął ją z bijącym sercem, ale księżniczka chciała jedynie sięgnąć po książkę. Wstała –

on też poderwał się na nogi.

– Muszę już iść. Możesz swobodnie chodzić po całym statku. Nie myślę, by groziło ci jeszcze jakieś niebezpieczeństwo.

Uśmiechnęła się lekko na pożegnanie i poszła w stronę kajut. Podmuchy wiatru targały miękką suknią,

która opinała jej ciało, uwydatniając szczupłą sylwetkę. Gene poczekał, aż zniknęła w drzwiach i dopiero wtedy usiadł na krześle.

Póki Siwara nie odeszła, Froar kontynuował uważną obserwację morza. Teraz obrócił

się, patrząc na Gene'a z udawaną sympatią. Skinął przyzywająco ręką, ale Gene pokręcił głową.

– Boisz się mnie? – zadrwił Froar. – Czyżbyś nie słyszał, jak księżniczka mówiła, że nie masz się czego obawiać? Czego się lękasz?

– Nie lękam się – odpowiedział Gene, czerwieniąc się nagle.

– Nie? To chodź tu na górę – Froar pomachał dłonią znowu i po chwili wahania Gene wszedł po wąskich i stromych schodkach na górny pokład. Gdy pojawił się przy Froarze, tamten powrócił do kontemplowania widoku fal.

– A więc stanąłeś po stronie Kaspela – mruknął, nie oglądając się na towarzysza.

Wyczuł twierdzące skinienie Gene'a. – Naprawdę żałuję, że próbowałem cię otruć, ale w tej sytuacji chyba nie można było zrobić nic lepszego. Ludzie Kaspela widzieli, jak rozmawiali-

śmy ze sobą, a nie wpadłem na pomysł, żeby im wyjaśnić, iż ten pierwszy statek, który widziałeś, to wymysł twego szalonego umysłu. Ale Kaspel i księżniczka nie są jeszcze całkowicie ciebie pewni – kontynuował. – Nie ufaj im za bardzo. Możesz jeszcze tego żałować.

Wiatr rozwiał jego siwe włosy, które zdecydowanym ruchem zgarnął na swoje miejsce.

– No, baw się teraz dobrze. Zostało ci już niewiele czasu – dodał. – Wkrótce dopłyniemy do Kof, a wtedy – wymownie przesunął palcem po gardle.

Jego słowa nie zawierały jednak bezpośredniej groźby.

– A kiedy będziemy w Kof? – zapytał Gene.

– Za trzy dni – obojętnie odpowiedział mu Froar.

Nagle zeszywniał, wpatrując się z uwagą w morze. Cóż takiego ujrzał? Gene oparł się o balustradę, przebiegając wzrokiem wodę.

– Też zauważyłeś? – zapytał podniecony Froar, wskazując horyzont. – Nie jestem pewien, czy mnie oczy nie mylą!

Gene spojrział w tamtym kierunku.

– O, teraz, widzisz? Tam, na wprost...

Nagle Froar chwycił mocno Gene'a w pasie i popchnął go. Ten uchwycił się kurczowo barierki, aby

nie wypaść za burtę, a jednocześnie kopnął przeciwnika w kostkę. Froar puścił

go, twarz mu pociemniała z bólu i gniewu. Stopniowo zapanował nad sobą i znowu przybrał

układną minę. Stał przy balustradzie, jakby nic się nie wydarzyło, ale Gene cofnął się, czujny i oburzony.

– Tak, chciałem cię wyrzucić za burtę – przyznał Froar z ujmującą szczerością, gdy Gene odwrócił się, by odejść. – Bardzo źle, że mi się nie powiodło. Ale może mi się jeszcze uda.

– Chyba że wcześniej ja ciebie wypchnę – powiedział Gene, sam się sobie dziwiąc.

Pierwszy raz w życiu naprawdę rozważał możliwość popełnienia morderstwa. Już wcześniej zauważył w sobie zmianę. Czy sprawił to ten dziwaczny rejs? I jak się to wszystko skończy?

Kabina Kaspela przypominała kajutę Gene'a. Na ścianach wisiały szafki z mosiężnymi zawiasami i drzwiczkami pokrytymi delikatnymi rzeźbami. Stało tu takie samo szerokie, niskie łóżko oraz krzesła bez oparcia i ogromne, drewniane skrzynie. Tarcze na ścianach kołysały się w rytm ruchów statku, ocierając się o płaskorzeźby. Dzidy i łuki leżały na półeczkach, z których zwieszały się też kołczany ze strzałami. W promieniach zachodzącego słońca szyby w oknach wyglądały jak różowe tafle.

Kaspel siedział zamyślony, długimi palcami ściskając poręcz krzesła. Błękitna toga wisiała na nim, jakby pod nią zamiast ciała znajdowały się jedynie kości.

Gene stał przed nim, szczegółowo opowiadając o swojej rozmowie z księżniczką Siwarą i o próbie wyrzucenia go za burtę przez Froara.

– Powiedział mi że wylądujemy w Kof za trzy dni – zakończył swą relację.

Kaspel uniósł wzrok i obserwował przez chwilę twarz Gene'a, po czym znów wbił oczy w podłogę. Nerwowo oblizał usta.

– Trzy dni – roześmiał się krótko. – Trzeci dzień się nie liczy – zobaczą nas już wtedy z Kof. Wtedy nie będziemy mogli się wycofać – potrząsnął wolno głową, myśląc nad czymś.

Gene usiadł na jednym z krzesel.

– Łatwo powiedzieć, żeby Siwara mnie pokochała, ale zostało za mało czasu. Ludzie nie zakochują się w ciągu paru dni.

Kaspel wyrwał się z zamyślenia i rozbawiony uniósł brwi.

– Nie? Młody człowieku, poznałem swoją żonę w dniu ślubu, a przeżyliśmy razem szczęśliwie trzydzieści lat, aż do jej śmierci. Jeżeli chcesz, aby Siwara żyła, spraw, by cię pokochała i zawróciła do Nanich. Jeżeli nie zrobisz tego i księżniczka zginie – będziesz w równym stopniu winien jej śmierci, jak ręka, która zada jej śmiertelny cios.

Gene skrzywił się.

– Kaspel, jak możesz siedzieć spokojnie i z zimną krwią mówić o morderstwie? Tam, skąd pochodzę, na ogół nie zabijamy ludzi. Uważamy to za czyn haniebny i nawet za samą próbę zabójstwa grozi nam kara.

– My również mamy swoje prawa – powiedział Kaspel. – Ale to wykracza poza prawa ustanowione dla zwykłych ludzi, to dotyczy przyszłości całego narodu. Och, gdybyś widział

Nanich! Żyjemy bardzo prosto w porównaniu do luksusów Kof; luksusów osiągniętych w wyniku cierpień tysięcy niewolników! Ale jesteśmy dumni z naszej wolności, oświecenia i woli postępu! Im dłużej będziemy zwlekać, broniąc się przed Kof traktatami, które i tak nie będą przestrzegane, tym

więcej czasu damy im na przygotowania. Siwara zamierza płacić Kof haracz. Ona na tym nie ucierpi, ale pogorszy się los ogromnej rzeszy kobiet i mężczyzn w Nanich, nie mówiąc już o ich dzieciach. Siwara przerwie budowę fortyfikacji w Nanich, aby okazać swoją dobrą wolę, a jeśli Kof zaatakuje nas z nienacką? Co się wtedy stanie z Nanich?

Uniósł rękę do skroni i potrząsnął głową z rozdrażnieniem.

– Los Siwary jest w twoich rękach! Lubi cię – to szczerza dziewczyna. Gdybyś jej się nie spodobał, szybko dałaby ci odczuć swoją niechęć. Postaraj się być jeszcze miłszy. Zaprosiła cię dziś na kolację – to dobry znak.

Położył rękę z powrotem na poręczy krzesła, odwracając się w stronę okna.

– Słońce zachodzi – powiedział. – Księżniczka spodziewa się nas lada chwilę. Idziemy?

Wstał; Gene również się uniósł.

– Chwileczkę.

Dał znak Gene'owi, aby zaczekał, podszedł do jednej ze skrzyń, uniósł ciężkie wieko i wyciągnął z niej krótki sztylet. Opuścił wieko i wsunął nóż za pas.

– Może też powinieneś być uzbrojony. Nikt z nas nie jest bezpieczny, póki nie nadejdzie trzeci dzień i na horyzoncie nie pojawi się Kof. Wtedy Froar nie będzie nas już uważał za groźnych – uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Ale myli się!

Lecz nie zrobił ruchu, żeby dać Gene'owi nóż.

Kaspel krytycznie spojrział na swoje szaty, wygładził fałdy i skinął na Gene'a, by mu towarzyszył. Wyszli do wąskiego, krótkiego korytarzyka i dotarli do kajuty Siwary. Kaspel zapukał. Otworzyła im Marza. Siwara wyglądała przez jedyne wielkie okno swej kabiny.

Było otwarte i morski wietrzyk bawił się jej włosami. Suknia księżniczki była tak lekka, że przy najmniejszym ruchu unosiła się w powietrzu, spowijając dziewczynę jak gdyby obłokiem żółtej mgiełki. Odwróciła się, by ich powitać.

– Dobry wieczór, Kaspel. Dobry wieczór, Gene – patrzyła na nich łagodnym wzrokiem.

– Czy zaczekamy na Froara?

Cztery duże poduszki leżały wokół niskiego stołu stojącego pośrodku komnaty. Pokojówka Marza wносиła półmiski, nie rzucając się nikomu w oczy w swym czarnym stroju.

Siwara wskazała na morze.

– Widzieliście zachód słońca? Jest wspaniały. Niebo jest takie czyste, takie spokojne.

Spójrzcie tylko!

Zrobiła dla nich miejsce, aby mogli popatrzeć. Stała z jednej strony, Kaspel z drugiej, a Gene między nimi.

Kątem oka spojrzął na dziewczynę. Obserwowała go, a potem odwróciła wzrok. Popatrzył na nią otwarcie – w ostatnich promieniach słońca wydawała się wyjątkowo blada. Jakże była kruchą i delikatną istotą!

Wyczuła zachwyty młodzieńca.

– Wcale nie patrzysz na morze – zgańła go lekko, a następnie odwróciła się do okna. –

Teraz jest pogodnie, ale obawiam się, że znowu zanoszą się na burzę. To nie najlepsza pora na żeglowanie. To czas „Lakta” – pora sztormów lub, jak wy mówicie, zima. Nie wypłynęliby-

śmy teraz, gdyby miał to być tylko rejs wycieczkowy. Niewiele statków żeglują po morzu o tej porze roku. Myślę, że nawet już teraz wiatr się wzmaga.

Kaspel był tak pochłonięty zachodem słońca, jakby widział go po raz pierwszy w swym życiu. Gene zdał sobie sprawę z tego, że Kaspel dawał mu do zrozumienia, by stał się bardziej czuły. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale miał w głowie tyle zwrotów, że nie wiedział, który wybrać. Milczał więc, speszony.

Siwara pochylała się nad stołem, przestawiając półmiski, które przyniosła pokojówka.

Kaspel wykorzystał okazję, by się odwrócić i wydać Gene'owi niemy rozkaz. Gene przełknął głośno ślinę i wyjąkał:

– Siwaro...

– Słucham? – spytała grzecznie.

– Opowiadałem ci o moim kraju i o naszych obyczajach. Dlaczego ty nie opowiesz mi czegoś o waszym życiu? Na przykład, jak... jak ludzie u was się zakochują?

Wydawała się nieco rozgniewana, po chwili jednak jej oczy złagodniały.

– Jedną z naszych zasad jest nigdy nie mówić o miłości – odparła. – Nie wspominamy o niej, gdyż jest zbyt ważna. Kochamy się, nie mówiąc o miłości...

Usłyszeli pukanie do drzwi i zanim się odwrócili, wszedł Froar, odziany w błyszczące, szkarłatne jedwabie. Zamknął drzwi za sobą, złożył ręce i przyjrzał się zebranym. Chociaż się uśmiechnął, spoglądał na Gene'a lodowatym wzrokiem; rozbitek odpowiedział wyzywająco na jego spojrzenie. W chwili gdy wchodził Froar, w drzwiach do przyległego pomieszczenia ukazała się pokojówka Marza. Za moment zniknęła, po czym powróciła z wazą parującej zupy. Rozlała ją do małych



miseczek, postawiła wazę na stole i wycofała się z kajuty.

– Czy możemy siadać? – zapytała Siwara, sadowiąc się na swojej poduszce. – Ty, Froar, z lewej strony, a Kaspel, jak zwykle z prawej. A ty, Gene, siądź naprzeciwko mnie.

Zajęli miejsca na poduszkach. Siwara z gracją uniosła miseczkę i spróbowała zupy.

Mężczyźni małymi łykami pili parujący płyn.

Froar zwrócił głowę w stronę księżniczki.

– Czy Gene powiedział ci, że niedługo koniec rejsu? Będziemy w Kof za trzy dni.

Księżniczka potrząsnęła głową.

– Nie wiedziałam. W takim razie płyniemy dosyć szybko, prawda?

Froar niemal czule spojrział na Gene'a.

– A więc nie jesteś plotkarzem – powiedział żartobliwie.

Pod koniec posiłku zasłony w oknach zaczęły trzepotać od podmuchów wiatru, które uniosły również róg obrusa i przykryły nim zastawę.

– Czy moglibyście zamknąć okno? – spytała księżniczka, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Froar i Gene wstali niemal jednocześnie, ale Froar był bliżej okna. Zanim je zamknął, przyjrzał się uważnie czarnemu, nocnemu niebu usianemu gwiazdami.

– Wiatr się wzmaga – powiedział zamyślony.

Siwara spojrzała na niego przez ramię.

– Mam nadzieję, że nie oznacza to kolejnego sztormu – zauważyła ze skargą w głosie. –

Nie życzę sobie dalszej zwłoki. Chcę jak najszybciej dotrzeć do Kof i mieć już za sobą tę wstrętą sprawę. Czy wiatr będzie nam sprzyjał?

Froar wrócił do stołu.

– Myślę, że tak – powiedział siadając.

Księżniczka odwróciła oczy od nieśmiałego i żarliwego spojrzenia Gene'a, ale po chwili spojrzała znów na niego, uśmiechając się rozbawiona. Zawstydzony Gene spuścił wzrok i poczuł, jak Kaspel z wyrzutem trąca go nogą pod stołem.

Ktoś zastukał do drzwi, Marzą pospieszyła, by je otworzyć. W wejściu stał jeden z członków załogi, czarną tunikę podkasał tak, że jej brzeg sięgał ledwo kolan.

– Przepraszam – wysapał, jakby widok księżniczki go przestraszył. – Przyszedłem do pana Froara – to pilne...

Skulił się, jakby w obawie, że odziany w czerwień mężczyzna zaraz czymś w niego ciśnie, ale Froar wstał, uklonił się księżniczce i pospiesznie wyszedł. Marzą zamknęła za nimi drzwi.

Kaspel patrzył za nimi z poważną miną.

– Coś się stało – powiedział. – Lepiej też pójde. Skinąwszy księżniczce opuścił pokój.

– Jeszcze trochę wina?

Siwara pochyliła się nad stołem, aby napełnić kieliszek Gene'a, szerokie rękawy sukni podnosiły się i opadały w rytm jej ruchów. Gene uniósł dłoń, by dotknąć jej ręki, zawahał się jednak. Siwara postawiła karafkę i cofnęła się z uśmiechem.

– Widzę, że marzą ci się zaloty, tylko jesteś zbyt nieśmiały. Mam rację? – zapytała z figlarnym błyskiem w oku.

Gene kiwnął głową poważnie.

– Najgorsze, że naprawdę się w tobie zakochałem – odparł.

– Powiedziałeś to takim tonem, jakbyś był tym zmartwiony – zauważyła kokieteryjnie.

Zaczerwieniła się i zniżyła głos. – Przepraszam, nie powinnam tak mówić. Najlepiej będzie, jeśli o mnie zapomnisz, Gene.

– Dlaczego? Bo jesteś księżniczką? – zapytał zaintrygowany.

– To nie kwestia pozycji społecznej, ale obowiązków, które z tym się wiążą. Czy potrafiłbyś rządzić u mojego boku? Przecież nie jesteś z Nanich. Mogę poślubić, kogo zechcę, ale ludność Nanich nie ufałaby ci. Poza tym, spójrz na siebie! Nie potrafisz nawet walczyć...

przynajmniej tak, jak my walczymy... – dodała szczerze.

– Mogę użyć swoich pięści. Nie jestem cherlakiem – przerwał jej gwałtownie.

– Pięści! – powiedziała drwiącym tonem. – Na co zdadzą się pięści przeciw mieczom, kopiom i strzałom?

Jej pogardliwe słowa skłoniły go do przysunięcia się bliżej niej, na poduszkę Froara.

– Nie podoba mi się twoja postawa – zauważyła. – Jesteś młody, ale zbyt ostrożny. Brak ci pewności siebie. Sprawił to świat, w którym wyrosłeś, tak jak w Kof poddaństwo niszczy ducha młodzieży. Człowiek, który chciałby pretendować do mojej ręki musi być zaradny... i śmiały...

– Co mam zrobić, abym ci się spodobał, aby ci udowodnić, że nie jestem taki, za jakiego mnie bierzesz...

Uniosła się z poduszki nieco dotknięta i podeszła do okna. Zawahał się, ale po chwili przyłączył się do niej.

– Siwaro...

Pocałował ją mocno i z autentyczną żarliwością. W pierwszej chwili poddała mu się, ale zaraz uwolniła się z uścisku. Jej oczy były pełne oburzenia.

– Myślisz, że mogłabym cię pokochać? – krzyknęła tak głośno, że aż usłyszała ją Marza i stanęła w drzwiach, patrząc z niepokojem. – Nie jestem zwykłą kobietą. Nie mogę się zakochać jak każda dziewczyna. Jestem niewolnicą swojego kraju, przeznaczoną dla podobnego do mnie niewolnika.

Odwróciła się. Stara służąca popatrzyła na nich jeszcze przez moment, po czym wycofała się z kajuty.

Gene był nie mniej zły od niej. Pierwszy pocałunek okazał się cudowny i wzbudził w nim ochotę na kolejne. Energicznie podszedł do dziewczyny i obrócił ją ku sobie.

– Sprawię, że mnie pokochasz! – powiedział i znów namiętnie ją pocałował.

Nie opierała się już. Ich usta pozostawały złączone przez długi czas. Uniosła ręce i objęła go. Potem, tak jak poprzednio, odepchnęła mężczyznę, unikając jego wzroku.

– To jest nie do zniesienia! Kiedy wyciągnęli cię z morza, było mi ciebie żal, bo jesteś taki młody i tyle wycierpiałeś. Gdybym wiedziała, że moje współczucie doprowadzi do czegoś takiego, poleciałabym wrzucić cię z powrotem do wody! – uśmiechnęła się na samą myśl o tym.

– Siwaro...

Znowu wyciągnął ręce w jej stronę, gdy wtem otworzyły się drzwi i wpadł Froar z twarzą pałającą niezwykłym oburzeniem. Jedno jego spojrzenie stłumiło pragnienia Gene'a i kontrargumenty Siwary, ale Froar był pochłonięty bardziej istotnymi sprawami. Za nim, z miną winowajcy na pociągłej twarzy, kroczył Kaspel. Siwara pospieszyła w ich stronę, Gene opuścił ręce i odwrócił się do nich.

– Statek zboczył z kursu! – krzyknął Froar głosem przypominającym turkotanie żela-znej obręczy po bruku. – Ktoś manipulował przy kompasie! Mam tego dosyć... tego wtrącania się! Żądam, aby Kaspel i wszyscy, którzy mu służą, zostali na pozostałą część rejsu zamknię-

ci!

Siwara zwróciła się do Kaspela jak do niegrzecznego dziecka.

– Czy to twoja sprawka? – zapytała łagodnie.

Kaspel rzucił jej przelotny, żaloszny uśmiech i przytaknął.

Klasnęła w dłonie i odwróciła się od nich.

– Dlaczego dochodzi do takich sytuacji? Kaspel, czemu nie przyjmujesz moich decyzji jako ostatecznych?

Mężczyzna w błękitach nie odpowiedział.

– Froar, nie mam pretensji o to, że cię to rozgniewało. Ja też jestem oburzona, lecz...

Widać było, że szuka usprawiedliwienia dla Kaspela. Ale Froar przerwał jej i wskazał na Gene'a.

– Jego lepiej też zamknij! Pomaga Kaspelowi!

Odwróciła się gwałtownie w stronę młodzieńca.

– Czy to prawda? Zresztą nie musisz odpowiadać. Powinnam była sama się tego domy-

ślić. Kaspel, jak mogłeś mi coś takiego zrobić? Powiedziałeś mi, żeby mnie rozkochał w sobie, tak? I nie wzięłeś pod uwagę moich uczuć? Myślałeś, że mogłabym...

– Nie miał dla ciebie żadnych względów! – wtrącił Froar z triumfem. – Zrobiłby wszystko, abyśmy tylko nie dopłynęli do Kof. Gotów byłby nawet cię zabić, moja mała księżniczko!

Spojrzała uważnie na niego, tupiąc gniewnie nogą.

– Froar! Czy wiesz, co mówisz?

Uśmiechnął się chytrze.

– Sama go spytaj, jeśli uważasz, że powie ci prawdę.

Spojrzała na Kaspela, który skinął bez słowa. Otworzyła usta z przerażenia i cofnęła się o krok. Zorientowała się, że zbliżyła się tym samym do Gene'a i odskoczyła od niego jak opa-rzona. Marza znowu pojawiła się w drzwiach, obserwując wszystko w milczeniu.

Siwara przechyliła głowę do tyłu w ataku histerycznego śmiechu.

– Czy kiedykolwiek jakaś kobieta była tak omotana siecią intryg?

Śmiech zamarł na jej ustach i ukryła twarz w dłoniach, zawstydzona swym wybuchem.

Wszyscy trzej mężczyźni podeszli do niej jednocześnie, by ją pocieszyć, spojrzeli na siebie i zatrzymali się. Gene i Kaspel popatrzyli groźnie na Froara, którego kamienny wzrok pełen był

wzgardy. Widząc to, Siwara uczyniła gest, jakby ich odpychała. Opuściła ręce wzdłuż ciała i z godnością uniosła głowę.

– Oświadczam, że od tej chwili wszystkie sprawy dotyczące statku są w rękach Froara i tych, którzy są mu wierni.

Na upartej twarzy Froara ukazał się błysk triumfu, gestem zwycięstwa przegarnął swoje siwe włosy.

– Kaspel – w jej oczach błysnęły łzy; otarła je gwałtownie – trudno mi uwierzyć, że mógłbyś mnie zabić. Kochasz mnie, wiem o tym. To nie ty byś mnie zabił, ale twoje oddanie dla Nanich. Rozumiem cię. To, co chcę powiedzieć, nie płynie z mojego serca, ale jest wynikiem poczucia odpowiedzialności, którym muszę się kierować. Bo ja też ciebie kocham, Kaspel. Z całego serca. Jestem ci wdzięczna za lata opieki i nauki. Ale teraz to ja decyduję –

urwała, z trudem łapiąc powietrze, jakby nie była pewna, czy powinna kontynuować. –

Musisz pozostać w swoim pokoju, Kaspel. Froar wyznaczy ludzi, którzy będą cię pilnowali.

Jeśli nie zrobisz żadnego głupstwa, nic ci się nie stanie... Prawda, Froar?

Człowiek w purpurze przytaknął.

Z zewnątrz dobiegało ciche zawrozczenie wiatru.

Podłoga zaczęła chwiać się pod ich stopami. Siwara podeszła do ściany i oparła się o nią, aby utrzymać równowagę. Żółta tkanina jej szat zawirowała jak płomień.

– A co z nim? – Froar wskazał na Gene'a.

– Pójdzie z Kaspelem – wykrzywiła pogardliwie usta.

– Świetnie!

Na twarzy Froara malowała się satysfakcja. Obrócił się, dając znak ludziom, czekają-

cym w korytarzu. Na odgłos ich kroków Kaspel ukrył twarz w dłoniach, zgarbiwszy się z żalu. Siwara dotknęła jego palców gestem pocieszenia.

– Siwaro – ciągnął Froar – ty również musisz być strzeżona. Radzę tak z uwagi na twoje własne dobre. To prawda, że Kaspel będzie naszym więźniem – szyderczo uśmiechnął się do mężczyzny w błękicie – ale nie wiemy, jak długo nim pozostanie.

Ludzie z korytarza otoczyli Kaspela i Gene'a. Froar podniósł głos tak, aby go dobrze usłyszeli.

– Nie mamy pewności, czy ci ludzie dochowają nam wierności. Mogą zostać namówieni przez Kaspela, aby go uwolnili. Mogą zostać przekupieni. Wiem, że niektórzy z nich są mi wierni, ale nie wszystkich jestem pewny. Ale od tej chwili każdy winien najmniejszego nieposłuszeństwa wobec mnie niech się ma na baczności! Czy mam twoją zgodę?

Przytaknęła energicznie, aby usłyszeli ją służący.

– A więc, Siwaro, do końca podróży musisz pozostać w swych komnatach. Będę ci przysyłał posiłki, tak, by nikt nie mógł cię otruć. A tobie nie wolno opuszczać kabiny.

– Rozumiem – zgodziła się z powagą.

Dał znak swoim ludziom, którzy wyprowadzili Kaspela i Gene'a na korytarz, a sam zbliżył się do Siwary.

– Zabraknie nam marynarzy, jeżeli zamkniemy wszystkich ludzi Kaspela. Gdybyś była rozsądna, ułatwiłabyś znacznie sprawę, każąc wyrzucić tego Gene'a za burtę, tam, skąd przybył – mówił, obserwując ją z uwagą.

– Nie trzeba! – cofnęła się i zaniepokojona uniosła rękę.

Uśmiechnął się uprzejmie.

– Oczywiście że nie, jeśli go kochasz. Ale miłość i polityka nie chodzą w parze, Siwaro.

– Sądysz, że go kocham? Takie chuchro? – Jej drobna twarz pałała oburzeniem. Spojrzała w głąb korytarza za Gene'em, gwałtownie zaciskając pięści. – Myślisz, że mi na nim zależy, po tym, co zrobił za namową Kaspela?

– Chciałem się tylko upewnić – powiedział Froar, ale pod maską uprzejmości kryła się groźba. Zawołał do swoich ludzi: – Trzech z was niech idzie z Kaspelem do jego kajuty. Jest już stary i nic wam nie zrobi. Ten drugi jest z kolei jak dziecko. Reszta niech stanie pod drzwiami; niedługo was zwolnię.

Uniósł dłoń Siwary i pocałował.

– Dobranoc, księżniczko.

Zachowywał się tak arogancko, że Siwara gwałtownie wyrwała mu rękę. W jej oczach wciąż malowały się wątpliwości. Kiedy Froar wyszedł, skinęła na Marzę, by zamknęła drzwi.

Trzej ubrani na czarno mężczyźni weszli do kabiny Kaspela razem z obu więźniami.

Dwaj z nich zajęli miejsca przy oknie, trzeci pozostał przy drzwiach. Kaspel zachwiał się i usiadł na łóżku.

– Nie ma już nadziei na odwrót – powiedział, podczas gdy jeden z ludzi Froara zapalał lampę.

Gene usiadł obok niego i położył rękę na pochylonych plecach starca.

– Kaspel, tak mi przykro!

Kaspel cicho zakaszłał.

– Biedne Nanich! – potrząsnął głową z rozpaczą.

Wiatr zawodził wśród żagli, fale waliły jak oszalałe o burty statku.

– Mam nadzieję, że zatoniemy – powiedział stłumionym głosem Kaspel.

# VI

Mała lampa kołysała się tam i z powrotem. Gene leżał na brzuchu w poprzek łóżka, podpierając się na łokciach, z rękami pod brodą. Kaspel, zaciskając nerwowo ręce z tyłu, chodził po pokoju ze spuszczoną głową, poruszając bezgłośnie ustami. Ludzie przy oknie patrzyli obojętnie, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia na wzburzone morze za oknem.

Strażnik stojący przy drzwiach postawił krzesło koło wejścia i rozsiadł się wygodnie, skrzyżowawszy ręce.

Kaspel podniósł wzrok, jakby podjął jakąś ważną decyzję. Podeszedł do mężczyzn przy oknie.

– Musicie nas wypuścić – powiedział, w jego zwykle łagodnym głosie słychać było strapienie. – Musimy przynajmniej zobaczyć się z Siwarą. Nie ma w tym chyba nic złego? –

Zrobił błagalny gest w stronę strażników. – Chłopcy, przecież znamy się długo. Niektórzy z was służyli księżniczce przez wiele lat. A teraz nagle poparliście Froara. Czemu, na litość boską, czemu?

Dwójka mężczyzn przy oknie wymieniła ostrożne i nieufne spojrzenia. Jeden z nich powiedział:

– Kaspel, nie próbuj zmieniać naszych poglądów. Nie będziemy cię słuchać.

Człowiek w błękitnej szacie zbliżył się do mówiącego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Miskal, ty z pewnością to zrozumiesz. Jeżeli nie zobaczymy się z Siwarą, nie będziemy mogli zawrócić statku, a to będzie oznaczało koniec Nanich! Nie wierzysz mi? Czy też nie zależy ci na tym? No, mów!

Mężczyzna strącił dłoń Kaspela ze swego ramienia i cofnął się lekko.

– Powiedziałem już, że nie będę cię słuchał, Kaspel. Żaden z nas nie chce cię słuchać.

Nie próbuj nas przekonywać.

Spojrzał na pozostałych strażników, którzy przytaknęli z namaszczaniem.

Kaspel odwrócił się, zły i zrozpaczony, zaciskając dłonie w pięści. Chodził tam i z powrotem, marszcząc czoło i przygryzając wargi. Spojrzał jeszcze raz błagalnie na strażnika, którego nazwał Miskalem, ale ten potrząsnął głową. Ponownie podjął swoją bezcelową wę-

drówkę. Gene leżał bez ruchu z apatycznym wyrazem twarzy.

Wiatr szarpnął statkiem, który pochylił się tak, że Kaspel prawie stracił równowagę.

Mężczyźni stojący przy oknie, aby nie upaść, chwycili się parapetów. Wzdychając niecierpliwie,



Kaspel rzucił się na łóżko i zwinął w kłębek, kolanami dotykając niemal twarzy. Ile czasu minęło? Trudno było to stwierdzić. Minuty wydawały się trwać tyle, co wiek. Nic się nie działo, jedynie kołysząca się lampa rzucała migotliwy cień, ludzie Froara patrzyli spod oka, a statek chwiał się na falach.

Usłyszeli dobiegające z korytarza podniesione głosy, ale nie mogli zrozumieć słów.

Głosy ucichły. Potem ktoś spróbował otworzyć drzwi kajuty. Gene i Kaspel spojrzeli na siebie z nadzieją w oczach. Strażnik siedzący przy drzwiach wstał, odsunął krzesło na bok, wyciągnął z pochwy przy pasku sztylet i ostrożnie uchylił drzwi. Ktoś zajrzał do środka.

– Księżniczka przysłała swoją pokojówkę, aby ta zobaczyła się z Kaspelem. Powiedzieliśmy jej, żeby sobie poszła, ale wręczyła nam tę karteczkę. Myślę, że możemy ją dać Kaspelowi; Froar nic nie mówił na ten temat.

Strażnik stojący w drzwiach wziął kartkę. Rozwinął szeleszczący papier i przebiegł wzrokiem kolumny pisma.

– Nie wiem. Może powinniśmy posłać kogoś do Froara i zapytać. Ale bez względu na to, co tu jest napisane, tak długo, póki ich pilnujemy, ten liścik nie może wyrządzić żadnej szkody.

Złożył kartkę, kiwnął ręką do drugiego mężczyzny, zamknął drzwi, postawił przy nich krzesło i dopiero wtedy wręczył notatkę Kaspelowi. Sztywnym krokiem powrócił na swoje miejsce i usiadł.

Kaspel rozwinął kartkę drżącymi palcami. Przebiegł pismo oczami, które rozszerzyły się z radości i zdumienia.

Gene zauważył gwałtowną zmianę wyrazu jego twarzy i oparł się o plecy Kaspela, patrząc mu przez ramię.

– Co tu jest napisane?

Mężczyźni przy oknie nie zbliżyli się, ale wyciągnęli szyje, płonąc wprost z ciekawości.

Kaspel przeczytał cicho:

– *Przemyś lałam wszystko. Miałaś rację . Ś ledzi nas statek z Kof, Froar dawał mu znaki.*

*Chciałabym zawrócić . Wybacz mi, Kaspel...*

Starzec w błękitnej szacie przerwał i pokiwał smutno głową.

– Teraz zobaczyła to, czego nie chciała widzieć, gdy jej próbowałem tłumaczyć!

Kontynuował czytanie:

– Powiedziałałam Froarowi, że chcę zawrócić. Wyś miał mnie. Podejrzewam, że chce mnie umieścić na pokładzie statku, który płynie za nami.

– To wszystko? – zapytał Gene, patrząc bacznie w twarz Kaspela.

Starzec zamiast odpowiedzi uśmiechnął się jedynie smutno i wolno podarł kartkę na drobne kawałeczki, które położył w rogu łóżka.

– Siwara zrozumiała... ale za późno! – jęknął.

Gene cofnął się, obrzucając uważnym spojrzeniem kajutę. Twarz mu pojaśniała, jakby znalazł sposób dotarcia do Siwary, ale po chwili pokręcił głową. Najwidoczniej plan miał

jakieś słabe punkty. Zmarszczywszy brwi, wpatrywał się w jedwabną kapę na łóżku. Nagle spojrzał na starca.

– Kaspel, czemu Froar płynie do Kof?

Kaspel nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Jak to, dlaczego płynie do Kof?

– Zapytam inaczej: czemu Froarowi tak zależy na tym, żeby zdradzić Nanich?

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi z irytacją. Zanim otworzył usta, Gene dodał:

– Bo pragnie bogactw, prawda? A czemu nie może stać się bogaczem w Nanich? Ponieważ tam wszyscy są wolni, równi i wszystko dzieli się sprawiedliwie. Froar zaś nie należy do ludzi, którzy zadowolają się tym, co ma każdy.

Gene siedział z twarzą zwróconą ku Kaspelowi, ale kątem oka zauważył, że strażnicy uważnie im się przysłuchują.

– W jaki sposób Froar chce w Kof osiągnąć bogactwo? – ciągnął. – Zdradzając Nanich i pozbawiając dobytku ludzi, których zdradził. To pokazuje, że jest całkowicie pozbawiony skrupułów i dba wyłącznie o własne interesy.

Spojrzał na strażników.

– Jak wynagrodzi swych popleczników? Powiedziałaś, że pochodzą z Nanich. Służąc zdrajcy, pokazali, że nie kochają swej ojczyzny. Wyparli się matki, która ich urodziła i wychowała na silnych mężczyzn. Gdyby urodzili się w Kof, czy mieliby taką możliwość, możliwość zdrady własnego kraju? Nie. Od urodzenia byliby niewolnikami, nigdy by nie śmieli niczemu się sprzeciwić. Nigdy nie staliby się prawdziwymi mężczyznami. W Kof już by się o to postarano.

Kaspel skinął głową w milczeniu, zrozumiałwszy, do czego zmierzał Gene. Wzrok Gene'a padł na strażników.

– Byliby niewolnikami Kof! Szpiedzy informowaliby policję o ich każdym ruchu, prawda? Zastanawiam się, ilu ludzi w Kof oddałoby swoje życie, aby móc powiedzieć chociaż jedno słowo przeciw tyranom, którzy ich gnębią? – Zrobił przerwę, aby jego słowa wywarły większy efekt. – Czy ci ludzie zamierzają spędzić resztę swego życia pod rządami Kof? Nie mają innego wyjścia, bo ich zdrada oznacza upadek Nanich. Nie będą mogli już tam wrócić, bo nie będzie Nanich!

Roześmiał się pogardliwie.

– Czyli muszą spędzić resztę swego życia w Kof. To zabawne. Czemu służą Froarowi?

Ponieważ obiecał im nagrodę. Może dał im pieniądze albo klejnoty, a obiecał jeszcze więcej.

Ale kiedy już dotrą do Kof, czy myślisz, że Froar dotrzyma obietnicy? Froar? – Gene znowu się zaśmiał. – Na pewno nie!

Mężczyźni z uwagą słuchali jego słów. Dwaj stojący przy oknie bezwiednie opuścili swoje miejsca i zbliżyli się do łóżka. Strażnik przy drzwiach siedział z szeroko rozdziawionymi ustami.

– Obiecał swoim ludziom wiele – ciągnął Gene. – Może nawet część dał im z góry. Ma-rzą o bogactwie i władzy. Ale Froar również marzy o bogactwie i władzy. Wszyscy nie mogą być bogaci. Im więcej bogatych, tym mniej pieniędzy dla każdego z nich. Czy dobrze mnie zrozumieliście? – zwrócił się bezpośrednio do strażników. – Być może Froar jest w Kof dobrze znany. Tak więc ryzykuje niewiele, a może zyskać władzę i bogactwa. Ale czy znają tam któregoś z was?

Mężczyźni wymienili między sobą zatroskane spojrzenia, ale nic nie odpowiedzieli.

– Oczywiście nie. Przybędziecie do Kof jako prości żeglarze, służba pałacowa, czy też kim tam jesteście. Będziecie mieli parę klejnotów. Rozpocznie się wojna z Nanich i będziecie musieli walczyć ze swoimi rodakami lub pozostać w Kof. To, co dostaliście od Froara, nie wystarczy wam na długo. Co wtedy zrobicie?

Mężczyźni stali przy łóżku, patrząc na niego zafrasowani.

– Skąd wiecie, czy Froar nie każe was uwięzić, jak tylko dobijemy do brzegu? Dlaczego miałby się przejmować waszymi dalszymi losami? Wypełniliście już swoje zadanie. Nie przy-dacie mu się za bardzo w intrygach politycznych w Kof, będziecie tylko ciężarem. A Froar jest bezwzględny i nie toleruje żadnych przeszkód na swojej drodze. Mogliście się o tym sami przekonać, widząc, co próbował uczynić z Kaspelem i ze mną.

Postępujcie tak nadal, głupcy. Teraz się z nas śmiejecie, ale wkrótce znajdziemy się wszyscy razem w tym samym więzieniu w Kof i być może razem umrzemy. Bardzo możliwe jednak, że wy zginiecie, a my nie. Kaspel zbyt dobrze zna sprawy Nanich, aby władcy Kof chcieli się go szybko pozbyć. Będą potrzebowali jego rad, czyli zdobędzie sobie pewne wpływy, jakąś swobodę, przynajmniej na jakiś czas.

A wtedy wy, gnijąc w więzieniu, możecie myśleć sobie o tym wszystkim i zastanawiać się, czemu daliście się zwieść Froarowi. Jednak wtedy już nikt nie będzie mógł was już uratować, nawet

Kaspel!

Usiadł prosto, dysząc z gniewu i łapiąc oddech. Strażnicy niepewnie patrzyli po sobie.

– On ma rację – powiedział ten, którego nazywali Miskalem.

Mężczyzna siedzący obok niego zaczął się kręcić, jakby go coś uwierało.

– To prawda... byliśmy ślepi... bezmyślni... to prawda. A co ty sądzisz, Tuir? – spojrzał w stronę strażnika pilnującego drzwi.

Tuir skinął głową.

– Kaspel, wybacz nam naszą słabość – powiedział, padając przed starcem na kolana. –

Od tej chwili będziemy służyć tylko tobie i już nigdy cię nie zdradzimy.

Kaspel obserwował jego uniesioną twarz.

– Kto wie? – powiedział wolno. – Kto wie?

Wszyscy trzej klęczeli teraz przed nim.

– Przysięgamy ci, Kaspel, że będziemy walczyć za ciebie; za ciebie i Nanich!

Radość z niedowierzaniem walczyły na obliczu Kaspela. Odwrócił się do Gene'a, a w oczach błyszczały mu łzy. Poklepał go po plecach.

– Zuch chłopak!

Podniósł się z łóżka.

– Wstańcie, wy trzej! – powiedział władcym tonem. – Wierzę wam, ale jest jeszcze dużo do zrobienia, zanim będziemy mogli sobie pogratulować. Tuir, ilu ludzi stoi za drzwiami?

– Trzech.

– Czy jest wśród nich Lal?

Tuir skinął głową.

– Dobrze. O niego nie musimy się martwić. Jest mi wierny, chociaż udaje, że służy Froarowi – powiedział rozpromieniony Kaspel. – A pozostali dwaj?

Tuir wymienił ich imiona. Kaspel zaniepokojony potarł podbródek.

– Nie mamy czasu ich przekonywać. Kof jest zbyt blisko, a jeżeli zawrócimy, będziemy musieli uciekać przed śledzącym nas statkiem. Wy dwaj stańcie za drzwiami. Ty, Tuir, zawo-

łaj tamtych do środka, a wtedy ta dwójka zajmie się nimi.

Mężczyźni z zapalem ruszyli w stronę drzwi, Gene razem z nimi. Kaspel uniósł ostrzegawczo dłoń.

– Nie zabijajcie ich. Ogluszcie ich jedynie i zwiążcie. Gene, a ty dokąd?

– Chcę im pomóc – odparł szczerze Gene.

– Wracaj tu, na łóżko! Musisz siedzieć ze mną z nieszczęśliwą miną, inaczej ludzie, którzy wejdą do pokoju, zauważą brak ciebie i mogą zacząć coś podejrzewać. No, chodź tu.

Gene niechętnie zawrócił. Kaspel opuścił rękę.

– No, zaczynajcie i powodzenia!

Mężczyźni kiwnęli głowami. Gene przybrał nieszczęśliwą minę, a Kaspel usiadł w pozie pełnej żalości. Dwaj strażnicy schowali się za drzwiami. Tuir wyjrzał na korytarz.

– Chavik! Clor! – zawołał podnieconym głosem. – Chodźcie tutaj, szybko!

Obydwaj mężczyźni wpadli do środka. Ledwo przekroczyli próg, gdy nowi sprzymierzeńcy Kaspela skoczyli na nich z nożami. Przybysze, czując na gardłach ostrza sztyletów, podnieśli ręce do góry i posłusznie przeszli w głąb pokoju. Kaspel wstał z łóżka.

– Teraz zawołajcie Lala.

Tuir znowu otworzył drzwi i wszedł Lal. W mgnieniu oka ocenił sytuację i uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Zwiążcie tych dwóch – rozkazał Kaspel.

Tuir rozejrzał się po pokoju, ściągnął nakrycie i odpychając Gene'a, porwał z łóżka koce. Nożem pociął tkaninę w pasy i zaczął wiązać ludzi Froara.

– Ilu strażników pilnuje wejścia do kabiny Siwary? – zapytał Kaspel.

– Nikt go nie pilnuje – odrzekł Lal. – Cały czas byliśmy w korytarzu i nikt nas nie minął.

– Dobrze. Załatwiłeś się już z tymi ludźmi? – zwrócił się Kaspel do Tuira. – Pospiesz się! Gdy skończysz, połóż ich pod łóżkiem. Powinniśmy wyrzucić ich za burtę, ale mogą się jeszcze przydać; spróbujemy później przekonać ich, że popełnili błąd. Nie jestem z natury zabójcą.

Obydwaj mężczyźni, skrupowani i z zakneblowanymi ustami, by nie mogli krzyczeć, zostali powaleni na podłogę i wsunięci pod łóżko.

– Podłóżcie poduszki, żeby im było wygodniej! – rozkazał nieco ironicznie Kaspel. –

Dobrze! Teraz trzej z was zostaną w holu pod drzwiami. Jeżeli ktokolwiek nadejdzie, zatrzymajcie go. Jeżeli to będzie Froar, zwiążcie go i dajcie mi znać. Miskał, pójdiesz ze mną i z Gene'em do kajuty Siwary.

Mężczyźni wyszli na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Tuir, Lal i jeszcze jeden pozostali przy wyjściu. Kaspel położył rękę na ramieniu Gene'a, ruchem głowy dał znak Miskałowi i razem pospieżyli wzdłuż korytarza do apartamentów Siwary. Starzec zapukał lekko do drzwi.

– Siwaro! – zawołał. – Siwaro! Otwórz! To ja, Kaspel!

Po chwili drzwi otworzyły się i Marza zmierzyła trójkę mężczyzn błyszczącym wzrokiem, nie wierząc własnym oczom. Odsunęła się na bok, a oni weszli do pokoju.

Siwara siedziała koło okna na stosie poduszek; rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona brązową falą. Oczy jej stały się wielkie z radości i niedowierzania. Zerwała się z poduszek i podbiegła do Kaspela. Zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała gorąco.

– Kaspel! Kaspel, wybac mi! Byłam taka głupia... Uparta, niewdzięczna i głupia! Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? – szlochała.

Kaspel wyzwolił się z jej uścisku nieco zakłopotany, oczy miał wilgotne ze wzruszenia.

– Już dobrze, moja mała, wcale się na ciebie nie gniewam.

Siwara rozpromieniła się i przestała łkać. Spojrzała ponad jego głowę i ujrzała Gene'a.

Odwróciła się nieszczęśliwa.

– Ale wolałabym, żebyś jego nie przyprowadzał!

Marza zamknęła drzwi.

Kaspel dał Gene'owi znak, by się zbliżył.

– Uspokój się, Siwaro, moje dziecko, to właśnie dzięki niemu dotarliśmy do ciebie.

Gene wyciągnął ręce w geście niemej prośby.

Siwara popatrzyła na niego niepewnie.

– Po tym, jak... jak mnie pocałował – zająknęła się – nienawidzę go!

Ale w jej oczach malowała się raczej niepewność niż złość.

Gene podszedł i ujął dziewczynę za ramiona. Nie wyrywała mu się, gdy zbliżył swą twarz do jej

twarzy.

– Siwaro, uwierz mi, że ten pocałunek był szczery. Kaspel nie musiał mi kazać cię uwieść. Naprawdę się w tobie zakochałem!

Rozchyliła nieco usta i stała, drżąc w jego objęciach.

Zbliżył usta do jej warg. Początkowo nie zareagowała, ale później uniosła ręce ku górze i objęła go mocno.

Kaspel chrząknął.

– Opamiętajcie się, nie ma teraz czasu na flirty. Siwaro, gdzie jest ten statek, który nas śledzi?

– Podejdź tu – powiedziała, otwierając okno.

Firanki natychmiast uniosły się, porwane przez gwałtowny wiatr. Parę kropli deszczu czy morskiej wody wpadło do środka. W dole przewalały się ciemne fale. Na niebie nie wiadomo skąd pojawiła się ognista kula, błyszcząca niby księżyc. Oświetliła na mgnienie oka wszystko, po czym zniknęła i rozległ się głuchy łoskot, jakby jakiś olbrzym walnął w potężny bęben.

– Co to było? – zapytał Gene.

Popatrzyli na niego, jakby jego pytanie było co najmniej dziwne.

– Błyskawica – powiedziała Siwara. – Czyżbyś nigdy w życiu nie widział burzy?

– Czy u was zawsze pioruny są kuliste? Jak słońce? – zapytał Gene.

– Ależ oczywiście! – powiedziała księżniczka. – A jakie mogłyby być?

Wzruszył ramionami.

– W moim świecie mają inny kształt.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Statek jest tam – odrzekła, wskazując smukłym palcem w czeluść nocy.

Oparli się o krawędź okna, wpatrując się w ciemność. W oddali, może o milę od nich, migotały światła, unosząc się i opadając na wzburzonym morzu. Nagle rozbłysła czerwona luna i przygasła, by po chwili rozbłysnąć ponownie.

– Dają Froarowi sygnały – powiedział Kaspel, odwracając się od okna.

Gene złapał powiewające firanki i przytrzymał je, a Siwara zamknęła okno. Kaspel zatrzymał wzrok na księżniczce.

– Siwaro, czy naprawdę jesteś gotowa zawrócić?

– Tak. Kiedy Froar mnie opuścił, postanowiłam jeszcze raz wszystko przemyśleć.

Sądziłam, że to może ty próbowałeś otruć Gene'a – obrzuciła go szybkim spojrzeniem. – Och, Kaspel, podejrzewałam cię o wiele rzeczy! Ale kiedy ujrzałam ten statek za nami i przyszedł

Froar i potwierdził, że śledzą nas na jego rozkaz, wtedy wszystkiego się domyśliłam! Wiem, że nigdy już nie ujrzę Nanich, jeżeli dotrzemy do Kof! Och, żebyśmy tylko mogli wrócić do Nanich!

– Sądzę, że możemy – powiedział Kaspel. – To zależy tylko od ciebie, Siwaro. Miskal!

– przywołał strażnika. – Idź na pokład, odszukaj Froara i przyprowadź go do nas. Dobrze będzie, jeśli przyprowadzisz go samego. Jeżeli by ci się to nie udało, to... zrób wszystko, żeby był sam!

Położył delikatnie dłonie na ramionach Siwary.

– Moje dziecko, kocham cię teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Wyciągnął swój nóż.

– Gene, otwórz okno. Siwaro, stań przy nim.

Domyśliła się, co chce zrobić, i zbladła. Podeszła do okna; Kaspel wskazał na drzwi.

– No, idź już, Miskal... i przyprowadź Froara.

Ale Gene nie otworzył i odepchnął rękę Siwary od klamki.

– Co chcesz zrobić?

– Kiedy przyjdzie Froar – wyjaśnił Kaspel – powiemy mu o naszych zamiarach. Jeżeli nie odda statku w nasze ręce, Siwara wyskoczy oknem. Kof nie będzie miało żadnego pożytku z martwej księżniczki i Froar musi się przyznać do porażki. A jeżeli Siwara będzie bała się wyskoczyć, użyję tego noża. Zgadzasz się, Siwaro?

Była blada i wystraszona, ale skinęła głową.

– Nie! – krzyknął Gene, odrywając jej rękę od okna. – Nie, Kaspel! Nie wolno ci tego zrobić! Siwaro, spójrz na mnie! Powiedz mi, czy...

Uśmiechnęła się do niego czule, jakby był jej ulubionym pieskiem.

– Kaspel ma rację. Kaspel – zwróciła się do starca – powstrzymaj go, jeśli będzie mi próbował przeszkodzić.

Oczy Kaspela wyrażały zrozumienie.



– Siwaro – powiedział Gene – jeżeli to zrobisz wyskoczę za tobą. Mam nadzieję –

wykrzyknął do Kaspela – że przyniesie ci to trochę satysfakcji!

– Zgoda – powiedział łagodnie Kaspel, po czym zwrócił się do Miskala: – Na co cze-kasz? Idź po Froara, tak jak ci kazałem!

Służąca Marza otworzyła drzwi i Miskal wyszedł na korytarz. Gene przytulił Siwarę do siebie. Po paru sekundach wyzwoliła się z jego objęć i podbiegła do okna. Do pokoju wtargnął gwałtowny podmuch powietrza. Siwara usiadła na parapecie. Statek przechylił się nagle i Gene ledwo zdołał ją utrzymać.

\*

Wrócił Miskal.

– Wasze przygotowania są zbędne – powiedział. – Lal i Tuir związali Froara i zaprowadzili do twojego pokoju. Zatrzymali go, kiedy tu szedł, bez wątpienia, by na was popatrzeć.

Kaspel schował nóż do pochwy.

– Świetnie! Przyprowadź go tutaj.

Miskal skłonił się i wyszedł. Kaspel zwrócił się do księżniczki:

– Siwaro, możesz już zejść z parapetu. I lepiej zamknij – wiatr jest bardzo zimny.

Gene zestawił ją na podłogę. Napięcie tak go wyczerpało, że ledwo miał siłę zamknąć okno.

Miskal i Tuir wprowadzili Froara z zawiązanymi z tyłu rękami i z zakneblowanymi ustami. W jego czarnych oczach widniał gniew. Kaspel podszedł i z irytującą powolnością wyjął mu knebel.

– Krzycz, Froarze, jeśli chcesz. Nigdy nie słyszałem jeszcze twego podniesionego głó-su. To będzie wyjątkowa frajda. Statek należy do nas.

– Tylko tak ci się wydaje! – spojrzał na niego groźnie. – Moi ludzie...

Kaspel zwinął knebel w małą kulkę i niedbale rzucił w kąt.

– Twoi ludzie! – powiedział kpiąco. – Nic nie zrobią, póki jesteś naszym jeńcem i grozi ci śmierć z naszych rąk. Jakiej nagrody mogą się spodziewać od martwego pana? Miskal, Tuir, idźcie na pokład i ogłoście to wszystkim. Powiedźcie też, że zawracamy. Wkrótce do was dołączymy.

Dwaj mężczyźni wyszli, a Kaspel zawołał:

– Lal!

Ciężko stąpając, ukazał się jego czarno odziany sługa.

– Lal, weź nóż i popilnuj Froara, kiedy nas tu nie będzie. Jeżeli będzie próbował uciec – użyj broni. Jeżeli ktokolwiek będzie próbował uwolnić więźnia, zabij go! My idziemy na pokład.

Lal położył dłoń na ramieniu Froara i skierował go w stronę poduszek.

– Z największą przyjemnością – powiedział, szczerząc zęby z zadowolenia, kiedy wy-ciągnął swój nóż. – Nie będzie nic przyjemniejszego niż wykończenie tego zdrajcy księżniczki i zdrajcy ojczyzny – czyli również zdrajcy mnie.

Kopniakiem zmusił go do zajęcia miejsca na poduszcze.

– Mam nadzieję, że nie zrobisz żadnego głupstwa – przestrzegał Froara. – Chcę, żebyś dożył naszego powrotu do Nanich. Jestem pewny, że twoi ludzie będą bardzo zadowoleni, kiedy cię ujrzą!

Froar rzucił mu gniewne spojrzenie, twarz miał pociemniałą, szczęki chodziły mu z gniewu.

– Nie jesteście jeszcze w Nanich – zaszydził. – Będziecie musieli przedtem uporać się z tamtym statkiem! Jest mniejszy, szybszy... Zobaczymy, czy dacie radę!

Kaspel wyszedł do jednego z przylegających pomieszczeń i wrócił z ciężkim futrzanym kilimem, który zawiesił na oknie.

– Zakryjcie wszystkie otwory. Nie można dopuścić, by na śledzącym nas okręcie widziano jakiegokolwiek światła. Siwaro, okryj się czymś ciepłym i chodź ze mną. Chcę, abyś była przy mnie cały ten czas, żebym wiedział, że jesteś bezpieczna.

Marza przyniosła dla dziewczyny długi płaszcz i opatuliła ją.

– Marzo – powiedział Kaspel – obejdz cały statek. Przypilnuj, żeby zasłonięto okna we wszystkich pomieszczeniach, gdzie tylko palą się światła, a potem wróc i razem z Lalem pilnuj Froara.

Chuda staruszka skinęła głową z zadowoleniem. Zanim wyszła z pokoju, odwróciła się do Froara i pokazała mu język.

– No, Siwaro, Gene, chodźcie już – powiedział Kaspel. – Mamy dużo roboty. Musimy wyprzedzić tamten statek!

# VII

Kaspel poszukał płaszczy dla siebie i Gene'a. Opatuleni w nie, ruszyli razem z Siwarą na pokład. Twarze smagał im lodowaty deszcz i morska woda, a wiatr zaplątywał okrycia wokół nóg. Dziwny kulisty piorun wykwitł wysoko nad ich głowami, zamieniając na moment noc w dzień, po czym zgasł z głuchym łoskotem. Żagle opuszczono; statek przygotowano do starcia ze sztormem.

Kaspel coś krzyknął, ale jego głos był zbyt słaby, by można go zrozumieć poprzez wycie wiatru. Gene przytknął dłoń do ucha. Starzec otoczył Siwarę ramieniem i nachylił się do Gene'a.

– Zmiana kursu statku w taką pogodę to bardzo niebezpieczny manewr. To duże ryzyko, ale musimy podnieść żagle i nabrać szybkości. Popatrzcie, drugi statek!

Pociągnął ich do barierki, spojrzeli we wskazanym kierunku. Wiatr targał żagle szpiegującego ich statku. Kaspel wszedł na górny pokład i zniknął im z oczu, ale po chwili znów się pojawił.

Włosy Siwary były zupełnie mokre i przykleiły się jej do policzków. Sięgnęła pod płaszc, rozwiązała pasek od sukni i przewiązała nim głowę, podczas gdy Gene trzymał ją, by nie straciła równowagi na chyboczącym się statku. Marynarze przebywający na pokładzie stłoczyli się przy ścianach kabin, by być jak najdalej od podmuchów wiatru. Kaspel podszedł

do nich i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Załoga rozbiegła się po pokładzie, ciągnąc reje i wciągając bezanżagiel. Następnie umocowali fok. Statek pomknął do przodu.

Księżniczka oparła się o ścianę kabiny w miejscu, gdzie stykała się z burtą statku.

Wysunęła głowę na szalejącą zawieruchę i mrużąc oczy, obserwowała statek, płynący ich śladem. Gene patrzył razem z nią. Unoszące się fale przesłaniały światła okrętu; opadając ukazywały je na moment, po czym znowu je skrywały.

Wrócił do nich Kaspel.

– Wygasiliśmy wszystkie światła. Nie będą nas mogli teraz zobaczyć!

W panującym dokoła hałasie jego głos wydawał się szeptem, chociaż starzec wymachiwał rękami, aby podkreślić wagę wykrzykiwanych przez siebie słów. Spod tuniki, podkasanej dla uzyskania większej swobody ruchów, wystawały jego wrzecionowate nogi.

– Miskal z dwójką ludzi czuwa przy sterze. Wiatr ciągle zmienia kierunek. Bardziej należy obawiać się tego, że zagna statek gdzieś daleko, na nieznane wody, niż tego, że rzuci nas w stronę Kof.

Kilka kulistych piorunów rozbłysło jednocześnie na całym niebie. Zmrużyli oczy przed nagłym blaskiem, w uszach dzwięczał im łoskot grzmotów.

– Nie boisz się, że złamią się maszty? – zawołał Gene na całe gardło, jakby Kaspel był

gdzieś daleko od niego.

Starzec wzruszył ramionami.

– Musimy zaryzykować przez jakiś czas.

Deszcz lał strumieniami. Wiatr rozwiewał mokre ubranie Siwary, szarpiąc dziewczyną bezlitośnie. Przywarła do Gene'a, drżąc z zimna. Mignęła kolejna błyskawica, zagrzmiął piorun. Kaspel zbliżył się po chwiejnym pokładzie do grupki marynarzy, wykrzykując nowe rozkazy. Gigantyczne podmuchy wiatru targały statkiem, igrając nim jak zabawką.

Rozległ się krótki, ostry dźwięk, niemal jak ludzki krzyk. Rozdarty wichrem fok zwinął

się nagle. Wiatr zmienił kierunek, obracając statek równolegle do nadchodzącej fali, która uderzyła o burtę żaglowca, omal go nie wywracając; przez moment pokład znalazł się prawie w pozycji pionowej. Siwara wpadła na barierkę i Gene z trudem utrzymał dziewczynę. Kaspel i paru innych ludzi ześlizgnęło się po deskach pokładu. Statek przechylił się niebezpiecznie; Kaspel z garstką marynarzy szybko luzowali reje.

Gene z trudem wyprostował się, wziął na ręce nieprzytomną Siwarę, chwiejnym krokiem dotarł do korytarza, otworzył drzwi i zaniósł księżniczkę przez ciemny hol do małej kabiny, którą mu przydzielono. Położył dziewczynę na łóżku. Nawet w panującym mroku widać było, że jest bardzo blada. Zdjął z niej mokry płaszcz i przykrył dziewczynę kocem. Pochylił

się nad nią i trzymając się jedną ręką oparcia łóżka, by nie upaść, drugą uniósł jej dłoń.

Nie poruszyła się. Ukląkł przy łóżku, masując przeguby jej rąk.

– Siwaro! Siwaro!

Otworzyła oczy.

– Gene! Co za okropny sztorm! Boję się!

Nie była teraz księżniczką ani głową państwa, jedynie przerażoną dziewczynką.

Przytknął policzek do jej twarzy, a po chwili wstał. Uniosła głowę.

– Dokąd idziesz.

– Po twoją służącą i po suche ubranie dla ciebie. Zaraz wrócę.

– Zapal światło.

– Nie mogę, nie wiem, jak to się robi.

Potykając się, szukał po omacku w mrocznym pokoju, aż natrafił na jedną ze skrzyń.

Uniósł ciężką pokrywę, sięgnął do środka i wy dobył jakieś szaty, po czym zatrzasnął wieko.

Siwara usiadła i zapytała słabym głosem:

– Jesteś tu jeszcze? Co to był za hałas?

– Szukałem tylko suchego ubrania dla siebie. Połóż się, Siwaro. Zaraz wracam.

– Nie idź, Gene. Boję się zostać sama. Boję się, że coś się stanie, kiedy ciebie nie będzie

– przycisnęła dłonie do skroni. – Ta okropna podróż!

Zmusił się do śmiechu.

– Nonsens. Nic ci się nie stanie.

– Ale pośpiesz się, proszę.

Biała błyskawica rozwidniła niebo za oknem, ukazując na moment oczy i zarys policzka dziewczyny. Grzmot zagłuszył odpowiedź Gene'a.

Skierował się w stronę jej apartamentów, przytrzymując się dłońmi ścian wąskiego korytarza, by zachować równowagę. Zawodzenie wiatru przypominało wycie hordy demonów podążających na diabelski sabat. Kiedy otwierał drzwi do kajuty Siwary, statek przechylił się gwałtownie, niemal wrzucając go do środka. W nikłym świetle kołyszącej się lampy zobaczył

Froara, rozpartego niedbale na poduszce z twarzą poszarzałą od choroby morskiej. Obserwujący go z boku Lal spojrział na wchodzącego z radosnym uśmiechem. Marza siedziała w kącie zwinięta w kłębek, przyciskając do piersi rzeźbioną figurkę, przedstawiającą jakiegoś małego bożka. Mruczała coś bez składu, ogarnięta strachem. Gene podszedł do kobiety, pochylił się nad nią i lekko potrząsnął za ramię. Nie spojrzała na niego ani też w żaden sposób nie dała znaku, że zdaje sobie sprawę z jego obecności, tylko kontynuowała swoje mamrotanie. Gene ponownie potrząsnął nią, tym razem mocniej. Powoli zasłona strachu opadała. Służąca spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Siwara jest w moim pokoju. Zanieś jej suche ubranie.

Uniosła swoją wymizerowaną twarz, jakby ledwo słysząc jego słowa, ale po chwili odzyskała świadomość. Skinęła głową, wsunęła małą figurkę za stanik i zerwała się na nogi.

Wybiegła do przylegającego pokoju i wróciła z naręczem sukien. Pochyliła głowę w ukłonie i pośpieszyła do Siwary.

Gene zdjął mokre ubranie i nałożył płaszcz, który przyniósł ze sobą. Był na niego za mały, nie okrywał mu piersi. Spojrział zirytowany na przykrótkie rękawy i podwinął je do łokci, a brzegi płaszcza wetknął za pas, aby móc swobodnie się poruszać. Podszedł do okna.

Wiatr przeciskał się przez szpary, poruszając frankami. Rozbłysł piorun, rozległ się grzmot.

Lal stał obok, wpatrując się w szalejący deszcz i ciemności nocy. Nie było widać ani śladu światła drugiego statku. Piana leżała na falach niczym koronka. Szyby pokrywała warstwa wilgoci. Lal w milczeniu pokręcił głową. Gene, klepnął go po ramieniu, chcąc dodać mu otuchy. Kiedy wrócił do Siwary, lampa była już zapalona; kołysząc się na uchwycie powodowała, że cień baldachimu to rósł groteskowo na ścianie, to malał, by znów się powię-

kszyć.

Siwara wciąż leżała na łóżku, ale przebrała się już w szaty przyniesione przez Marzę.

Ta siedziała obok, przyciskając do piersi małą figurkę, zaś księżniczka opiekuńczo obejmowała staruszkę ramieniem. Na widok Gene'a uśmiechnęła się blado.

– Marza jest ledwie żywa ze strachu. Po raz pierwszy wypłynęła na morze. A co z Froarem?

Gene przysunął krzesło i usiadł, skinąwszy jedynie głową zamiast odpowiedzi. Siwara pogładziła proste włosy służącej, po czym wyciągnęła do niego dłoń. Ujął ją bez słów. Potrzą-

snęła głową niedowierzająco.

– A dopiero co wyśmiewałam się z ciebie! Myślałam, że jesteś słabeuszem. Ale teraz wiem, że jesteś dzielny. I... Kocham cię, Gene. Moi ludzie też cię Kochają.

Wpadł Kaspel, ciężko dysząc, z twarzą napiętą z wyczerpania; ociekający wodą płaszcz przylegał do jego szczupłej postaci. Gene podał mu krzesło. Kaspel siadając podziękował mu wzrokiem.

– Zdaje się, że zgubiliśmy wrogi statek, ale nie wiem, dokąd płyniemy – powiedział. –

Wiatr zagnał nas w nieznane strony. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzemy Nanich.

Gene, wyciągając zmianę odzieży dla starca, spojrzał na niego badawczo. Twarz Siwary wyrażała niepokój.

– Kaspel! – zawołała – czy nie ma sposobu, by określić nasz kurs?

Starzec posępnie potrząsnął głową.

– Żagle są spuszczone, fokmaszt złamany. Wrócimy do Nanich, przypominając wrak, o ile w ogóle tam kiedyś dotrzemy.

Gene zatrzaskał pokrywę skrzyni i podał suche ubranie Kaspelowi, który uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Czemu sądzisz, że nigdy nie dopłyniemy do Nanich?

– Nie rozumiesz? – zapytała zniecierpliwiona Siwara. – Cały świat to ogromny ocean.

Jedynie Kof i jego kolonie oraz Nanich leżą na stałym lądzie. Cała reszta – zatoczyła ręką koło – to woda. Nie kończący się przestwór wód. Możemy całe lata płynąć, nie napotykając żadnego lądu – zmarszczyła brwi w zadumie. – Chociaż istnieją legendy o wyspach rozciągających się gdzieś daleko, tyle tylko, że nikt z żyjących nigdy ich nie widział.

Noc wlokła się bardzo wolno i wydawało się, że dotrzymuje kroku statkowi w jego wędrówce przez świat. Kiedy w końcu nadszedł dzień, chmury pędzone wiatrem były tak ciemne, że w najlepszym razie panował półmrok. Kaspel oswobodził obu mężczyzn, którzy leżeli związani w jego pokoju. Porozmawiał z nimi i najwidoczniej przekonał, że nie ma sensu dalej służyć Froarowi. Na pokładzie nie było nic do roboty poza obserwowaniem rumpla.

Froara przeniesiono do jego własnych komnat, a krępujące go więzy zastąpiono żelaznymi kajdanami. Siwara spędzała większość czasu, wyglądając razem z Kaspelem i Gene'em przez okno. Sztorm nie słabł, a pod pokładem pojawiła się mała szczelina, którą należało za-tkać. Kaspel rozłożył na niskim stoliku w pokoju Siwary planszę i próbował nauczyć Gene'a reguł gry, ale nie szło im to. Marza skryła się gdzieś, z pewnością mruczając coś do swego ma-

łego bożka.

W końcu Siwara wzdychając odsunęła pionki.

– Tak jakby ktoś rzucił na nas klątwę – powiedziała. – Od samego początku rejsu wszystko źle się układało. No i spójrzcie, do czego doszło. Kaspel, nie mogę się skupić na grze. Wy, jeśli chcecie, spróbujcie grać. Ja nie mogę.

Podeszła do okna, chwytając za parapet, kiedy statek przechylił się niespodziewanie.

Rzeźbione pionki przewracały się i staczały z szachownicy na podłogę niemal natychmiast po tym, jak Gene i starzec je stawiali. Gene robił beznadziejne błędy, a Kaspel potrząsał

głową, uśmiechając się pobłaźliwie. Wkrótce gra ich znudziła i stanęli przy oknie obok Siwary.

Sztorm nie ustępował przez całą noc, ale rano, kiedy Gene się przebudził, morze zaczę-

ło się uspokajać. Lal, przydzielony mu przez Kaspela w charakterze służącego, przyniósł wodę do mycia. Odświeżywszy się Gene wyszedł na pokład. Kilku ludzi naprawiało metalowymi obręczami złamany maszt. Pozostali zajęci byli zszywaniem porwanych żagli. Zwały chmur przetaczały się po niebie, ich krawędzie rozświetlały promienie słońca. Wiatr przycichł

niemal zupełnie. Żagiel na rufie był podniesiony.

Siwara przyłączyła się do Gene'a i Kaspela. Włosy miała ciasno związane sznurami klejnotów. Na brokatową suknię zarzuciła wspaniałą płaszcz. Jej postawa wyrażała całkowitą pewność siebie. Znowu była księżniczką.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Kaspela.

Rozłożył bezsilnie ręce.

– Nie mam pojęcia. Ale płyniemy na zachód, z powrotem do Nanich, albo tam, gdzie teoretycznie powinno być.

Położyła szczupłe dłonie na barierce, patrząc na przemykające chmury.

– Jakie dziwne kształty tworzą na morzu ich cienie! Popatrzcie tylko: ten prawie przypomina ląd!

Zwrócili wzrok we wskazanym kierunku.

– Wygląda zupełnie jak jakiś płaskowyż – powiedział Gene. – Powietrze tak drga, że nie można być pewnym tego, co się widzi.

– Cień się przesunął, ale tamten ciemny punkt pozostał – powiedział Kaspel. – Myślę, że to jest jednak ląd! Spójrz tam! – zakrzyknął do jednego z marynarzy, wskazując ręką.

Człowiek pracujący przy porwanym żaglu podniósł wzrok, a marynarze zajęci przy naprawie masztu odwrócili twarze.

– To ziemia! – krzyknął jeden z nich.

Stłoczyli się przy nadburciu, szepcząc do siebie podnieceni.

– Oczywiście nie może to być ani Kof, ani Nanich – odrzekła Siwara. – Ten ląd jest zbyt mały. Cóż to w takim razie jest? Kaspel, nie myślisz, że może to być jedna z tych bańnio-wych wysp? Czy to naprawdę może być ów ląd?

– Możemy tam wstąpić – powiedział wolno Kaspel. – Nie zboczymy daleko z naszego kursu.

Siwara położyła dłoń na ramieniu Gene'a.

– Kaspel, pamiętasz te legendy o wyspach? O miastach, pełnych klejnotów, o dziwnych zajęciach ich mieszkańców? – mówiła z podnieceniem w głosie. – Pamiętasz opowieść o stu-dni z płomieniem życia?

– I o diabelskich bestiach, i o rodzie dręczycieli – dodał ponuro Kaspel. – Siwaro, o czym ty mówisz?

Rozważała coś.

– Powinniśmy odwiedzić tę wyspę. Kto wie, co na niej znajdziemy? Może skarby –

moglibyśmy za nie zakupić od którejś z kolonii Kof sprzęt, niezbędny dla obrony Nanich.

Sprzedaliby nam, gdybyśmy im zapłacili. A może mieszkańcy wyspy pomogliby nam w nadchodzącej wojnie... Kaspel, musimy koniecznie wstąpić na tę wyspę!



Starzec niepewnie dotknął ręką brody.

– Nie wiem, Siwaro. Im szybciej dotrzemy do domu, tym lepiej.

– Ale to wcale nie będzie długo trwało – zaczęła się przymilać. – Zresztą żagiel będzie wkrótce naprawiony, możemy też użyć wiosła.

– A jeśli mieszkańcy wyspy są kanibalami? – zapytał Kaspel. – Przypuśćmy, że to ostoja dzikich bestii?

– Przepłyniemy blisko niej – powiedziała stanowczo. – Bardzo blisko. Zobaczymy, czy są tam jakieś miasta, jeżeli tak, to przybijemy do brzegu.

Kaspel rozważał, jakie tajemnice mógł kryć odległy ląd.

– Jeżeli takie jest twoje życzenie, to proszę bardzo. Zmienimy kurs.

Odwrócił się do zgromadzonych żeglarzy i przejął komendę.

– Wszyscy na miejsca! Bierzemy kurs na ląd!

Kiedy zbliżyli się do brzegu, ujrzeni, że wyspa była zbudowana z nagich skał. Niezliczone kamienne iglice wznosiły się w niebo niby z grubsza ociosane kolumny, ich ostre zakończenia przeszywały chmury jak szpikulce przebijające skrawki białego papieru. U podstaw rozciągały się zbocza, pokryte skalnym rumowiskiem. Fale toczyły się miękko i ginęły na piaszczystej plaży.

Widok wyspy wzbudzał grozę. Te iglice musiały mieć setki stóp wysokości.

– Przypomina mi to nieco krajobraz Nowego Jorku – powiedział Gene – tylko iglice są o wiele wyższe, dwadzieścia – trzydzieści razy wyższe. Wygląda zupełnie jak kamienne miasto bez okien.

– Miasto olbrzymów – zauważył Kaspel. – Nasz statek przypomina przy nim łupinkę na stawie. Nie podoba mi się to. Jest w nim coś zimnego i wyniosłego. Czy jesteś zadowolona, Siwaro? Możemy teraz płynąć do Nanich?

– Nie – odparła łagodnie. – Podpłyniemy jeszcze bliżej. To miejsce wcale nie wydaje mi się niegościnnie. Żeby tylko było tu trochę zieleni! Myślę, Kaspel, że wyspa mogłaby zostać... Nanich miałoby swoją kolonię!

Spojrzał na nią.

– Być może. Kto wie, może są tu jakieś bogactwa mineralne, które przydałyby się nam w Nanich? Podpłyniemy bliżej!

Wydał nowe rozkazy.

Wyspa górowała nad nimi niby kolumny świątyni cyklopa. Siwara wskazała ręką.

– Miasto!

Zaczęli się przypatrywać. Rzeczywiście, przed nimi rozciągało się miasto i to wcale niemałe. Zbudowano je z tego samego szarego kamienia, co przybrzeżne skały; surowe kolumny i pionowe ściany wznosiły się tarasowato. Trzy z ogromnych filarów były połączone, tworząc gigantyczną niszę, a ukryte w niej miasto przypominało mrowisko w cieniu katedry. Gene'owi architektura ta przywodziła na myśl budowlę starożytnego Egiptu.

W okolicy nie było widać znaku życia ani śladu zieleni. Dwa kamienne nabrzeża wybiegały w morze, ale nie stały przy nich żadne statki. Wyglądało to jak gród wzniesiony dla umarłych, oczekujący na przybycie statków-zjaw i płynących nimi duchów.

– Wyślemy tam łódź z kilkoma ludźmi – postanowił Kaspel. – Rozejrzą się i powiedzą, czy nic nam tu nie grozi. Jeżeli nie zauważą żadnego niebezpieczeństwa, przybijemy do brzegu. Ale nie możemy stracić zbyt dużo czasu.

Księżniczka zgodziła się i opuszczono szalupę, a Kaspel wybrał załogę, która miała spe-netrować wyspę. Siwara i Gene obserwowali, jak tamci odpływali; stawali się coraz mniejsi, aż w końcu łódź tworzyła na wodzie jedynie ciemną plamkę.

O zachodzie słońca, kiedy Kaspel i Gene jedli razem z Siwarą obiad, przyszedł do nich Miskal.

– Wracają – powiedział.

Siwara odłożyła kawałek chleba, który właśnie skubała, i wstała od stołu, pociągając za sobą Gene'a. Kaspel także podniósł się spieszenie i wyszli na pokład. W blasku zachodzącego słońca iglice wyspy przybrały barwę czerwoną. Łódź znajdowała się już niedaleko od statku i było wyraźnie widać jej załogę.

Księżniczka pociągnęła Gene'a za rękaw.

– Zawołaj do nich, Gene. Zawołaj w moim imieniu i zapytaj, co tam widzieli.

Gene zwinął dłonie w trąbkę i zawołał:

– Czy znaleźliście coś? Czy są tam ludzie?

We trójkę pochyłili się do przodu, czekając na odpowiedź. Jeden z mężczyzn przestał wiosłować i wstał, unosząc rękę.

– Znaleźliśmy to! – odkrzyknął. Znajdował się jeszcze za daleko, a przedmiot, który trzymał w dłoni był zbyt mały, by mogli go ujrzeć.

– Co to jest? – zapytał Gene.

– Nie jesteśmy pewni!

Łódź była teraz znacznie bliżej. Trzymany przez stojącego mężczyznę przedmiot stał się dobrze widoczny w różowych promieniach słońca.

Przypominał małą, glinianą laleczkę.

# VIII

– To niby zwykła, gliniana laleczka! – mruzczała pod nosem Siwara, trzymając w ręku figurkę. – A przecież otacza ją tajemnica. Kto ją zrobił i dla kogo? Czy to dziecinna zabawka?

A może ma znaczenie religijne? Wątpię, by przedstawiała podobiznę jakiejś osoby. Nikt taki nie mógł nigdy istnieć!

Kaspel i Gene siedzieli razem z nią na długiej poduszce, leżącej pod oknem. Zjedli obiad, a potem księżniczka wezwała żeglarzy, którzy wyprawili się na wyspę. Kiedy tylko weszli na pokład statku, ich odpowiedzi na pytania były zupełnie chaotyczne. Siwara dała im więc czas na posilenie się i uporządkowanie wrażeń.

Noc zarzuciła czarny welon na morze i bezimienną wyspę, zakrywając wszystko przed wścibskim wzrokiem do czasu nadejścia kolejnego dnia. Gwiazdy zaglądały przez okno, mrugając radośnie.

Siwara nie wiadomo który raz uważnie przyjrzała się tajemniczej figurce. Kiedy przyniesiono ją na pokład, glina była jeszcze wilgotna, jakby laleczka została dopiero co ulepiona, a teraz, kiedy wyschła, zrobiła się twarda. Pięknie wymodelowana, miała ludzkie kształty, a jednocześnie było w niej coś nieczłowieczego. Ręce i stopy przypominały płetwy, palce stóp i dłoni były długie niczym szpony, a nogi i tułów pokrywały delikatne linie, tworząc drobne łuski. Miała ogromne oczy, okrągłe i wytrzeszczone, a na głowie, zamiast włosów, sterczał jej błoniasty grzebień, który Siwarę wielce intrygował.

– Ma ludzki wygląd – powiedziała – a jednocześnie przypomina rybę. A może to jakiś bożek? Ale nie znam bóstwa, które mogłaby przedstawiać ta figurka. A ty, Kaspel?

Starzec wolno potrząsnął głową, zaciskając usta, jak to czynił zawsze, gdy sprawy dotyczyły kwestii religijnych.

– A co ty o tym sądzisz?

Kiedy zwracała się do Gene'a jej głos stawał się czuły. Ten, zmieszany, wzruszył tylko ramionami. Siwara odwróciła się w stronę żeglarzy.

– Z pewnością teraz będziecie potrafili składniej opisać to, co widzieliście. Proszę, by jeden z was wszystko nam opowiedział.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, każdy z nich chętny był do przedstawienia niezwyklej przygody. Jeden z nich uniósł palec i wskazał na siebie. Pozostali skinęli głowami. Z oczami błyszczącymi radością mężczyzna zaczął snuć opowieść głosem nieśmiałym i pełnym szacunku.

– Księżniczko, kiedy opuszczaliśmy statek, baliśmy się, bardzo się baliśmy. Miasto było takie ciche, a jednocześnie wydawało nam się, że to żywa istota, która obserwuje każdy nasz krok, oburzona tym wtargnięciem. Wiem, że brzmi to głupio – zaczerwienił się, a głos mu zadrżał. – Jestem tylko prostym człowiekiem, a nie poetą. Nie wiem, jakiego języka używają poeci, ale mam duszę poety. I właśnie

tak to odczuwałem.

– To wcale nie brzmi głupio – ciepło zachęciła go Siwara i szepnęła do Gene'a: –

Widzisz, jakich ludzi mamy w Nanich? Czy którykolwiek mieszkaniec Kof jest równie wrażliwy, aby w podobny sposób odebrać nastrój tamtego miejsca? Ja również odczuwałam w nim coś szczególnego. Proszę, mów dalej – zwróciła się do marynarza.

– Inni też zauważyli, że miasto nie darzy nas sympatią. Było takie spokojne, takie czujne jak zaczajony bez ruchu na beztroską, swawolną myszkę kot, który nagle wysuwa swoje pazury – o, tak: wyrzuca łapkę, a gdy cofa ją po chwili... mysz leży już martwa.

– Przystań – ciągnął – jest do czysta wymieciona przez wiatr wiejący od morza, ale nie miasto! Wewnątrz jego ponurych murów zalega grubą warstwą kurz, jakby nigdy nie tknęła go miotła. Brodząc w nim przez nie kończące się korytarze, zostawialiśmy głębokie ślady.

Szliśmy i szliśmy, a wokół nie było nic prócz szarego pyłu. Gdziekolwiek widniały lekko zaokrąglone kopczyki. Jeden z nich był rozgrzebany i ukazywał kości zwierzęcia, które musiało zginąć wieki temu, bo pod naszym dotknięciem szkielet rozsypał się w proch. Miasto jest niezamieszkałe od nie wiadomo ilu lat, a mimo to czuliśmy, że żyje, że jego duch nas obserwuje. A kości wydały się nam złowieszczą przestrogą.

Światło niechętnie przenikało przez wąskie szczeliny okien, umieszczonych wysoko w strzelistych murach. Ktokolwiek zbudował ten gród, chciał, by trwał wiecznie. Kamienne ściany są równie gładkie teraz, jak i wtedy, kiedy zostały wzniesione. Nie są rzeźbione ani malowane, tak jak u nas w Nanich. Są puste, ale nie sprawiają wrażenia nie wykończonych, o, nie – zmarszczył brwi, przywołując w pamięci obraz miasta. – W porównaniu z nimi budynki w Nanich wydają się małe i... niepozorne.

Siwara poruszyła się niecierpliwie.

– Dobrze, ale ta lalka? Gdzie ją znaleźliście?

Żeglarz, pochłonięty swoją wizją, dał jej znak, by umilkła. W tej chwili nie była jego władczynią, tylko jednym ze słuchaczy.

– Dojdę do tego. W pyle nie było żadnych innych śladów poza naszymi. Z trudem poruszaliśmy się naprzód, pozostawiając za sobą chmurę kurzu wirującego w powietrzu jak szary dym. Korytarze nie miały końca. Byliśmy w labiryncie, ale nie napawało nas to lękiem.

Wiedzieliśmy, że możemy z niego wyjść krocząc po własnych śladach. Po długiej, męczącej wędrówce dotarliśmy do sali... Och, nigdy nawet nie śniłaś o czymś podobnym! – opisując ją rozłożył ręce.

– Była tak szeroka i długa, że ledwo dostrzegliśmy jej krańce. A sufit znajdował się wysoko nad nami i przypominał szare niebo o zmierzchu. Jacy ludzie ją wzniesli, pytaliśmy się nawzajem. Księżniczko,

twój pałac w Nanich jest spory, ale cztery takie pałace zmieściłyby się w tej komnacie i jeszcze zostałyby miejsce. Gdybyś trzykrotnie zwiększyła wysokość ścian swej siedziby, to i tak nie dosięgnęłaby sklepienia sali.

Wrota do komnaty były wąskie, ale wysokie. Dawno już zmurszały i rozpadły się w pył.

Obecny tu Gogir – wskazał na jednego z mężczyzn – wyciągnął rękę i w głębi sali ujrzałem platformę. Ciągnęła się przez całą szerokość komnaty, od ściany do ściany. Nie była wysoka, wznosiła się zaledwie parę stóp nad podłogę. Prowadziły do niej trzy czy cztery stopnie.

– Siedem – poprawił go jeden z towarzyszy. – Policzyłem je – było ich siedem.

Opowiadający wzruszył ramionami.

– Może siedem. Były bardzo niskie i ich liczba nie ma większego znaczenia. Wtedy po raz pierwszy zauważyliśmy na ścianie rzeźby. Przynajmniej wydaje mi się, że były to rzeźby.

Nigdzie w mieście nie dostrzegaliśmy śladów mijającego czasu, więc nie mogło to być wynikiem wietrzenia skał. Nie, to musiały być rzeźby. Ale czemu się tu znajdowały i co przedstawiały? Były przeogromne, pokrywały niemal całą powierzchnię tej niezmierzonej ściany. I zawierały jedynie kontury, o, takie – ręką nakreślił dziwny kształt o nieregularnych liniach. –

Żałuję, że nie jestem artystą i nie potrafię tego narysować. Bo chociaż ukazywały tylko ogólne zarysy czegoś abstrakcyjnego, było w nich coś, co napełniło nas trwogą!

Spojrzał wokół natchnionym wzrokiem.

– Tak jakby w tych liniach zawarty były czujny duch miasta. Te rzeźby były jak...

żywe! Żywe i baczące na wszystko. Każdego z nas zaniepokoiły. Nie chciałem się tam dłużej zatrzymywać – spuścił głowę zawstydzony. – Nie... nie jestem przesądny, ale nie podobało mi się to. Jednak pozostali byli odważniejsi ode mnie, więc kiedy podeszli, by uważniej przyjrzeć się rzeźbom, nie pozostałem w tyle.

Na podwyższeniu leżała kamienna płyta. Nie zauważyliśmy jej, póki niemal na nią nie weszliśmy. Nie dlatego, że była mała, bynajmniej! Ale ogrom tej sali i trwoga, którą wzbudzały płaskorzeźby, sprawiały, że sama płyta wydawała się nieistotna! Była niska, sięgała ledwie naszych kolan, miała około dziesięciu metrów długości i trzy metry szerokości. A na niej, jak szkło, którym czasami w Nanich przykrywamy stoły, spoczywała gruba szyba, pokryta sporą warstwą kurzu.

W jakiś sposób domyśliliśmy się, że to świątynia, rzeźby przedstawiają jakieś bóstwo, a płyta jest ołtarzem. Sprofanowaliśmy to miejsce, wkraczając nie zachowawszy należytego rytuału. A przecież w naszych sercach odczuwaliśmy boską cześć, obserwując niezwykle przepych tego wnętrza; cześć, którą, mieliśmy przynajmniej taką nadzieję, bóstwo właściwie odbierze i należycie zrozumie.

Nie zwlekaliśmy dłużej. Byliśmy zbyt zdenerwowani. Ruszyliśmy w stronę drzwi i wyszliśmy.

Kroczyliśmy labiryntem, z oczami utkwionymi w ślady, które uprzednio zostawili-

śmy. W pewnej chwili Tylmin coś zauważył. Dał nam znak, byśmy się zatrzymali, po czym przyklęknął.

„Co takiego ujrzałeś?” – zapytał Gogir, pochylając się również. Wszyscy czterej przykucnęliśmy, wpatrując się w pył.

„To są nasze ślady – wskazywał Tylmin – ale spójrzcie, widzicie wśród nich jeszcze inne?”

Przyjrzeliliśmy się – miał rację. Coś kroczyło ścieżką, wydeptaną przez nasze stopy, jakieś zwierzątko. Ślady były niewyraźne, lekki pył osypywał się, wypełniając zagłębienia. Ale Tylmin znalazł kilka odcisków stóp, zupełnie wyraźnych. Były to ślady człowieka, ślady istoty ludzkiej mającej zaledwie sześć cali wzrostu! Były to ślady stóp tej małej glinianej figurki, którą trzymasz w ręku, księżniczko! – uczynił dramatyczny gest.

Siwara spojrzała zafascynowana na laleczkę. Żeglarz kontynuował swą opowieść:

– Nie wiedzieliśmy wtedy, że są to ślady, pozostawione przez... lalkę! Myśleliśmy, że zostały zrobione przez człowieka i strach wywołany przez rzeźby na ścianie świątyni ustąpił

miejsca ciekawości. Skąd przyszło owo małe stworzenie? Posuwaliśmy się wolno z oczami utkwionymi w posadzkę. Szliśmy długo.

W końcu dotarliśmy do miejsca, w którym małe ślady łączyły się z naszymi! Prowadzi-

ły z innej części labiryntu. Kroczyliśmy za nimi, klucząc niezliczoną ilość razy. Mała istotka była tuż przed nami, wiedzieliśmy to, bo nadszedł moment, kiedy skręciliśmy i natrafiliśmy na swój własny trop. Nie przejęliśmy się tym. Chcieliśmy jedynie ujrzeć to małe stworzenie.

Kilkakrotnie przecinaliśmy nasze własne ślady i wtem serce ścisnął mi strach! – złożył ręce na piersi. – Tak, ogarnęło mnie przerażenie, bo zorientowałem się, że zablądziliśmy! Jak odnajdziemy drogę powrotną, kiedy nasze ślady tyle razy się ze sobą krzyżowały? Zgubiliśmy się w labiryncie. Powiedziałem to pozostałym. To była sprawka bóstwa, którego świątynię sprofanowaliśmy! Mały człowieczek był jednym z jego czcicieli i został sprowadzony, byśmy zgubili drogę w labiryncie i nigdy nie mogli się już z niego wydostać. Będziemy krążyli głodni i spragnieni, wiedzeni złudną nadzieją, aż zostaną po nas jedynie kości, które pokryje kurz, jak te szkielety, które napotkaliśmy wcześniej!

Ta myśl wszystkich nas zgniewała. Postanowiliśmy sobie, że odnajdziemy to małe stworzenie. Na pewno znało drogę na zewnątrz. Zmusimy je, by pokazało nam wyjście! Nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że chociaż miało ludzkie kształty, maleństwo to mogło mieć nie więcej rozumu od myszki, i że klucząc tak, mogło również zgubić się w labiryncie, podobnie jak my. Bo cóż by je skłaniało do podjęcia tej wędrówki? Czy szukało jedzenia? Jedzenia, w tym kurzu? Nigdzie wokoło nie widzieliśmy nawet najmniejszego źdźbła trawy, tylko gołe skały, które same sprawiały wrażenie głodnych i spragnionych odrobiny życia.

Pochylił się do przodu, przejęty zapałem.

– No właśnie! W końcu udało mi się wyrazić nastrój tego miejsca! Wyglądało, jakby umarło dawno temu, ale jego duch wciąż krążył, pragnąc powrotu do życia. Czekąco, aż po-wróci tu życie, aby nim zawładnąć i użyć do własnych celów! I dlatego tak się baliśmy!

W końcu dopadliśmy tej istotki. Miała tak krótkie nóżki, że nie mogła biec tak szybko jak my! Była cała szara, jakby pokryta warstwą kurzu. To właśnie ta figurka, którą trzymasz w ręku, księżniczko. Ale poruszała się, chodziła! Była żywa! Przysięgam, że była żywa!

Obróciła się, spojrzała na nas przez ramię i zaczęła uciekać! Gogir pognął za nią, złapał

ją, ale w chwili, kiedy znalazła się w jego rękach, zrobiła się bezwładna i bez życia. Stała się zwykłą, glinianą laleczką.

Stłoczyliśmy się wokół Gogira, przyglądając się jej. Znowu ogarnęła nas trwoga, trwoga przed wzbudzającymi grozę rzeźbami świątyni. I straciliśmy głowy. Zaczęliśmy biec, nie zastanawiając się dokąd. Wiedzieliśmy jedynie, że musimy uciekać, by te zaklęte w rzeźby bóstwa nie ruszyły za nami i nie pozbawiły nas życia, którego były tak spragnione!

Milczał przez chwilę, oczy mu pociemniały na wspomnienie niedawnych przeżyć.

Pozostali mężczyźni również byli pochłonięci własnymi myślami, siedzieli razem, jakby czując na sobie dotyk zimnej dłoni strachu. Po chwili żeglarz znów podjął swą opowieść: – Gogir potknął się i przewrócił. Mała gliniana laleczka wypadła mu z rąk. Zatrzymaliśmy się, by po-móc mu wstać, a potem spojrzeliśmy zdumieni po sobie, bo oto figurka poruszyła się znowu!

Podniosła się wolno, jakby ogłuszona upadkiem. Stała przez moment, wpatrując się w nas pustymi oczami, a potem odwróciła się i zaczęła w popłochu uciekać. Gogir krzyknął za nią, ale nie zatrzymała się. Zaklął więc – oczy mężczyzny zaiskrzyły się z uciechy – i zaczął

gonić figurkę, po czym zgarnął ją jednym ruchem ręki. I oto znowu była to jedynie laleczka!

Zwykła, gliniana laleczka. Tylko teraz znieruchomiła w innej pozie. Kiedy Gogir dotknął jej po raz pierwszy, nogi miała wyprostowane, a ręce opuszczone wzdłuż tułowia. A teraz zamarła w ruchu: nogi miała zgięte jak do biegu, a zaciśnięte w pięści ręce uniesione ku górze!

Gogir nie zrobił jej krzywdy, przecież była to jedynie laleczka. Nie zgniótł jej; zresztą nie było potrzeby, ponieważ się nie ruszała. Ale widzieliśmy ją, jak uciekała, i dla nas była ciągle żywa, traktowaliśmy ją jak wszystkie dzieci traktują swoje lalki, kołysząc je i śpiewając do snu.

Gogir powiedział: „To czary. Bóstwo z płaskorzeźby wykorzystuje swoją czarodziejską moc. Wydaje nam się, że ta mała istotka żyje, ale to tylko złudzenie, spowodowane urokiem, który na nas rzucono.” Bo przecież ktoś byłby w stanie myśleć racjonalnie, kiedy widział te przedziwne płaskorzeźby?

Gogir uniósł figurkę, by cisnąć nią o podłogę, ale Tylmin powstrzymał go. „Musimy pokazać ją



naszej księżniczce” – stwierdził. Gogir zgodził się i ruszyliśmy na poszukiwanie wyjścia.

Nasze stopy wznosiły tumany kurzu, który dostawał się nam do płuc. Miał gorzki smak.

Zmierzchało. Baliśmy się nadciągającej nocy. Może kamienne bóstwo nie mogło obudzić się do życia przed nadejściem zmroku i przysłało tę glinianą figurkę, aby zatrzymać nas, póki samo nie przyjdzie?

Znowu ogarnął nas szal. Gogir wsunął laleczkę za pas i zaczęliśmy biec. Biegliśmy i biegliśmy, aż dotarliśmy do drzwi i wyszliśmy. Słońce stało nisko nad horyzontem. Statek, leżący na gładkiej jak lustro wodzie, nigdy nie wydawał nam się przyjemniejszym miejscem niż w tamtej chwili.

Uradowaliśmy się, kiedy ujrzeliśmy jego sylwetkę, mimo przykrości, które nas tam wcześniej spotkały, jak zniknięcie naszego dowódcy czy próby Froara złamania naszej wierności wobec ciebie, księżniczko.

Zepchnęliśmy łódź na wodę i wróciliśmy. Oto i cała historia.

Siwara spojrzała na pozostałych żeglarzy.

– Czy nie zapomniał o niczym? Czy nie chcielibyście czegoś dodać?

Mężczyźni pokręcili głowami. Jeden z nich oświadczył:

– Wszystko było tak, jak ci opowiedział, księżniczko. Jedyne powiedział to składniej, niż my byśmy to zrobili.

Pozostali przytaknęli. Siwara wstała.

– W takim razie możecie odejść. Marza!

– W drzwiach pojawiła się pokojówka. – Daj tym ludziom po garści pieniędzy! –

Siwara zawahała się. – Nie, pieniądze to za mało. Byliście bardzo dzielni. Proszę – szarpnęła swój naszyjnik, chwytając błyszczące ametysty, zanim zsunęły się z zerwanej nitki. – Proszę, podzielcie się tym. Klejnoty jako takie nie mają dużej wartości w Nanich i każdy może podziwiać ich piękno, ale te są dla mnie niezwykle cenne. Dostałam je od matki i nosiłam zawsze na sercu. – Wsunęła kamienie do ręki mężczyzny, który opowiedział ich przygody. – Idźcie i dziękuję wam za wszystko.

Pojawiła się Marza i wręczyła żeglarzom brzęczące monety.

Wymaszerowali pokornie, w ich oczach malowało się uwielbienie dla księżniczki.

Siwara dotknęła gołej szyi.

– Kaspel, chcę jutro odwiedzić to miasto.

Kaspel uniósł wzrok.

– Czyś ty oszalała? Chcesz tam pójść, nie rozważywszy znaczenia opowieści tego człowieka?

Podeszła do okna, próbując przeniknąć ciemności nocy w poszukiwaniu czarnego zarysu wyspy. Odwróciła się i spojrzała na starca.

– Bez wątpienia mieli rację: to czary!

Kaspel z przerażeniem uniósł kościstą dłoń.

– Siwaro! Mówisz to po tych wszystkich naukach, których ci udzielałem? Pozostałaś tak samo zabobonna jak oni!

Wzruszyła ramionami i ponownie usiadła, kładąc dłoń na ręce Gene'a.

– Cóż może to być innego?

Kaspel opuścił rękę i zamyślony uderzył nią w udo.

– Ci ludzie byli przerażeni. Sami przyznali, że potracili głowy. Uciekali. Znaleźli tę małą laleczkę. Wydawało im się, że widzieli też, jak uciekała.

Gene wziął figurkę od Siwary.

– Ale te ślady, które dostrzegli! A lalka jest wciąż wilgotna. Skąd mogła się wziąć w tym kurzu?

Kaspel zasępił się i powiedział:

– Zapomniałem o tych śladach.

Księżniczka energicznie poklepała poduszkę.

– Kaspel, to były czary. W tym mieście żyje bóstwo. Potężne bóstwo, któremu od dawna nikt nie składał czci. Pójdę do niego jutro i poproszę, by pomogło nam pokonać Kof.

– Czary! – zadrwił Kaspel. – To tylko pobożne życzenia!

– Mimo wszystko, Kaspel, pójdę tam jutro. Nie uważasz, że mam rację? – zwróciła się do Gene'a.

Przyglądał się lalce.

– Nie wiem, Siwaro. W Nowym Jorku nie znamy czarów. Pójdę do świątyni zamiast ciebie. Ty musisz pozostać na statku, tu jesteś bezpieczna.

Zaśmiała się kpiąco.

– Bezpieczna? Z Froarem na pokładzie? Nigdy nie wiadomo, czy właśnie w tej chwili nie zamierza zrobić tego samego, co ty uczyniłeś: przekonać swych strażników, by go uwolnili i przyłączyli się do niego. Jeżeli pójdziesz do miasta, ja pójdę z tobą. Zresztą pójdę tam bez względu na to, co ty zrobisz.

Muszę zobaczyć to bóstwo...

– Będę ci towarzyszył – powiedział Kaspel. – Oczywiście cała ta wyprawa to czyste szaleństwo, ale idę z tobą.

– A co z Froarem? – zapytał Gene. – Nie możemy go tu zostawić. Ciągłe nie jesteśmy pewni, czy ci ludzie są w stosunku do nas naprawdę lojalni.

– Froar może nam również towarzyszyć – powiedziała z ożywieniem Siwara. – Nie bę-

dzie stanowił żadnego niebezpieczeństwa. Pozostawimy mu łańcuchy na rękach. Nie będziemy też tracili czasu, jeśli ci o to chodzi, Kaspel. Ludzie wciąż naprawiają złamany maszt. -

Klepnęła Gene'a po ramieniu i wstała. – A więc ustalone. Wyruszamy do miasta jutro, jak tylko wszędzie słońce.

Dotknęła skroni.

– Och, ale jestem śpiąca! Najlepiej wszyscy połóżmy się dziś wcześniej spać, jeżeli chcemy być jutro wypoczęci. Ale zwróćcie przedtem do Froara. Nie podobała mi się jego mina, kiedy go ostatnio widziałam. Jak na człowieka skutego łańcuchami, był zbyt beztroski –

jej zgrabne usteczka zacisnęły się. – Uśmiechał się ironicznie i odgrywał bohatera. Podejrzewam, że coś się za tym kryje. Zastanawiam się tylko, co?

Gene wstał, a Siwara pocałowała go.

– Dobranoc, mój drogi. Nawet mi się podobasz w tym ubraniu. Jest trochę za małe, ale dobrze ci w nim. Żeby nie zapomniała poprosić Marzę o uszycie tego stroju, który noszą kobiety w twoim kraju. Jak go nazwałeś? Aha, spodnie.

– Niech Bóg broni! – wykrzyknął Gene.

# IX

W żółtym świetle poranka miasto wyglądało jak z mosiądzu. Niebo było bezchmurne, spiczaste skały wznosiły się wysoko w górę i ginęły w przestworzach; przypominały słupy, podtrzymujące sklepienie niebieskie. Mała łódź unosiła się na wodzie, obsługiwana przez czterech wioślarzy. Na dziobie siedziała Siwara z Gene'em, Kaspel i Froar zajmowali miejsca z tyłu. Kaspel, w połyskującym błękitnym płaszczu, sprawiał wrażenie, jakby wdział swój paradny strój dla wywarcia wrażenia na zapomnianym bożku. Froar siedział rozparty w wypłowiałej, brązowej opończy, łańcuchy na rękach ukrył w fałdach długich rękawów, głowę trzymał wysoko, jakby to on był kierownikiem całej wyprawy.

– Zauważyliście, że nie ma tu wcale ptaków? – zapytała Siwara.

Gene pogładził miecz, który miał u pasa, pogładził go z lubością i dumą. Nie był już gryziopiórkiem harującym w ponurym nowojorskim biurze. Był obywatelem Nanich, dzielnie służącym swej księżniczce.

Łódź osiadła na piaszczystej plaży, żeglarze unieśli wiosła i wyciągnęli szalupę na brzeg. Oni również byli uzbrojeni. Na ich twarzach malował się strach, gdy rzucali ukradkowe spojrzenia na złowrogie miasto.

Gene podał rękę wysiadającej z łodzi Siwarze, a Kaspel pomógł wydostać się na brzeg Froarowi. Księżniczka zwróciła się do żeglarzy:

– Zaczekajcie na nas tutaj. Nie sędzę, żebyśmy długo zabawili. Jeżeli nie wrócimy w południe, przyjdźcie po nas. Nie boicie się?

Pospiesznie zapewnili ją, że nie.

– Chodźmy – powiedziała Siwara, dotykając ramienia Gene'a.

Cała czwórka – Siwara, Gene, Kaspel i Froar – brnęła przez piasek w stronę szerokiej, brukowanej alei, biegnącej od wejścia do miasta ku kamiennemu nabrzeżu. W miejscu, gdzie kiedyś była brama, zatrzymali się i rozejrzeli wokół. Czas uporał się z wrotami grodu, ale nie-gdyś musiały być one ogromne. Ktokolwiek je zbudował, dokonał prawdziwego architektonicznego cudu.

– To niesłychane! – rozległ się głos Froara.

Spojrzeli na niego zaskoczeni. Tak się przyzwyczaili widzieć w nim wroga, że jego próba nawiązania kontaktu była czymś absolutnie niespodziewanym. Froar uśmiechał się do nich, chcąc wykorzystać tę okazję, by znów być traktowanym tak jak dawniej. Nic mu nie odpowiedzieli i ruszyli dalej.

Za bramą znajdował się plac, może rynek, ale bez straganów z towarami. Pusty i – jak określił to zwiadowca – głodny. Ulice z rzędami przysadzistych domków rozchodziły się od niego jak gałęzie drzew. Weszli do jednego z budynków. Nie znaleźli w środku nic prócz kurzu. Małe, kwadratowe

okna, umieszczone wysoko w ścianach, pozbawione były futryn.

Przed nimi, na skraju przepaści, majaczyła świątynia. Skierowali się ku niej i weszli po szerokich stopniach. Wejście też było ogromne. Przechodząc przez nie czuli się jak mrówki.

Byli tu nieważni, pozbawieni jakiegokolwiek znaczenia.

Za drzwiami grubą warstwą leżał kurz.

Nie było potrzeby podążania śladami pozostawionymi przez ich poprzedników. Szli, mówiąc szeptem. Gene przystawał często, aby zrobić w pyłe znak krzyża.

– Żebyśmy wiedzieli, które ślady są nasze – wyjaśnił pozostałym.

Korytarz ciągnął się bez końca. Kroczyli wciąż przed siebie. W pewnej chwili droga skrzyżowała się z ich własnymi śladami. Gene skierował grupkę w bok, poleciwszy wszystkim trzymać się prawej strony. Weszli przez szary hol do ogromnej sali, potem przez kolejny hol do innej komnaty, nie znajdując nic prócz pyłu. Tak, jak opowiadał im żeglarz, leżały tu całe zwały kurzu. Gene zatrzymał się i ostrożnie kopnął jeden kopczyk. Natrafił na coś i zmarszczył brwi. Podniósł niezbyt duży kawałek rzeźbionego metalu w kształcie pustej pira-midy, jakby narożnik od drewnianej skrzyni.

Przyjrzeni się uważnie rysunkom.

– Spójrzcie! – powiedziała Siwara. – Przedstawiono tu takie same postacie, jak ta gliniana laleczka; ludzkie, a jednocześnie nie.

Podala kawałek metalu Kaspelowi, żeby go schował, po czym ruszyli dalej. Wyszli z komnaty na korytarz i stanęli jak wryci. U jego wylotu rozciągał się ogród, jaśniejący w promieniach słońca.

Pospieszyli do drzwi. Ogród znajdował się na świątynnym podwórku i był doprawdy wspaniały. Tam też ujrzeli pierwszą żywą istotę.

Drzewa ciągnęły się na przestrzeni pół mili; delikatne, jasne, zielonozłote, jakby wczesnowiosenne liście tworzyły baldachimy nad purpurowo-czarnymi pniami. Niektóre drzewa przypominały brzozy, ale ich papierowa kora była blad różowa, a z nielicznych gałęzi zwisa-

ły ciężko splecione kiście błękitnych kwiatów. Poniżej rozciągały się rzędy żółtych azalii.

Wysokimi kępami rosła tu trawa, wiotka i złota, jakby jej źdźbła przesycone były promieniami słońca. Dalej, obrzeżony miękkim, intensywnie żółtym mchem, szemrał ciemnozielony strumyk; na jego dnie błyszcząły perłowoszare kamyki, a małe, srebrne rybki migotały w wodzie jak meteoryty.

Coś, niby antylopa, ale znacznie smuklejsze, stąpało po mchu, wyciągając długą szyję, by napić się z potoku. Zwierzę nie zdawało sobie sprawy z ich obecności.

Weszli do ogrodu. Motyle o nieprawdopodobnie wielkich skrzydłach fruwały nad murawą, a dziwne, niebieskie ptaszki, ćwierkając w locie, przemykały w pogoni za owadami.

Kaspel potknął się o coś i przykucnął.

Wskazał palcem w trawę.

– Zastanawiam się, co to może być? – zapytał. Owoce przypominające jabłka rosły na smukłych łodygach, które pod ich ciężarem pochylały się do ziemi. Gene odkrył w pobliskich krzakach wielki, żółty owoc, wyglądający jak gruszka.

– Przecież tu jest zupełnie jak... w raju! – zawołała uszczęśliwiona Siwara.

Wędrowali przed siebie, Gene szedł pierwszy. Nagle zatrzymał się, unosząc palec do ust. Zaczęli nasłuchiwać.

Usłyszeli...ludzki głos! Ktoś śpiewał! Głos był cichy i cienki, ale nie kobiecy, raczej dziecięcy.

– Nie mogę zrozumieć słów – szepnęła Siwara. Zwróciła pytający wzrok na Kaspela, ale ten również potrząsnął głową przecząco.

– To dziwne – mruknął Gene. – Są przecież zupełnie wyraźne. – Powtórzył je: –

„Tańczcie ludziki, tańczcie dla mnie... który was zrobiłem z mokrej gliny. Żyćcie i trwajcie w ekstazie, moje myśli waszymi, moja wola, wasza krew”... – Popatrzył na pozostałych. – Nie rozumiecie tych słów? – zapytał, ale Siwara i Kaspel potrząsnęli głowami, a Froar gapił się w milczeniu.

– Rozróżniam sylaby – powiedział Kaspel – ale nic one dla mnie nie znaczą.

Gene zastanowił się.

– To dziwne, że ja je rozumiem, a wy nie. Sprawdźmy, któż to tak śpiewa.

Zaczął się skradać, ostrożnie rozchylając pokryte kwiatami gałęzie, które zasłaniały drogę; jedynie jego stopy szurały, kiedy stąpał po trawie.

Nagle zatrzymał się; pozostali wyłonili się z zarośli i stanęli obok.

Strumyk w tym miejscu zakręcał. Przed nimi rozciągał się porośnięty mchem brzeg i pluszcząca woda. Na mchu tańczyły małe, gliniane figurki o ludzkich kształtach, a jednocze-

śnie tak mało przypominające człowieka.

Pochylała się nad nimi jakaś człekokształtna istota. Ale czy był to rzeczywiście człowiek? On również wydawał się jedynie podobny do człowieka. Jego stopy pokrywała błona, palce sterczały mu jak ostre pazury, ręce miał też w kształcie płetw. Na nogach i wydatnym brzuchu połyskiwały zielone łuski. Twarz o ogromnych oczach przypominała oblicze foki z płaskimi nozdrzami nad półokrągłym wycięciem ust. Kolczasty grzebień wyrastał mu z czoła i biegł do karku, by zaniknąć na grzbiecie. Postać ta nie wzbudzała lęku, raczej śmiech.

Kucając nad małymi, tańczącymi lalkami, wyciągnął swoją długą łapę, by je pogłaskać i zebrać razem. Przewracał błogo wylupiastymi oczami i szeptał do nich – Gene wyraźnie rozró-

zniał słowa: – „Jesteście szczęśliwe, moje dzieci, takie szczęśliwe! I kochacie mnie, swojego ojca, który was stworzył. Ukłękniecie przede mną!” – Lalki padły na kolana, unosząc jednocześnie z czcią rękę. – „Teraz tańczcie dalej...”

Nagle odwrócił się i lalki padły bez życia.

– Na co się to zda? – zapytał. – Co ja robię? Rozmawiam jedynie sam ze sobą.

Wtem jego wzrok padł na Gene'a i jego towarzyszy. Z cichym okrzykiem zdumienia usiadł na swych lalkach i otworzył szeroko usta. Po chwili zerwał się na nogi.

– Ludzie! Ludzie! – wykrzyknął, po czym popatrzył podejrzliwie w niebo. – Orcher, czy to twój kolejny żart?

Jeżeli spodziewał się odpowiedzi, to się nie doczekał. Pospieszył w stronę przybyłych.

– Ludzie! – zawołał. – Ludzie! To niemal nieprawdopodobne, ale przecież widzę prawdziwych ludzi! Ledwo mogę w to uwierzyć!

Dotykał ich podszczypując, poszturchując, szarpiąc za ubrania. Kiedy zbliżył się do Siwary, dziewczyna złapała Gene'a za rękę. Człowiek-ryba spojrzał na nią z wyrzutem.

– Boisz się mnie? Mnie? – odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się do rozpuku. – Coś takiego, a to dopiero zabawne. Bać się mnie!

– Nie rozumiem, co on mówi – odezwała się Siwara do Gene'a. – Myślisz, że jest groźny?

Kaspel wyciągnął nóż z pochwy.

– Naprawdę go nie rozumiecie? Bo ja tak. Nie posiada się z radości na nasz widok – powiedział Gene.

Siwara podejrzliwie przyjrzała się gospodarzowi.

– Mam nadzieję, że nie chce nas zjeść – odparła. – Cóż to? Czyżby potrafił czytać w moich myślach?

Bo nagle dziwne stworzenie przestało się śmiać i popatrzyło na nią żałośnie.

– Oczywiście, że nie chcę wam zrobić żadnej krzywdy.

Ale Siwara wciąż go nie rozumiała.

– W tym jest coś osobliwego – powiedział Gene. – Ja rozumiem twoją mowę, a moi przyjaciele nie.

Mam na imię Gene – nie używał nazwiska, kiedy się okazało, że Siwara, Kaspel i Froar nie mają nazwisk. – To jest księżniczka Siwara z Nanich, a to Kaspel, jej minister. Tam stoi Froar – dodał niechętnie.

Dziewczyna spojrzała na Gene'a ze zdumieniem.

– Potrafisz z nim rozmawiać! Przedstawiasz nas!

Dziwaczne stworzenie położyło dłoń na piersi.

– Ja jestem Yanuk – powiedział, po czym podszedł, aby znowu ich dotknąć. Kaspel był

trochę zdenerwowany, Froar stał sztywno i wyniośle, a Siwara schowała się za Gene'a. – To cudownie móc znowu z kimś rozmawiać! Jesteście pierwszymi istotami ludzkimi, które widzę od – wyciągnął palce, jakby licząc – wielu wieków. Ludzie! I jak pięknie odziani! Mówiąc o ubraniu – spojrzał z niechęcią na swój wydatny brzuch – przepraszam, ale nie spodziewałem się gości. Chwileczkę.

Odwrócił się pospiesznie i pochylił nad mchem. Co z nim robił? Przybyszom wydawało się, że przesuwa po nim dłońmi, najpierw w jedną stronę, a potem w drugą. Następnie wyprostował się: w rękę trzymał szarfę, utkaną z żółtego mchu, którą się zgrabnie przepasał.

– No, teraz lepiej. Dlaczego ta dziewczyna jest taka nieufna? – zapytał Gene'a. – Czy to twoja małżonka?

– Chyba tak – odpowiedział Gene. – Nie zostało to jeszcze ostatecznie zadecydowane.

Ona jest księżniczką, a ja – nikim. Mówiąc szczerze, w ogóle nie należę do tego świata.

– Towarzyszka – powiedział Yanuk, wznosząc oczy do nieba. – Tego właśnie pragnę.

Modliłem się do Orchera, ale powiedział, że nie stworzy mi żony, gdyż chce mnie ukarać.

Jestem straszliwie samotny.

– Kto to jest Orcher? – zapytał Gene.

– To on zbudował ten gród. Widzę, że interesuje was moja osoba. Ale czemu tak tu stoimy! Chodźcie ze mną – ruszył przed siebie, zapraszając ich uprzejmym gestem ręki.

Gene pospieszył za nim, tłumacząc pozostałym słowa stwora.

– To zastanawiające, że ty rozumiesz, co on mówi, a my nie – powiedziała Siwara. –

Przyczyną tego nie może być telepatia czy pewne wyjątkowe właściwości naszej atmosfery.

Musi istnieć jakiś inny powód.



Yanuk wyprowadził ich z ogrodu przez jedne z ogromnych drzwi i skierował się na górę.

Podłoga została tu czysto zamieciona. Schody były bardzo długie. Na ich szczycie zrobili zwrot i zaczęli wchodzić na kolejne piętro. Potem na trzecie, czwarte, aż się zmęczyli. Tylko Yanuk był niestrudzony. Wskakiwał na stopnie, a brzuch podskakiwał mu niczym świętemu Mikołajowi.

W końcu dotarli do jego komnat. Zastawione były niezwykle meblami i przypomina-

ły wnętrze surrealistycznego sklepu ze starociami. Na podłodze leżało pięć czy sześć dywanów, rzuconych beładnie. Froar potknął się, jego kajdany zadźwięczały. Uniósł głowę z urażoną miną. W pokoju stały metalowe kufry, wysokie, długie stoły na trójnogach, zavalone suchymi, glinianymi figurkami i kilka połyskujących, jakby zbudowanych z macicy perłowej modeli, przypominających gotyckie katedry. Przez wysokie okno wpadało światło.

– To moja pracownia – wskazał ręką Yanuk. Zatrzymał się, wciągając nosem powietrze.

– A co to takiego?

Gene wyczuł zapach zwiędłych kwiatów.

– Ach, już wiem – Yanuk pospieszył w stronę długiej wiązki koloru rdzy. – Prosiłem moje lalki, by mi utkały kobierzec z kwiatów. Widzę, że zwiędł. Zaraz go wyrzucę – podniósł

dywan, zaciągnął go do jednego z gotyckich modeli i wsadził do środka budowli. – Możecie to nazwać krematorium – powiedział, wskazując na przedmiot. – Ale proszę, siadajcie!

Gene przetłumaczył te słowa księżniczce i jej ministrom.

Znaleźli krzesła, Froarowi udało się przysunąć jedno dla siebie. Usiedli.

– A teraz opowiem wam o sobie – powiedział Yanuk. – Oczywiście, spodziewam się w zamian dowiedzieć wszystkiego o was – uniósł ostrzegawczo palec.

Rozsiadł się wygodnie.

– My, wodni ludzie, wieki temu żyliśmy w oceanie. Straciłem rachubę czasu, kiedy to było. Tworzyliśmy liczną społeczność. Ale woda ochłodziła się, więc musieliśmy wyjść na ląd. Ta wyspa stała się naszym schronieniem. Ci nieliczni z nas, którzy nie zginęli z zimna, żyli w tym ogrodzie, kiedy pojawił się Orcher. Nie wiem skąd przybył i myślę, że on sam tego nie wie. Jest już tak stary, że mimo swej wiedzy najprawdopodobniej tego nie pamięta.

To Orcher zbudował ten ogród. Taki miał kaprys. Moi ludzie byli zabobonni. Uważali go za boga i modlili się do niego. Och, ich obrzędy były bardzo krwawe – wiecie, poświęca-nie pierworodnych i tym podobne – pogardliwie wzruszył ramionami. – Uważałem to za rzecz w złym guście i trzymałem się z daleka od tych wszystkich spraw. Orcherowi się to spodobało – wyprężył się dumnie. – Orcher mówi, że szanuje mnie, bo jestem sceptykiem.

To, że jest mądrzejszy od nas, nie znaczy od razu, że jest bogiem. Przynajmniej dla mnie. I to właśnie mu się spodobało. Przez jakiś czas mnie uczył, dopóki nie znudziło mu się to miejsce.

Ale uczynił mnie nieśmiertelnym – bym miał możliwość dalej się doskonalić, gdyż Orcher jest fanatykiem samokształcenia. I tak żyję tu od wielu, wielu lat. Zabawiam się robiąc lalki i parając się tym, co nie wtajemniczeni mogliby nazwać magią – choć to tylko jedna z gałęzi nauki. Ale od czasu do czasu okropnie mnie to wszystko nudzi.

Bywało, że jakiś statek zabłąkał się w te okolice i wtedy miałem towarzystwo. Ale ludzie starzeli się i umierali i znowu zostawałem sam. Czasami myślałem, że dobrze by było wybudować statek i samemu wyruszyć w świat, ale nie chcę opuszczać tego miejsca; obawiam się, że nie spodobałoby się to Orcherowi. Przecież ktoś musi doglądać Machiny...

– Machiny? – przerwał mu Gene.

– Tak, Machiny, za pomocą której można go wzywać. Znajduje się w świątyni na dole.

Zostawił mi ją, żebym mógł go wezwać w razie, gdyby ktoś z jego... że tak powiem, krewnych wpadł tutaj. Ale nigdy tu nie zaglądali. Bo Orcher, chociaż nie przyznaje się do tego, jest tak samo samotny jak ja... i dlatego to przykre, że odmawia mi towarzyski – powiedział

ponuro Yanuk. – To wyłącznie jego wina, że jestem samotny. Mógł przecież jeszcze kogoś uczynić nieśmiertelnym.

Gene przetłumaczył wszystko swym towarzyszom i wyjaśnił Yanukowi ich obecność.

– A więc pochodzisz z innego świata? – zapytał Yanuk. – Hmm, to ciekawe. To nie mógł być przypadek, bo wtedy zdarzałoby się to częściej. Sądzę, że Orcher maczał w tym palce. Tak, jestem nawet tego pewny. Pozwól, że spojrzę w twoje oczy. – Wstał z krzesła i podszedł do Gene'a, przybliżając swe oblicze do jego twarzy. – No tak, jest, jak podejrzewałem.

Nie wiesz o tym, ale zetknąłeś się już z Orcherem. – Wrócił na swoje miejsce. – I dlatego ty mnie rozumiesz, a reszta nie. Kiedy Orcher cię dotknął, coś ci uczynił. Nie pytaj mnie co.

Mimo stuleci nauki jestem jeszcze nowicjuszem.

– A jak wygląda ten Orcher? – zapytał Gene.

– Jego podobizna jest w świątyni – powiedział Yanuk. – Chcielibyście ją zobaczyć?

Gene zwrócił się do Siwary. Skinęła głową.

– A więc chodźmy – powiedział Yanuk, wychodząc z pokoju.

Zeszli po schodach. Nie wrócili do ogrodu. Yanuk poprowadził ich do zakurzonego korytarza. Cmoknął z niezadowoleniem czerwonym, tępo zakończonym językiem.

– Musicie wybaczyć moje niedbalstwo. Tak rzadko tu zaglądam, że przestałem sprzątać tę część.

Dotarli do ogromnego wejścia do świątyni. Było tak wielkie, jak to opisywali żeglarze.

Siwara przysunęła się bliżej Gene'a, a na widok dziwnych kształtów wyrzeźbionych nad ołtarzem zadrżała i mocniej ścisnęła młodzieńca za ramię. Yanuk dla dodania otuchy klepnął ją zdrowo po plecach, aż się zachłysnęła.

– Nie ma się czego bać. To wszystko dzieło moich ludzi. Zrobienie tego zajęło im lata.

Uważam, że to głupota.

Gene przetłumaczył jego słowa.

– Czy... to bóstwo tu mieszka? – zapytała Siwara.

– Ależ skąd! Orcher krąży gdzieś w przestworzach. Wystarczająco ciężko wytrzymać, będąc osadzonym na wyspie. Nie mogę sobie nawet wyobrazić zamieszkiwania w takim kamiennym bloku – powiedział Yanuk.

Chociaż Gene przekazał Siwarze jego słowa, nie wydawała się przekonana. Na widok groźnego symbolu na ścianie Kaspel uklęknął. Zamknął oczy i bezgłośnie poruszał ustami, jakby się modlił. Po chwili przyłączyła się do niego Siwara.

– Powiedz im, żeby wstali i nie byli tacy dziecinni – powiedział Yanuk z nutą zniecierpliwienia.

Gene pochylił się nad Siwarą i położył jej rękę na ramieniu, by pomóc dziewczynie wstać. Odepchnęła jego dłoń – i właśnie wtedy to się stało.

Zupełnie zapomnieli o Froarze. On jeden nie pokłonił się przed ołtarzem. W jego bystrych oczach było coś podobnego do trudnego do opisanego wyrazu okrucieństwa przebijają-

cego z groteskowej kamiennej postaci. Patrzył prosto przed siebie, uśmiechając się lekko, i kiedy Gene pochylił się nad Siwarą, a uwagę Kaspela pochłonęła modlitwa, uniósł swe zakute ręce.

Między żelaznymi obręczami był łańcuch długości około sześciu cali. Froar podniósł rę-

ce do góry, po czym gwałtownie je opuścił. Łańcuch uderzył Kaspela w głowę i starzec przewrócił się, nie wydając nawet jednego jęku. Ruchy Froara były szybkie. Kiedy Gene uniósł

wzrok, Froar akurat pochylał się, by wyciągnąć Kaspelowi nóż, a potem zrobił krok naprzód i otoczył Siwarę ramionami jak obręczą. Zanim Gene pojawił się, co się stało, Froar odskoczył do tyłu, ciągnąc dziewczynę za sobą.

Z głowy Kaspela trysnęła krew, zamieniając kurz w czarne błoto. Kiedy Gene dotknął

rękojści miecza, Froar cofnął się, pociągając Siwarę za sobą. Uśmiechał się przy tym

nieprzyjemnie.

– Nie wyciągaj miecza. A ty – powiedział do zbliżającego się Yanuka – stój z daleka!

Jeżeli się zbliżycie, zabiję naszą małą Siwarę. Nie chciałbyś tego, prawda?

Gene wyciągnął miecz, ale zatrzymał się niezdecydowany.

Froar cofał się szydząc.

– Uważaj, żebyś się nie skaleczył!

Siwara wiała się w uścisku Froara.

– Froar! Co chcesz zrobić?

Przytknął nóż do jej piersi.

– Spokojnie, księżniczko! Wrócisz na statek tylko ze mną.

– Moi ludzie cię zabiją – powiedziała przerywanym głosem Siwara.

Froar zaśmiał się; jego śmiech przypominał łoskot kamieni toczących się zboczem góry.

– Nie zrobią tego tak długo, jak długo będę cię w ten sposób trzymał.

Gene zrobił krok naprzód. Froar przekraczał już próg świątyni, kierując się w stronę korytarza.

– Nie zbliżaj się! – ostrzegł go.

Gene zawahał się lekko.

– Czemu? Jeśli zabijesz Siwarę, nie będziesz mógł wrócić na statek. Twoje bezpieczeń-

stwo zależy od utrzymania jej przy życiu. Martwa księżniczka nie ma dla ciebie znaczenia, jak mnie sam przekonywałeś, pamiętasz?

– Tak samo jak dla ciebie martwa ukochana – odparł Froar, ciągle się cofając.

Był to szach-mat. Gene odwrócił się do Yanuka, obserwującego całe zajście z wielkim zainteresowaniem. Stwór wyciągnął łapę, rozczapierzając dłoń. W pierwszej chwili nic się nie stało. Potem czubki jego palców rozblęsknęły niebieskawym światłem, które przybrało na sile, utworzyło małą kulę i popłynęło wolno w powietrzu ku Froarowi.

Siwara stała z oczami rozszerzonymi strachem. Froar zrobił unik, ciągnąc dziewczynę za sobą. Ale mała świetlna kula dosięgnęła czoła mężczyzny i rozlała się, jakby rozpuszczając się na skórze. Wsiąkła w ciało jak woda w bibułę.

Froar znieruchomiał – Siwara krzyknęła. Froar stał, patrząc nieprzytomnym wzrokiem, a nóż wypadł mu z ręki. Gene podbiegł, uniósł jego bezwładne ręce i uwolnił Siwarę. Włożył miecz do pochwy i przytulił księżniczkę.

Przywarła do niego, płacząc cicho. Yanuk przyglądał im się z rozrzewnieniem.

– Miłość, cóż to za wspaniała rzecz! – powiedział swym dziecinnym głosem. – No, chodźcie. Pokażę wam Machineę – pochylił się nad Kaspelą. – Ten człowiek umiera.

Gene uwolnił się od Siwary i przyklęknął obok starca, patrząc jednocześnie niespokojnie na Froara.

– Nic ci nie robi – zapewnił go Yanuk, zauważywszy jego wzrok. – Dla wygody powiedzmy, że jest zahipnotyzowany. – Przekreślił Kaspelę, dotykając jego zranionej głowy. –

Chciałbym pomóc waszemu przyjacielowi, ale uderzenie było bardzo silne. Ma pękniętą czaszkę – pokiwał smutno głową.

Siwara uklękła obok Kaspelę i przyłożyła głowę do jego piersi. Oddychał jeszcze, ale oczy miał zamknięte i leżał bezwładnie; krew przestała już płynąć z rany. Nagle wstrząsnął

nim gwałtowny dreszcz i ranny poruszył się, jakby chciał usiąść; po chwili zakaszał i opadł na wznak.

– Nie żyje – powiedział Yanuk.

Milczeli przez moment. Siwara uniosła wzrok, była bardzo blada.

– Kaspel nie żyje – powiedziała. – Umarł, służąc Nanich! Modlił się do tego, którego zwiesz Orcherem, o pomoc w nadchodzącej wojnie z Kof! Och, gdyby tylko jego modlitwa została wysłuchana! Powiedziałaś, że możesz wezwać Orchera. A więc zawołaj go! Pozwólcie mi pomodlić się do niego! Kaspel nie może odejść... – jej głos załamał się – na próżno.

Zerwała się na nogi, chwytając miecz Gene'a.

– A Froara zabiję własnoręcznie! Bestia! Bezlitosna, zbrodnicza bestia!

Gene powstrzymywał ją, poważnie potrząsając głową. Yanuk wstał, wzruszając ramionami.

– Teraz nic to już nie da. Lepiej nich żyje i cierpi. Nic teraz nie wie, nic nie widzi...

Stopniowo złość jej minęła. Zwróciła się do Yanuka.

– Wezwij swego boga! – spojrzała na ołtarz. – Wezwij swego boga – powtórzyła i ruszyła naprzód.

Yanuk i Gene pospieszyli za nią. Froar stał jak wyrzeźbiony, malowany posąg, patrząc pustymi

oczami.

Dotarli do ogromnej płyty, która była ołtarzem.

Yanuk ręką starł z płyty kurz. Gruba szklana tafla kryła skomplikowany mechanizm, który nieco przypominał wnętrze zegara. Starłszy pył tak daleko, dokąd mógł sięgnąć, Yanuk wszedł na szybę i posuwając się na kolanach, dosyć dokładnie oczyścił całą płytę. Zrobiwszy to zszedł i stał, spoglądając na urządzenie.

– Nie posiada żadnej dźwigni – wyjaśnił Gene'owi, ścisząc głos i kątem oka obserwując Siwarę, która ukryła twarz w dłoniach. – Włącznik jest wewnątrz, aby przez przypadek nikt go nie nacisnął. Tylko ja wiem, jak to uruchomić. Patrz!

Wyciągnął łapę. Znowu niebieska poświata pojawiła się na jego dłoni. Świetlna kula spłynęła z palców jak bańka mydlana i dotarła do szyby, z łatwością przez nią przenikając.

Dotknęła jednego z trybów i zniknęła. Ale kółko zakręciło się ze słabym szczękiem, wprawiając w ruch pozostałe zębaki. Tykanie narastało w różnym rytmie, rozprzestrzeniając się jak krągłe fale na kamiennej tafli cichego jeziora, w miarę jak ruch każdego kółka przydawał nowych tonów. Tykanie było coraz głośniejsze, dźwięczało pełną gamą słyszalnych dźwięków, szybkich i wysokich, wolnych i niskich, aż wydawało się, że zebrały się tu wszystkie zegary, jakie wyszły spod ludzkiej ręki.

– I to koniec? – zapytał Gene, obejmując Siwarę, która przestała już płakać i obserwowała dziwne zjawisko.

– To wszystko, co ja mam do zrobienia – odparł Yanuk. – Ale patrzcie dalej.

Machinę otoczyła błękitna mgiełka. Wirujące koła wydawały się wysnuwać świetliste promienie. Zębaki niby palce chwyciły świetliste nitki i przedły je, pasmo za pasmem, w skomplikowany wzór, który rósł z każdym obrotem tysięcy kółek.

Świetlisty twór, wiszący nisko nad szklaną taflą Machiny, stawał się coraz jaśniejszy.

Świecił coraz mocniej, aż jego blask zaczął sprawiać ból patrzącym. Potem na pulsującej sieci pojawiła się mała, niebieska iskierka i przebiegła po zwojach jak oszalały pajak po splątanej pajęczynie, rosnąc z każdą chwilą.

Gene'owi i Siwarze z wrażenia zaparło dech w piersiach. Yanuk złożył ręce na swoim krągłym brzuchu i promieniał dumą. Niebieska iskierka urosła do rozmiarów dużej gwiazdy, potem księżycy, następnie stała się jeszcze większa. A kiedy kula przybrała rozmiary ludzkiej istoty, Gene cofnął się, a wraz z nim Siwara. Niebieskie ciało wciąż rosło, miało nieregularne kształty, które to nabrzmiewały, to kurczyły się, nieustannie zmieniając wielkość. Czy to kula czy też dysk? – nie można było tego jednoznacznie stwierdzić.

Była teraz ogromna i ciągle rosła! Drgała cała jak światło odbite od wzburzonej wody, jej postrzępione brzegi poruszały się zgodnie z tysiącami obrotów zębatek. Mimo że zbudowana ze światła, nie rozświecilała ścian świątyni ani nie rzucała cieni za stojącą trójką. Wciąż rosła i kiedy tak

się powiększała, Gene i księżniczka, jak również Yanuk, cofali się, aż dotarli do progu budowli. Froar stał nieruchomo tuż za nimi, nie widząc niczego. Błękitna poświata przybrała rozmiary olbrzymiej płaskorzeźby ze ściany za ołtarzem. Wisiała drgając w powietrzu. Jedna z jej wstęg wyciągnęła się do dołu i dotknęła rzeźby, która zniknęła. Jednocześnie ustało też tykanie.

Wtedy w ogromnej sali rozległ się głos. Czy słyszeli go? Czy też tylko czuli swymi zmysłami, jak docierał przez zakamarki ich mózgów? Całe zjawisko przypominało światło niezliczonych gwiazd, skupione i powiększone, a także jakby kontrapunktową melodię graną na organach, które przez piszczałki, sporządzone z podłużnych brylantów wysyłały światło zamiast powietrza.

– Przybyłem, Yanuku. I jestem niezadowolony. Czy nie mówiłem ci, abys mnie nigdy nie wzywał, chyba, że rozkaże ci ktoś podobny do mnie?

Był to głos Orchera!

# X

Melodyjny głos Orchera był ożywczy niczym metapsychiczny wiatr, pobudzający ogień życia do gwałtowniejszego płomienia. Choć nawet w najmniejszym stopniu nie przypominał ludzkiego głosu, miał w sobie pasję, ale pasję, jakiej żaden śmiertelnik nigdy nie pozna, pasję tak intensywną, że nawet przy najmniejszym jej natężeniu rozbiłaby ludzkie ciało na atomy. I chociaż ten dziwny stwór był jedynie błyskiem światła, Gene wiedział, że posiada on oczy. Utkwione były w Yanuka, który uniósł rękę w błagalnym geście.

– Przepraszam cię, Orcher – czy Yanuk to powiedział, czy też porozumiewał się tele-patycznie? Powietrze w sali falowało, zniekształcając wszystko, zarówno myśli, jak i gesty.

Yanuk wskazał w stronę księżniczki. – Ci ludzie przyszli, by prosić cię o pomoc w rozwiązaniu dręczącego ich problemu.

Tajemnicze oczy Orchera spojrzały na Gene'a i Siwarę, zatrzymały się na krótko na Froarze i zwłokach Kaspela.

– Tak, widzę – powiedział. Jakaś obca nuta zabrzmiała w jego harmonijnym głosie. – A więc to wy, nędznicy, przerwaliście mi pracę! Jak śmiecie? Myślicie, że obchodzą mnie wasze problemy? A nawet gdyby tak, to co? Cóż moglibyście mi dać w zamian za moją pomoc?

– Głos jego dźwięczał dumą. – Mam pragnienia, jakich sobie nawet nie wyobrażacie! Mogę w mgnieniu oka stworzyć taki świat, jak wasz, i w jednej chwili go zniszczyć! Wszystko, co możecie mi ofiarować, należało do mnie, póki z tego nie zrezygnowałem. A mimo to przychodźcie do mnie, by mnie prosić o przysługę?

Świątynia zatrzęsała się od jego śmiechu; powietrze powstało w gwałtownych podmuchach, rozwiewając ich szaty, targając włosy Siwary.

– Jam jest Orcher! – zakrzyknęła istota. – Widziałem narodziny i śmierć wielu słońc.

Obserwowałem, jak pojawiło się na tej ziemi życie, pierwsze przejawy życia, powstające na płynnej, nowo narodzonej planecie! Życie, które zginęło. Potem śledziłem życie roślin, które chodziły, myślały i budowały małe miasta – i one przeminęły. Widziałem rasę gadów, która pojawiła się na miliony lat, by zniknąć na zawsze. Obserwowałem też was, małe, ludzkie istoty, wspinające się po drabinie życia, poczynając od drobin plazmy, wijących się w oceanach.

Rozśmieszaliście mnie jedynie. Byliście tacy mali! Tacy słabi w waszych dążeniach... i tacy bezmyślni! A mimo to... – niemiły ton zniknął – mimo to czasami czułem do was sympatię.

Bo niektórzy z was bardzo starali się, aby być podobni... do mnie! Chcieli dotrzeć do gwiazd i zmieniać ich orbity dla zaspokojenia własnej fantazji, ale nie umieli i prawdopodobnie nigdy nie będą potrafili. Bo jesteście ograniczeni przez wasze ciała i ich potrzeby. Jesteście igraszką ewolucji – skupił wzrok na Yanuku. – Mógłbym zmienić bieg ewolucji, tak jak to uczyniłem w twoim



przypadku, Yanuku. Mógłbym unicestwić wasze ciała i ustanowić wokół waszych dusz świetlny pancierz, byście mogli swobodnie pokonywać przestrzeń. Ale wolę raczej z wa-mi nie eksperymentować. Musicie sami wszystkiego dokonać. Gdybym uwolnił was od ciał, wspomnienie tego, co było, mogłoby dręczyć was i kusić do powrotu do starego życia, łatwiejszego, beztroskiego. I co byście wtedy zrobili? Obawiam się, że nic konstruktywnego.

Moglibyście wchodzić mi w drogę i przeszkadzać w moich pracach, A więc jest to wykluczone.

Nie, jeżeli chcecie być tacy jak ja, musicie zmienić się sami. Jeżeli nie chcecie, to już wasza sprawa. I tak szybko znikniecie i zostaniecie zapomniani! Jedyne, co dla was zrobię, to wskażę wam właściwą drogę.

Ty, którą nazywają księżniczką, przysłaś po pomoc, by wygrać wojnę. Wielka szkoda, że nie zwróciłaś się z tym do mnie wieki temu, kiedy interesowałem się ludzkimi emocjami, ale nie było cię wtedy jeszcze na świecie. Teraz ten problem nie za bardzo mnie pociąga. Cóż mnie obchodzą wasze wojny? Cóż dobrego mogą mi przynieść ich wyniki? Jeżeli wygracie, to co z tego? Jeśli przegracie, no to przegracie, i tyle. A mimo to, przyznaję, że interesuje mnie to. Czemu? Ponieważ ten wasz kraj... jak go nazywacie? Nanich? Ten wasz kraj zmierza ku wolności drogą rozwoju nauki i badań. W przyszłości może nawet stworzyć umysł podobny do mojego.

Jeżeli chodzi o waszego przeciwnika, o Kof, to zupełnie nie odpowiadają mi wyznaczone przez nich idee. Utrzymują ludzkie masy w ciemności, by zdobywać jedynie dobra materialne, a to oznacza regres. Nie, nie podoba mi się to! W pewnym sensie – zapewniam was, że w bardzo odległym – cele waszego kraju są podobne do moich. Osiągnięcie wielkość duchową. Ja sam też ciągle staram się doskonalić. Podobacie mi się więc. Nawet bardzo... – Melodyjny głos zmałyły ponure akordy. – Kof nie ma w sobie nic, co by mi odpowiadało. Ich koncepcje mnie złością. Nie mam czasu na złość, jestem ponad takie uczucia. Tak, im więcej o tym myślę, tym bardziej dostosowuję swój punkt widzenia do waszej perspektywy i tym bardziej się złościę!

Ale jestem sprawiedliwy. Nie mogę unicestwić waszych wrogów, przynajmniej nie wszystkich. Bo nie wszyscy oni chcą żyć tak, jak żyją. Są jedynie niewolnikami swych panów i póki nie dokonają żywota, robią to, co im każą ich władcy.

Oto, co wam obiecuję. Kiedy wybuchnie już ta wojna, zakończę ją, ale zrobię to po swojemu. Wam może się to wydać nieco drastyczne. Za to potem nie będzie już więcej wojen. Możecie być tego pewni. Nigdy więcej wojen – Kof i Nanich podadzą sobie ręce w pokoju i przyjaźni.

Nie kłaniaj mi się, księżniczko, nie jestem bogiem. Jeżeli będziesz się mnie bała, cofniesz się w mroki zabobonów. Spróbuj zrozumieć mnie, a zbliżysz się ku wyższemu poziomowi, na którym egzystuję.

Jeśli smuga światła może podnieść palec w upomnieniu, Orcher właśnie to zrobił.

– Pamiętajcie! Tylko raz odpowiem na wasze wezwanie! Możecie mnie przywołać tylko w ostatecznej potrzebie! – Błękitna aureola opadła na szklaną tafłę, którą Yanuk nazywał

Machiną. – To urządzenie do wzywania mnie jest zbyt ciężkie, abyście je mogli zabrać do swej ojczyzny. Zrobię dla was coś mniejszego: mały amulet, który zawiera odrobinę energii życiowej, utrzymującej ze mną więź, gdziekolwiek będę. Ale możecie go użyć tylko raz!

Niewidzialny podmuch powietrza musnął księżniczkę, Gene'a, Yanuka, Froara i ciało Kaspela i wyrzucił ich ze świątyni na korytarz. Falujące światło, którym był Orcher, spłynęło z podwyższenia i zatrzymało się na środku komnaty. Wirowało czy też stało nieruchomo?

Nikt tego nie wiedział. Jego poszarpane brzegi drżały jak niespokojne płomienie. Kurz na posadzce zaczął poruszać się coraz szybciej, przypominając wodę, wirującą wokół lejka i tworzącą wir. Słup pyłu uniósł się niczym mikroskopijny cyklon i cały kurz zalegający świątynię posuwał się nad posadzką jak wirujący słup.

Promień z błękitnej łuny Orchera opadł na ziemię i tajfun zniknął, a na podłodze leżał klejnot wielkości ludzkiej głowy. Swoją czystą, błękitną barwą przypominał szafir.

Była to miniaturowa replika kształtów Orchera. Wypukły klejnot o wystających krawędziach błyskał gwiazdnymi refleksami.

Niewidzialna fala zaniósła obserwatorów z powrotem do świątyni.

– Oto talizman! – powiedział Orcher. – Kiedy będziecie mnie potrzebowali, rozbijcie go, a zjawię się wkrótce potem. Jest ciężki; Yanuk, najlepiej będzie, jeśli to go poniesiesz.

Oznacza to, że masz towarzyszyć tym ludziom do Nanich. Nadszedł już czas, byś poszerzył swoje horyzonty i opuścił tę wyspę. Pod twoją nieobecność nie będzie nikogo do obsługi Machiny, ale obiecuję ci, że wkrótce tu wrócisz. No, muszę już pędzić do wszechświata, który właśnie tworzyłem. Jest wyjątkowo skomplikowany i nie mogę go opuszczać na zbyt długo.

Światło przygasło, ale po chwili rozbłysło znów pełną mocą, kierując się na Gene'a.

– Przecież ja znam tego człowieka! Niedawno, kiedy przeczesywałem różne światy, poszukując surowców, których mógłbym użyć przy budowie nowego wszechświata, można powiedzieć, że się... potknąłem. Tak, potknąłem się, wyrzucając przy tym nieco energii, która mogła chwilowo zakłócić prawa rządzące jego światem i waszym. Na moment zostały złączone, a on prześliznął się przez szczelinę. Zdaje się, że tonął. Nie miałem czasu, by go odesłać, bardzo się spieszyłem, więc użyczyłem mu nieco własnej mocy, by mógł sprostać wymaganiom tego świata, o ile różniłyby się od zasad jego własnego. No i proszę! – muzyka Orchera zamieniła się w szybkie, kruche tony śmiechu – odnalazł drogę do mnie! Powiedz, czy chcesz wrócić do swego własnego świata? Musisz zdecydować szybko, ale bądź rozważny. Drugi raz nie zapytam.

Gene spojrzał w twarz Siwary. Jej oczy przepełniał smutek.

– Nie – powiedział. – Zostanę tutaj.

– Wspaniale! – pochwalił go Orcher. – A teraz muszę już iść...

Ale Siwara uwolniła się z objęć Gene'a, zrobiła krok do przodu i uniosła dłoń.

– Zaczekaj! – padła na kolana, pochylając głowę zawstydzona, ale jej głos brzmiał

zdecydowanie. – Orcher, wybac mi śmiałość. Jest jeszcze coś, o co chciałabym cię prosić, coś bardzo dla mnie ważnego. Chodzi mi o tego człowieka. – Wskazała ciało Kaspela. – Leży martwy, zabił go Froar. Był mym nauczycielem, tak jak ty byłeś nauczycielem Yanuka. I oto leży martwy. Orcher, czy możesz przywrócić mu życie?

Łuna pociemniała, jakby przygasając, ton jej głosu stał się melancholijny.

– Podobają mi się twe słowa, księżniczko. Zastanawiam się, czy gdyby mnie coś się przytrafiło, Yanuk modliłby się do jakiejś potężniejszej siły w mojej sprawie! Ale mówiłem ci, że nie jestem bogiem. Nie mogę wrócić życia czemuś, czego nie stworzyłem. Mógłbym go natchnąć jedynie pozorem życia. A to by ci nie odpowiadało. Widzieć, jak ten człowiek chodzi, słyszeć jego głos i wiedzieć, że nie posiada duszy! Bałabyś się go i nienawidziła. Jego dusza nie z mojego powodu uleciała z jego ciała i przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

Siwara załkała, Gene'owi oczy zaszyły mgłą. Blask Orchera zadrżał i zbladł, po czym zniknął. Pozostały tylko jego zarysy, wyrzeźbione na ścianie świątyni.

Stali wszyscy przez dłuższy czas bez ruchu. Potem Gene podszedł do Siwary i podniósł

ją. Yanuk zbliżył się do błękitnego klejnotu. Uniósł go, ale mimo swej nadzwyczajnej siły czuł jego niezwykle ciężar.

– Pochowamy go w ogrodzie obok strumyka – powiedział, patrząc na ciało Kaspela.

Odwrócił się do Froara. Mężczyzna miał czujne oczy i sprawiał wrażenie, jakby coś z jego dawnej natury znów powróciło. Ale kiedy Yanuk polecił mu: „zanieś umarłego”, Froar mechanicznie podszedł do ciała i uniósł je.

Na czele, niosąc klejnot, szedł Yanuk, za nim kroczył Froar. Gene i Siwara podążali z tyłu; księżniczka trzymała się kurczowo Gene'a, przytulając zalaną łzami twarz do jego ramienia. Opuścili świątynię i przeszli korytarzami do skąpanego w złotych promieniach słońca ogrodu.

Froar złożył ciało na murawie obok strumienia. Podczas, gdy Gene i Yanuk zbierali mech i wyciągali ze strumyka perłowszare kamienie, aby obłożyć nimi ciało Kaspela, Siwara oddaliła się, znikając w spletanym gąszczu kwiatów. Gene i Yanuk okryli ciało, a Siwara powróciła z naręczem srebrzystego kwiecia. Milcząc położyła je na grobie, potem przykle-

knęła, opuszczając głowę na piersi.

Wstała.

– Wracamy na statek – powiedziała obojętnie.

Gene pochylił się, chcąc podnieść błękitny klejnot, ale ten ani drgnął. Yanuk uniósł kamień, ale po chwili odłożył.

– Skoro opuszczam to miejsce – powiedział – sądzę, że dobrze będzie, jak wezmę ze sobą trochę gliny. Prawdopodobnie nie macie czegoś takiego w Nanich, a mnie może przyjść ochota, aby się rozerwać. Poczekajcie więc chwilkę.

Poszedł wzdłuż omszałego brzegu w górę strumienia i zaczął wybierać pełne garście gliny, formując z niej kule. Pozostali obserwowali go. Kula robiła się coraz większa, a Yanuk ciągle dokładał gliny. Kiedy kula osiągnęła średnicę metra, wyprostował się.

– Tyle powinno wystarczyć.

Wymył ręce w strumieniu, podszedł do nich i wziął klejnot. Obejrzał się na glinianą kulę, skinął głową, niejako dając jej znak. Siwarze zapało dech w piersi. Kula poruszyła się, jakby ktoś ją popchnął, zakołysała się i ruszyła z miejsca. Chwiejnie przetoczyła się na brzeg strumyka i zatrzymała się koło Yanuka.

– Nie – powiedział. – Idź przed nami.

Kula przesunęła się ciężko obok niego i skierowała do ogrodowej furtki.

– Teraz ty – powiedział Yanuk do Froara.

Mężczyzna w purpurze podążył sztywnym krokiem za kulą. Za nim postępowali Gene i Siwara, a na końcu Yanuk z klejnotem.

Szli przez mroczne, zakurzone korytarze, a potem przez ulice martwego miasta. Tocząca się kula wskazywała im drogę. Minęli olbrzymią bramę i ruszyli kamienną aleją, prowadzącą ku morzu.

Ludzie czekający na brzegu pozdrowili ich, a potem umilkli. Ujrzeni glinianą kulę i błękitny klejnot, połyskujący tajemniczo w dłoniach Yanuka. Z daleka wzięli Yanuka za Kaspela. Czwórka wkroczyła do miasta i czwórka go opuszczała. Ale cóż to mogło być, ta krągła bryła, tocząca się w ich stronę?

Ujrzawszy Yanuka jeden z żeglarzy wydał okrzyk.

Człowiek-ryba wyszczerzył zęby w uspokajającym uśmiechu, ale to nie rozproszyło ich obaw.

Od momentu pojawienia się w świątyni Orchera Siwara rozumiała mowę Yanuka.

Powiedziała skulonym ze strachu żeglarzom:

– Nie robi wam krzywdy. To nasz przyjaciel. Uzyskał pomoc dla Nanich!

– Księżniczko! – z trudem wykrztusił jeden z nich, a pozostali stłoczyli się, patrząc szeroko otwartymi oczami. – Księżniczko, czy... to coś... popłynie razem z nami?

Uczył w powietrzu kabalistyczny gest, jakby odpędzając zły urok.

– Nie robi wam krzywdy – powtórzyła księżniczka, chociaż pomruki wydawane przez Yanuka bynajmniej nie pomagały w rozproszeniu obaw wioślarzy.

Wsiadła do łodzi, pociągając za sobą Gene'a. Ten spojrzał na glinianą kulę, która zatrzymała się, zatrzęsała i wskoczyła do łodzi z głuchym łoskotem, aż popękały deski szalupy.

Yanuk usiadł na dziobie, trzymając klejnot na kolanach, a Froar był na tyle przytomny, by bez rozkazu wsiąść do łódki. Zmuszony był zająć miejsce obok Yanuka, ale odsunął się od niego najdalej, jak tylko było można. Siedział z ponurą twarzą, patrząc pogardliwie wokół.

Łańcuchy, te same łańcuchy, którymi zabił Kaspela, ukrył w fałdach rękawów.

– Wsiadajcie do łodzi – powiedziała Siwara do swoich ludzi – i odepchnijcie szalupę. –

Musimy się spieszyć do Nanich.

Mężczyźni, zanim jej posłuchali, przeprowadzili szeptem cichą naradę. Łódź popłynęła w stronę zakotwiczonej galery.

Yanuk z zainteresowaniem obserwował statek Siwary. Kiedy się zbliżyli do galery, ludzie stojący na pokładzie powitali ich okrzykami, by po chwili zamilknąć. Wciągając łódź

przez burtę, patrzyli zafascynowani i przerażeni na Yanuka, który przybrał ponurą minę.

– Nie lubią mnie – zwierzył się Gene'owi. – Jestem dla nich potworem. Wiem teraz, że czyniłem mądrze, nie opuszczając mego ogrodu – popatrzył tęsknie na wyspę. – Gdyby Orcher nie rozkazał mi pójść z wami, wróciłbym tam. To prawda, że byłem, samotny, ale przynajmniej nikt się mnie nie bał.

Weszli na pokład. Froar stał, patrząc wyniośle. Księżniczka uniosła dłoń.

– Zawołajcie wszystkich na pokład! Chcę, żebyście poznali naszego nowego przyjaciela.

Yanuk podniósł wysoko błękitny kamień. Promienie słoneczne odbijały się od niego rzucając jasne refleksy na pokład i tłoczących się ludzi.

– W imieniu Orchera przejmuję ten okręt we władanie! – krzyknął. – W imię pokoju w Nanich poświęcam statek jemu i jego dziełu!

Tłum obserwował go w milczeniu, zaś księżniczka odwróciła się i zapytała:

– Czy żagle pozszywane, maszt naprawiony? Zatem ruszajmy do Nanich!

Froar zaśmiał się, wydając dźwięk podobny do odgłosu kamyków w potrząsanej metalowej puszcze.

– Ruszajmy do Nanich! – powtórzył chrapliwie.

Ludzie gapili się na niego, jak kiwał się radośnie, patrząc w twarz księżniczki z wyrazem nienawiści. Zamruczeli ponuro, zaciskając pięści, a ich pomruk przeszedł w pogróżki, skierowane przeciwko Froarowi. Ale księżniczka uciszyła ich jednym ruchem głowy.

Froar przestał się śmiać.

– Trochę się spóźniłaś, Siwaro. Ustalono, że flota wojenna Kof wypłynie do Nanich w tydzień po twoim wyjeździe! Moi ludzie w Nanich zajęli się już dowódcami twych wojsk. A twoi poddani są bez władcy, który by nimi pokierował, bo ty nie zdążysz na czas.

Znowu się roześmiał, jego łańcuchy dźwięczały, kiedy klepnął się po udzie.

– O, tak, wyruszajmy do Nanich, o ile Nanich w ogóle jeszcze istnieje!

Siwara dała znak dwóm mężczyznom.

– Zabierzcie więźnia do jego komnaty.

Kiedy go odprowadzali, Froar spojrzał przez ramię.

Cóż ci przyjdzie z czarnoksiężnika i jego czarów? – dodał. – Uważasz, że jest ci w stanie jeszcze pomóc?

# XI

Wielkie konstrukcje z obłoków unosiły się na tle zmierzchającego nieba. Łagodny wiatr lekko wydymał żagle okrętu, dziób statku rozcinał falującą wodę. Wyspa i jej iglice sięgające chmur zniknęły za zamglonym horyzontem, z początku stając się smugą szarości, a potem zbladły do małego punkciku za drżącą zasłoną atmosfery. Ciepłe światło zachodzącego słońca malowało sklepienie nieba.

Siwara i Gene jedli obiad na górnym pokładzie, obsługiwała im Marza. Z kilku starych tunik uszyła dla Gene'a komplet – koszulę i spodnie, który ten nosił z dumą. Siwara sączyła ze smukłego kieliszka białe wino. Po chwili odstawiła napój i dotknęła piersi Gene'a; oczy jej błyszczały.

– Wyglądasz... jakoś inaczej! Podobasz mi się w tym! Ale nie jestem pewna, czy to tylko kwestia ubioru. Myślę, że... – zadumała się – twoja twarz uległa zmianie, a także twój sposób bycia wydaje się teraz inny. Kiedy wzięliśmy cię na pokład, byłeś taki nieśmiały, taki... dziecinny. Kiedy to było? Tydzień temu? Trochę więcej? A spójrz tylko na siebie! Jak gdyby przybyło ci parę lat, jesteś teraz mężczyzną. I stałeś się taki pewny siebie. Tak – dodała cicho – lubię cię.

Gene ujął jej dłoń i uścisnął.

– Gdyby jeszcze niedawno ktoś powiedział mi, że znajdę się na tym statku, zakochany w kimś takim jak ty, Siwaro, roześmiałbym się w głos, gdyż wydałoby się to nieprawdopodobne. A oto jestem tu i zdaje mi się, że wszystko może się zdarzyć. I rzeczywiście się zdarza!

Wyrwała mu rękę, udając niezadowolenie.

– Nie chciałbyś zakochać się we mnie?

Nie musiał odpowiadać. Wystarczyło czytać w jego oczach.

– To nie kwestia tego, czy chcę, czy też nie. Po prostu nie mogę na to nic poradzić – wyznał.

Sprawiło jej to przyjemność. Uśmiechnęła się i podała mu dłoń.

– Gdyby ktoś powiedział mi, kiedy opuszczałam Nanich, że cię spotkam, że cię pokocham, byłabym wściekła. Bo kim ty właściwie jesteś? Nikim, w dodatku z innego świata. A ja jestem pierwsza wśród swoich. Jednak jesteś mężczyzną, prawdziwym mężczyzną. Czegóż więcej mogłaby sobie życzyć księżniczka?

Marza zaśmiała się niespodziewanie. Ustawiała akurat na tacy brudne nakrycia, sprzątając ze stołu po posiłku. Był to radosny śmiech; wpatrywała się w Gene'a z zachwytem. Siwara spojrzała na nią ze zrozumieniem.

– Marza cieszy się z mojego szczęścia, prawda? – zapytała, zaś tamta skinęła potakująco.

Yanuk wszedł po schodach na pokład, niosąc pod pachą kilka książek Siwary. Trzymał

w rękach małe, drewniane pudełko. Usiadł ciężko na poduszce i skrzyżował nogi po turecku.

Miał na sobie jeden ze szkarłatnych płaszczy Froara i widać było, że zrobił się próżny. Przesunął pokrytą łuską łapą po wyszywanym jedwabiu, wpatrując się wyłupiastymi oczami w księżniczkę.

– Podobam ci się?

– Wyglądasz wspaniale – mruknęła uspokajającym tonem Siwara.

Yanuk spojrział na Gene'a.

– Też tak uważam – przytaknęła Gene.

– Tak sobie właśnie myślałem – powiedział Yanuk. – Nigdy przedtem nie zwracałem specjalnej uwagi na swój ubiór. Tam, na tej bezludnej wyspie, nie było takiej potrzeby. Ale chcę, żeby ludzie mnie lubili, muszę wywrzeć na nich dobre wrażenie. Siwaro, jak się nazywają te ozdoby, które masz w uszach?

– Kolczyki – odparła.

– Czy nie sądzisz, że prezentowałbym się lepiej, gdybym zrobił sobie z tyłu dekolt, że-by widać było mój grzebień? Jest naprawdę bardzo ładny. Myślę, że to najładniejszy grzebień na świecie. Ma tak wyraźne kolce! Większość moich ludzi miała jedynie krótkie wypustki, a błona nie była tak delikatna. – Z lubością dotknął swej imponującej ozdoby. – A więc gdyby mój strój go odsłonił, to mógłbym pożyczyć od ciebie te... te kolczyki i powiesić po jednym na każdym kolcu. Nie uważasz, że to dopiero byłoby coś?

Uśmiechał się, nie wiedzieli: z próżności czy też żartując sobie. Otworzył drewniane pudełko i wyciągnął z niego igłę oraz kawałek nitki. Następnie zaczął wrywać kartki z książ-

zek Siwary.

– Chciałbym, księżniczko, żebyś przetłumaczyła to swojej służącej. Staralem się jej wyjaśnić, ale na próżno.

– Yanuk, co ty robisz z moimi książkami? – spytała Siwara z przerażeniem w głosie.

– Pomyślałem sobie, że zrobię ptaka – odparł, nie zważając na jej niezadowolenie. –

Potrzebny mi papier.

Wyciągnął zza pasa sztylet i położywszy kartkę na deskach, przejechał po niej nożem, wycinając kształt liścia.

– Ptaka? – zapytał Gene. – Czy możesz sprawić, by latał?



Stwór kiwnął głową, zajęty cięciem papieru. Potem nawlókł igłę, mrużąc w skupieniu jedno wyłupiaste oko i wysuwając koniec języka i triumfalnie przeciągnął nitkę przez uszko.

– Pięknie!

Zaczął zszywać razem papierowe liście, tworząc gmatwaninę luźno powiązanych nitką świstków.

Obserwowali go przez moment; Marza niechętnie odniosła tacę, oglądając się za siebie.

Nagle Siwara przyłożyła dłoń do czoła.

– Czuję się winna. Zabawiamy się tutaj, a do Nanich jest jeszcze tyle mil. Musimy tam dotrzeć jak najszybciej! Na pozór mogę sprawiać wrażenie szczęśliwej, ale w głębi serca, o tam – dotknęła piersi – nie jestem taka beztroska. Coś mi powtarza: „Musimy dotrzeć do Nanich! Musimy dotrzeć do Nanich!” I chciałabym móc pofrunąć tam jak twój ptak, Yanuku.

Gene'owi zaświtała jakaś myśl i spoważniał nagle.

– Yanuk, czy potrafiłbyś zrobić tak dużego ptaka, który mógłby zanieść nas do Nanich?

Yanuk uniósł głowę znad swojego szycia.

– Obawiam się, że nie. Nie jestem aż tak potężnym czarnoksiężnikiem. Już sprawienie, by ten mały ptak latał, pochłonie całą moją energię. Z lalkami jest łatwiej, ale z ptakami jeszcze nie próbowałem. Widzicie, razem z tym ptakiem wysyłam moją myśl. Jej moc sprawia, że skrzydła ptaka się poruszają. Kiedy już znajdzie się w powietrzu, muszę cały czas o nim myśleć, inaczej spadnie do morza. I nie pofrunie zbyt daleko – może lecieć najwyżej pół dnia.

Nie jestem w stanie utrzymać go dłużej w powietrzu. Ale za to porusza się szybko, szybciej niż większość ptaków. W jego głowie umieszczę dwa gliniane oczka. Dzięki nim będę mógł

widzieć na odległość. Jeżeli Nanich nie jest daleko, zobaczę, co się tam dzieje.

Przedmiot, który szył, przybrał w końcu kształt ptaka – wielkiego, białego ptaka. Zwisał

bezwładnie na jednym kolanie człowieka-ryby, a skrzydła rozciągały się szeroko, przypominając rozwinięte wachlarze. Yanuk nie zrobił mu dzioba.

– Nie będzie potrzebny – wyjaśnił i uniósł bezwładny kształt.

Był wielkości mewy; głowa zwisała na długiej szyi, jak gdyby ktoś postrzelił prawdziwego ptaka. Tkwił w nim jakiś pozór życia. Yanuk przeciągnął ostrzem sztyletu po papierowych piórach, skręcając je w lotki.

– No, już jest, gotów do drogi – powiedział.

Słońce stało bardzo nisko, czerwony blask padał mu prosto na twarz.

– Pójdę teraz do mojej kajuty i zostawię otwarte drzwi. Położę się na łóżku z ptakiem na piersi, aby natchnąć go życiem. Chcecie zobaczyć? To chodźcie ze mną.

Gene podniósł się, wyciągając rękę do Siwary; uchwyciła jego dłoń i wstała także. W

promieniach zachodzącego słońca wyglądała prześlicznie. Jej ogromne, ciemne oczy były szeroko otwarte ze zdumienia.

Yanuk mruczał coś zaaferowany. Kroczył wyprostowany, trzymając w jednej ręce ptaka, a porwane książki i drewniane pudełko w drugiej. Zeszli po wąskich schodach na główny pokład, a stamtąd do kajut. Yanuk zajmował pokój, który kiedyś przydzielono Gene'owi.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadały przez okna, oświetlając niskie łóżko z baldachimem. Yanuk umieścił książki Siwary i przybory do szycia na krześle w pobliżu drzwi, a sam położył się na łóżku, troskliwie układając fałdy swojej szaty. Ptaka ustawił sobie na piersi.

Uniósł głowę.

– Muszę was ostrzec: będę wyglądał, jakbym spał. Nie przeszkadzajcie mi, bo mogę stracić kontrolę nad ptakiem, a kiedy się zamoczy, nie będzie mógł latać. Stójcie obok i słu-chajcie: będę wam mówił, co widzę. Kiedy już nie będę mógł dłużej wytrzymać, zbudzę się sam. Wy tylko obserwujcie.

Głowa mu opadła na miękkie poduszki.

Gene przysunął krzesło księżniczce. Usiadła, całą uwagę skupiając na papierowym ptaku.

W miarę jak słońce zachodziło, jego promienie gasły. Ich blask słabł, stały się purpuro-woczerwone, by zginąć, gdy słońce zanurzyło się w morzu.

Do komnaty wkradł się purpurowy mrok, pokrywając ściany cieniem. Yanuk nie poruszał się; najwidoczniej spał. Oddychał miarowo, a ptak unosił się i opadał na jego piersi, stwarzając złudzenie, że sam też lekko oddycha.

W ciemnym pokoju ptak stanowił jedyną jasną plamę. Nagle poruszył się, uniósł głowę na długiej szyi, przez chwilę przypatrywał się uważnie Gene'owi i księżniczce, po czym odwrócił się, by spojrzeć w twarz Yanukowi. Pokiwał głową na boki, jakby aprobując to, co ujrzał, uniósł skrzydło i zagłębił w nim łeppek, przyglądając pióra i wywołując przy tym suchy szelest papieru. Złożył skrzydło i znowu rozpostarł, jakby je wypróbując. Potem rozwinął i uniósł drugie skrzydło, a następnie zamachał nim kilka razy w powietrzu. Papierowe pióra zaszeleściły, zaś biały ptak skinął zadowolony głową.

Zatrzepotał skrzydłami i sfrunął z piersi Yanuka, szybując nad głową księżniczki; Gene skulił się odruchowo. Ptakowi najwidoczniej to się spodobało, bo zakreślił koło po pokoju, lotem strzały zawrócił w stronę Gene'a i niemal by go uderzył, gdyby ten znów się nie skulił.

Potem biały kształt skierował się w stronę drzwi i odleciał.

Siwara podniosła się z krzesła. Razem z Gene'em pobiegli korytarzem w stronę pokładu w ślad za ptakiem. Przystanęli w drzwiach holu, rozglądając się na boki.

Ptak kołował nad statkiem. Nurkował, pikując między wydętymi żaglami, uniósł się i przefrunął nad głową marynarza przy rumplu, który skulił się i uniósł ręce, by go odpędzić.

Potem papierowe skrzydła zaszeleściły i ptak odfrunął w dal, szybując wprost na lunę, która pozostała po nieobecnym słońcu.

Gene i księżniczka pospieszyli do burty statku, przechylili się przez barierkę i obserwowali oddalający się biały kształt. Robił się coraz mniejszy, aż stał się tylko ruchomym punkciem, a w końcu zniknął.

Wrócili do Yanuka. Leżał bez ruchu w ciemnym pokoju. Nagle poruszył ustami i coś cicho zamruczał.

– Co on mówi? – zapytała Siwara.

Pochylił się nad nim.

– Jaki wspaniały lot – mamrotał Yanuk. – Szkoda, że nie mogę pokierować większym ptakiem, ale nie mam tyle sił. Wiatr jest porywisty, nie pomyślałem o tym. Powinienem być

bardziej obciążyć ptaka gliną. Jak szybko teraz lecę, żaden prawdziwy ptak tak nie potrafi!

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Ale daleko odfrunąłem! Wydaje mi się, że słońce wschodzi. Prześcignę je! To kolejny świt! Ale cudownie! Gdybym tylko miał dosyć sił, zawsze chciałbym swobodnie szybować w przestworzach, tak jak teraz, w ślad za słońcem, nie znając, co to mrok!

– Nic, tylko niebo i morze – odezwał się znowu Yanuk.

Gene przeniósł wzrok z łuskowatego stworzenia za okno. Na czarnym niebie błyszcząły gwiazdy.

– Kolejny świt – mruczał sennie Yanuk. – Wydaje mi się, że słońce jest coraz wyżej.

Muszę przyspieszyć lot! – zamilkł. Nagle krzyknął. – Cóż to takiego? Tam z boku? – Ton jego głosu był pełen niepokoju, ciało drżało, jakby się budził. – Statki!

Gene i Siwara popatrzyli na siebie. W pokoju zalegały całkowite ciemności, nie widzieli się, ale wyczuli wzajemnie swoje zdumienie. Gene niezdarnie podszedł do ściany, szukając lampy. Znalazłszy ją, wyciągnął z kieszeni szczypce i przytknął ich końce do knotu. Zabył-snął płomień, rzucając na łóżko bursztynowy blask i tworząc refleksy na włosach i sukni Siwary. Gene wrócił do księżniczki.

– Statki! – ostro powtórzył Yanuk. – Setki statków! Podfrunę teraz bliżej. Siwaro, Gene, czy mnie słyszycie? Jesteście tak daleko stąd. Tam, gdzie zostaliście, jest noc! Tutaj dopiero co wzeszło

słońce. Te statki wyglądają dziwnie. Są o wiele większe od twojego, Siwaro. Podniesiono żagle, po dwa na każdym maszcie, a do tego jeszcze marynarze wiosłują. Niektóre mają po dwa rzędy wiosła. Tracę siły, ale spróbuję podfrunąć bliżej. Jakież to osobliwe kształty! Oj, o mało co nie straciłem równowagi. Co się dzieje? – Yanuk poruszył się. – Nitka przedarła papier. Rozpadam się! – zachichotał krótko. – Tak, to niezwykle okręty, długie i smukłe. Dzioby mają wysoko zadarte. I migoczą w świetle! Ależ oczywiście, wygięte dzioby pokryte są błyszczącym metalem – głos Yanuka zadrżał. – Nie podobają mi się, mają tak zło-wieszczy wygląd. Gdyby taki dziób uderzył w inny statek, rozpruły go niczym nóż krojący owoc!

Zgubiłem jeszcze parę piór i nie mogę dłużej utrzymać się w górze. Gene i Siwara są tak daleko stąd. Mam nadzieję, że uda mi się dotrzeć do nich. Spadam! Nie podoba mi się to...

to wirowanie. Przyprawia mnie o zawroty głowy. Jak gdyby niebo i woda oszalały. O, jestem w wodzie. Zabawne, nic nie czuję! Unoszę się jak mewa. Te statki płyną w naszą stronę, Siwaro. Napotkacie je wkrótce.

Woda mnie wciąga, moje czary już nie działają. Nie powinienem był pozwolić się wcią-

gnąć. Muszę opuścić mego ptaka i wracać do Siwary. Och! – zakończył westchnieniem, które stawało się coraz cichsze, jakby głos jego odpływał w bezgraniczną dal.

Gene i Siwara pochylili się nad Yanukiem; Gene potrząsnął łuskowatym ciałem śpiącego-go. Nagle stwór odepchnął dłonie mężczyzny, podniósł się i usiadł na łóżku, patrząc na nich.

– Te statki! – powiedział Gene, spoglądając pytająco na Siwarę.

– Okręty Kof! – mruknęła. – Yanuk, ile ich było?

Wzruszył ramionami.

– Pięćdziesiąt? Sto? Raczej sto. – Patrzył to na Gene'a, to na Siwarę. – Jakie to dziwne, że jestem znowu z wami. Latałem, latałem... – Rozpostarł ręce. – To było cudowne! Siwaro, jesteś blada i przerażona. Czym tak się martwisz?

– Tymi statkami – powiedziała. – Flota wojenna Kof! To nie może być nic innego. I powiedziałaś, że płyną w naszą stronę!

– Tak, po przekątnej – odpowiedział jej Yanuk. – Są daleko z tyłu i trochę w bok, ale z pewnością zmierzają w naszą stronę – przycisnął nagle łokcie do ciała. – Wyobrażam sobie, co będzie, kiedy zderzą się z nami – wyznał poważnie.

– Wiatr jest dosyć silny – powiedział Gene. – Jeżeli nasi ludzie zaczną wiosłować, mo-

żemy tamtych znacznie wyprzedzić. Siwaro, czy mam wydać Miskalowi odpowiednie rozkazy?

– Tak, och, tak! – potwierdziła.

Wyszedł z kabiny. Yanuk zwlókł się z łóżka i stanął przeciągając się. Potem poszedł w kąt pokoju, gdzie leżała bryła gliny i odłupał kawałek.

– Co będziesz robił? – spytała Siwara.

– Zastanawiam się – powiedział wolno – co może się stać, kiedy te statki nas dogonią.

Zamierzam przygotować małą niespodziankę na wypadek, gdybyśmy musieli walczyć!

## XII

Niebo było czarne; płaszczyzny żagli majaczyły niewyraźnie w świetle gwiazd. Marynarze wiosłowali, statek pruł fale. Poprzez szum wiatru rozlegał się rytmiczny dźwięk gwizdka bosmana. Gene odwrócił się od balustrady i zaczął iść w kierunku kabiny Siwary...

Nagle usłyszał jakiś krzyk! Był to głos mężczyzny, ogarniętego przerażeniem. Drzwi od kajuty Froara otworzyły się z trzaskiem i uderzyły o ścianę. W korytarzu rozległ się odgłos szybkich kroków. Obydwaj strażnicy pilnujący Froara wybiegli, jakby goniło ich tysiąc diabłów. Jeden z uciekających wpadł na Gene'a, który stracił równowagę i obaj zwałili się na pokład. Drugi pognął na dziób, ścigany spojrzeniami wioślarzy. Gene gramolił się na nogi.

Pierwszy strażnik leżał na podłodze zwinięty w kłębek, sparaliżowany strachem. Gene pociągnął mężczyznę za ubranie, próbując go podnieść. Leżący był niemal zupełnie bezwładny. Postawiony na nogi, przywarł do Gene'a, wyciągając rękę w stronę kajut i mimo panujących ciemności widać było, że twarz ma trupiobiałą. Wskazywał na kabiny, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Otwierał i zamykał usta, z trudem łapiąc oddech.

Gene potrząsnął nim mocno, i odwrócił się, by odejść. Strażnik odzyskał w końcu mowę.

– Diabły! Tam są diabły! Twój czarownik rzuca czary!

Wyrwał się z uścisku Gene'a i pognął na dziób statku w ślad za pierwszym mężczyzną.

Gene pospieszył do przejścia. Drzwi do kajuty Froara były szeroko otwarte. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Zajrzał ostrożnie do pokoju. Trzy małe, gliniane laleczki wybiegły na korytarz i popędziły w stronę uchylonych drzwi, wiodących do kajuty Yanuka.

Na podłodze leżała jeszcze jedna figurka. Była zgnieciona, widocznie uciekający w po-płochu mężczyźni nadepnęli na nią. Trudno było określić jej kształt. W kawałku gliny można było rozpoznać rękę i wyciągniętą nogę. Ten kawałek gliny poruszał się i gramolił, zdeformowany, ale jeszcze żywy. Kuśtykał okropnie na jednej nodze, kołysząc zdruzgotanym korpu-sem jak drugą kończyną. Kukła utykając posuwała się w stronę drzwi Yanuka.

Gdzie był Froar? Gene wszedł do kajuty. W łagodnym świetle lampy pokój wydawał się pusty. Czy Froar skrył się pod łóżkiem, a może schował się za baldachimem? Czyżby wyskoczył oknem? Gene zrobił krok do przodu...

Coś uderzyło go w głowę, ogłuszając na moment, mimo że przedmiot ześlizgnął się w dół. Froar przywarł do ściany tuż za drzwiami, zamachnął się i uderzył Gene'a kajdanami –

podobnie, jak zrobił to, gdy zabił Kaspela. Kiedy oszołomiony Gene, chwiejąc się na nogach, uniósł rękę do skroni, Froar wymknął się do holu. Mimo że nogi miał spętane krótkim łańcu-chem, poruszał się szybko małymi, zwinnymi skokami. Gene podążał za nim niepewnym krokiem. Kiedy dotarł do końca korytarza, Froar był już przy burcie statku. Przechylił się przez nią, jakby chciał rzucić się do

morza, ale spostrzegli to dwaj marynarze, porzucili wiosła i pospieszyli za nim. Złapali wroga. Końce puszczonej gwałtownie wiosła uderzyły niczym maczugi w parę zajmującą następną ławkę. Marynarze ledwo zdołali uchylić się na czas, inaczej wiosła rozwaliby im czaszki. Ale Froar był uratowany!

Gene zawołał obu strażników, którzy opuścili swój posterunek.

– Tuir! Scaur! Wracajcie tu, wy tchórze! Nastąpiła cisza, a po chwili obaj mężczyźni z wolna podeszli. – Froar niemal uciekł. Te małe gliniane lalki nie zrobiły wam krzywdy.

– Te lalki są zaczarowane. Próbowaliśmy ukraść nam dusze – powiedział ponuro Tuir.

– Nonsens! – odparł zimno Gene. – Yanuk jest naszym przyjacielem. Niepotrzebne mu wasze dusze. Wracajcie pilnować Froara.

– Te małe potworki dostały się przez okna – tłumaczył się Scaur. – Drażniły się z Froarem. Próbowaliśmy temu przeszkodzić i wtedy zwróciły się przeciwko nam.

– Nie wrócą już – obiecał im Gene. – A teraz zaprowadźcie Froara do kabiny. I nie pozwólcie mu uciec po raz drugi. W Nanich może być jeszcze potrzebny Siwarze.

– Jeżeli tam w ogóle dotrzemy – odpowiedział wyzywającym tonem Scaur. – Miskał mówi, że będziemy walczyć z flotą wojenną Kof.

– Na pewno nie, jeżeli wszyscy będą tak się bać jak wy – wysapał Gene. – Zabierajcie Froara z powrotem.

Froar natomiast się zmienił. Nie był już taki pewny siebie. Stał z opuszczonymi ramionami, a jego zimną twarz pokryła gęsta sieć drobnych zmarszczek, tak że przypominał drewnianą rzeźbę wystawioną na działanie wiatru. Ale na wzmiankę o flocie Kof w oczach błysnęła mu iskierka nadziei. Wyprostował się nieznacznie i poszedł ze strażnikami nie stawiając oporu, prawie zadowolony, że wraca do swej kajuty.

Gene odwiedził Yanuka. Czarownik siedział na krześle obok łóżka, na którym leżały trzy gliniane laleczki. Czwartą, zgniecioną, trzymał w ręku, przywracając jej pierwotny kształt.

– Yanuk – powiedział Gene – podejrzewam, że zachciało ci się żartów. Te lalki są dla ciebie najprawdopodobniej czymś normalnym, ale wystraszyłeś naszych ludzi. Słyszałeś te wrzaski, prawda? Froarowi niemal udało się uciec. Chciał wyskoczyć przez burtę.

Yanuk odłożył lalkę.

– Słyszałem jakieś okrzyki, ale myślałem, że to wrzeszczy Froar. Chciałem się z nim trochę podrażnić. Wyśmiewał się ze mnie; powiedział, że nie zdołam pomóc księżniczce.

Postanowiłem, dać mu nauczkę!

Gene odwrócił się, by wyjść.

– Cóż, na przyszłość korzystaj ze swych magicznych umiejętności wyłącznie wtedy, gdy trzeba będzie pomóc księżniczce.

Oczy Yanuka posmutniały. Wstał z krzesła, podszedł do Gene'a i położył mu łapę na ramieniu.

– Gniewasz się na mnie? Myślałem, że sprawię ci przyjemność. Nie złość się, proszę.

Tęsknię za domem. Tylko ty jesteś moim przyjacielem.

Głos czarnoksiężnika był tak żaloszny, a jego dziwaczne oblicze tak zasmucone, że Gene musiał się uśmiechnąć. Poklepał Yanuka.

– Mówiąc szczerze, nie jestem na ciebie zły. Ale nie rób tego więcej.

Yanuk poważnie i uroczyście potrząsnął głową.

– W porządku, już nie będę.

Gene skinął mu przyjaźnie ręką i poszedł do kabiny Siwary. Księżniczka siedziała przy swoim niskim stoliku, wpatrując się zamyślonym wzrokiem w znaki, wyrysowane na skrawku papieru. Podniosła oczy na Gene'a i wyciągnęła do niego rękę.

– Co to takiego? – zapytał, patrząc na kartkę.

– Snuję różne przypuszczenia... i martwię się – powiedziała. – Na przykład, co zrobimy, gdy Orcher będzie zbyt pochłonięty swoimi sprawami i nie usłyszy naszego wezwania?

Wierzę, że kiedy obiecywał pomoc, mówił to szczerze, ale nie sądzę, byśmy mogli spocząć na laurach i nic nie robić, powierzwszy mu całkowicie nasz los. Spisałam więc to, co możemy przedsięwziąć, kiedy dotrzemy do Nanich, o ile zdołamy dopłynąć tam przed flotą Kof –

przebiegła wzrokiem zapisane kolumny.

– Gdzie jest klejnot? – zapytał Gene.

Pochyliła się, unosząc fałdy sukni. Okrągły kamień zabłyszczał w żółtym blasku lampy, wewnątrz niego jaśniały zimne, błękitne gwiazdy. Gene chwycił go i nieco przesunął. Pozornie kamień wyglądał jak zwykły klejnot. Jego zimne błyski w niczym nie przypominały żywych płomieni Orchera. A przecież Orcher powiedział, że kamień zawiera cząstkę jego mocy, która zostanie uwolniona, kiedy go się rozbije. Ta cząstka przywoła Orchera, który przybę-

dzie, by pomóc im w największej potrzebie.

A przecież w wyglądzie kamienia nie było nic niezwykłego.



Siwara traktowała talizman równie sceptycznie jak Gene.

– Oczywiście widzieliśmy, jak Orcher stworzył ten klejnot z pyłu na podłodze świątyni

– powiedziała. – To powinno nas przekonać. Nie wątpię, że gdy roztrzaskamy kamień, Orcher nadejdzie. Sądzę, że dając go nam, miał przynajmniej taki zamiar. Ale czy rzeczywiście to zrobi? – spojrzała na Gene'a. – Czy będzie... pamiętał? Cóż znaczy dla niego czas? Cóż zna-czymy dla niego? Nazwał nas słabymi stworzonkami, powiedział, że tak naprawdę to się nie liczymy. Jego decyzja o udzieleniu nam pomocy mogła być zwykłym kaprysem, o którym już dawno zapomniał. A więc planuję, co powinniśmy sami zrobić, by uratować się w razie niebezpieczeństwa.

– Słyszałaś te krzyki? Yanuk bawił się swoimi glinianymi figurkami. Wystraszył strażników Froara i ten wy dostał się na pokład. Próbował rzucić się do morza.

Przeniosła wzrok ze swojej listy na twarz ukochanego.

– Nie, nie słyszałam. Ale... ale to niedobrze. Nie chcemy, żeby Froar uciekł. – Jej spojrzenie zrobiło się twarde. – Nie po tym, co zrobił Kaspelowi! Śmierć w morzu to dla niego za mało! Chcę, żeby żył, i żałował swego czynu. – Odłożyła kartkę. – Pójdźmy lepiej do niego.

Gene uniósł się, pomagając jej wstać.

– Powiedz mi, Siwaro, czemu zawsze siadasz na poduszkach? Nie uważasz, że z krzesła byłoby trochę łatwiej wstawać?

– Masz zupełną rację – przytaknęła. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. W dawnych czasach, kiedy ludność Nanich nie była jeszcze wolna, jedynie mężczyźni mieli prawo siadać na krzesłach, bo to oni byli panami. Kobiety nie miały wtedy nawet poduszek. Ten zwyczaj jest wciąż żywy, tylko teraz zmieniła się jego wymowa. Kobiety spoczywają na miękkich poduszkach, a mężczyźni siedzą na twardych krzesłach.

Opuścili wolnym krokiem jej apartament i ruszyli korytarzem ku drzwiom do kajuty Froara. Kiedy je otworzyli, jeden ze strażników spojrzał pytająco, ale rozpoznawszy ich, cofnął się i pozwolił przejść. Froar leżał na łóżku z rękami pod głową, gapiąc się na fałdy baldachimu. Kiedy weszli goście, szybko zsunął nogi na podłogę i stanął sztywno, wykrzywiając usta w niemiłym grymasie. Skłonił się Siwarze.

– Miło mi ciebie widzieć, księżniczko.

Dziewczyna popatrzyła na niego z pogardą.

– A więc chciałeś popełnić samobójstwo?

Opuścił głowę.

– Przyznaję, że była to głupota z mojej strony. Nie będę już nigdy próbował tego zrobić, szczególnie

w sytuacji, kiedy flota wojenna Kof jest tak blisko. Mogą mnie uratować, a ty znowu zostaniesz uwięziona, księżniczko. Nie, nie chcę umierać.

– Cieszę się, że to słyszę, Froarze – powiedziała słodko Siwara. – Bo ja również chcę, żebyś żył. Mogłam kazać cię zabić. Ale chcę, żebyś widział, jak pokonamy Kof, chcę, byś żałował swego szalonego czynu. Nie jesteśmy tacy bezsilni, jak sądzisz – zaczęła się przechwalać. – Prawdopodobnie nie wiesz tego, bo akurat wtedy Yanuk cię zahipnotyzował, ale wielki Orcher dał nam coś, dzięki czemu będziemy go mogli wezwać. Obiecał nam pomoc w wojnie z Kof. Myślę, że to dobry temat do rozważań, zajmij sobie umysł na jakiś czas. A wy

– zwróciła się do strażników – pilnujcie go dobrze!

Nie odpowiedzieli, tylko gapili się na nią bezczelnie. Czy sobie z niej pokpiwali? Wyglądało na to, że arogancja Froara jest zaraźliwa i również ich opanowała. Siwara popatrzyła ostro na strażników. Zawahali się i niepewnie pokłonili się jej.

Opuszczając pokój, dotknęła ramienia Gene'a. Wyszli razem, a drzwi zamknęły się za nimi.

– Teraz wstąpimy do Yanuka – powiedziała. – Jeżeli zapoznamy go z fortyfikacjami Nanich, może będzie nam mógł jakoś pomóc. Nie powinnam była tak się przechwalać, ale pokusa okazała się zbyt wielka. Froar wydaje się taki zadowolony z siebie! I pomyśleć, że kiedyś mu ufałam! – potrząsnęła głową w zadumie.

Zastukali do drzwi Yanuka; nie odpowiedział, więc je otworzyli. Yanuk leżał na łóżku, jęcząc i skrzęcając się z bólu. Koce były porzucane w nieładzie. Wijąc się z bólu, zrzucił je na podłogę.

– Yanuk! Co się stało? – Gene podbiegł do łóżka.

Yanuk nie odpowiedział, tylko znowu jęknął i przewrócił się na bok. Złapał pazurami za szaty na piersiach, szarpiąc je i rozrywając. Gene wciągnął powietrze. Poczul niewyraźny zapach rozkładających się kwiatów.

– To Vyras!

Siwara podniosła dłoń do twarzy.

– Przecież zabraliśmy Froarowi fiolkę z trucizną. Gdzie mógł ją znaleźć?

Gene pochylił się nad łóżkiem, przysunął do siebie Yanuka i uniósł mu głowę.

– Yanuk! Co się stało? Kto ci dał truciznę?

Yanuk odprężył się w jego ramionach i nawet próbował się uśmiechnąć.

– Jeden z marynarzy – powiedział płaczliwie. – Byłem taki szczęśliwy! Myślałem, że w końcu zaczęli mnie lubić! Przyszedł i powiedział, że ma coś dla mnie, prawdziwy przysmak, i dał mi małe ciastko. Było nasączone zielonym syropem, który trochę szczypał w usta. Zasma-kowało mi, więc

zjadłem całe. A potem dostałem boleści. Coś we mnie chce spać, ale boję się usnąć. Muszę się poruszać! Ruszać cały czas! Boję się, że jeśli usnę, to już nigdy się nie obudzę.

Oczy przesłoniła mu mgiełka i ledwo mógł utrzymać je otwarte. Głowa kiwała mu się na boki, powieki opadły; usnął.

Gene wyprostował się.

– To szczęście, że jest nieśmiertelny i...

– Tak, ale do jakiego stopnia nieśmiertelny? – zapytała Siwara. – Z pewnością nie jest odporny na wszystko. Chyba może go zabić miecz, prawda? A Vyras? Mała jej ilość wystarczy, by zabić człowieka. Jeżeli zjadł ciastko nasączone trucizną, dawka może okazać się śmiertelna.

Cała drżąca skrzyżowała ręce na piersi.

– Teraz możemy już liczyć tylko na klejnot Orchera! Gene, boję się, okropnie się boję.

Mój biedny naród!

Przytulił ją w milczeniu. Siwara uniosła twarz.

– Któż chciałby otruć Yanuka? Czy wszyscy nasi ludzie są tak słabi, by przy najmniejszym podszepcie zmieniać poglądy? Powinniśmy kazać Yanukowi znowu zhipnotyzować Froara. To położyłoby kres temu wszystkiemu! Może postąpiłam nierozsądnie, pozwalając Froarowi żyć. Jako zakładnik nie ma żadnej wartości. Chyba lepiej będzie go zgładzić. Zrobię to z prawdziwą przyjemnością. Biedny Kaspel...

Dziewczyna przypominała teraz gibkiego kota o morderczym, budzącym grozę spojrzeniu i Gene odruchowo odsunął się od niej.

Spojrzała na niego.

– Nie podoba ci się to! Boisz się! Nie martw się, nie będziesz musiał go zabijać. Ja to zrobię, i to z największą rozkoszą!

Położył jej dłonie na ramionach.

– Nie boję się, Siwaro, ale nie potrafię zabić człowieka. Przynajmniej nie w ten sposób.

Co innego, gdyby to było w walce...

– A co z Kaspelem? I z Yanukiem? Czy nie jesteś im czegoś winien? To Kaspel rozkazał, by wyciągnąć cię z morza! – Gwałtownie odsunęła się od ukochanego, ogarnięta gniewem.

Yanuk otworzył oczy i przewrócił się na plecy, chwytając pazurami powietrze.

– Skąd miałem wiedzieć, że nie mogę mu ufać? – szepnął. – Żyjąc samotnie na wyspie, zapomniałem o takich rzeczach...

Opuścił ręce i znowu usnął.

Siwara nadal miała groźną minę. Przeniosła wzrok z Yanuka na Gene'a.

– Froar próbował zabić też ciebie – przypomniała mu.

Gene ze zniecierpliwieniem potrząsnął głową.

– Wiem, Siwaro, ale... nie potrafię iść do Froara i z zimną krwią go zabić! I ty również tego nie zrobisz. Niech stanie przed sądem, wszystko należy przeprowadzić jak należy...

– Zastanawiam się, czy cię kocham – powiedziała tępo. – Jeśli tak, to nie powinnam się przejmować tym, co teraz mówisz. A tak nie jest! Proces! Jak sądzisz, w jaki sposób odbywają się w Nanich sądy? Czy nie mam prawa teraz sądzić Froara? Czy nie mam dowodów jego zbrodni? A mimo to domagasz się procesu – przypominała żądne krwi zwierzę.

– Ja też zastanawiam się, czy kocham ciebie! – powiedział szorstko Gene. – Myślę, że chyba byłem głupi, odrzucając ofertę Orchera na przeniesienie mnie z powrotem tam, skąd przybyłem!

Była nieustępliwa jak posąg, od którego słowa odbijają się jak groch od ściany. Ale po chwili w oczach dziewczyny błysnęły łzy, a twarz jej znowu stała się miła i łagodna. Siwara podeszła do Gene'a i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przebacz mi – powiedziała. – Zapomniałam, że jesteś z innego świata i kierujesz się odmiennymi zasadami. Pozornie mogłeś się zmienić, ale w głębi serca pozostałeś taki sam. I chcę, żebyś był taki, jaki jesteś, byś nie ulegał kobiecym słowom. – Spojrzała na Yanuka. –

Znowu się poruszył. To dobry znak. Vyras paraliżuje wolę, a potem mięśnie niezależne od naszej woli; płuca, serce.

Dotarł do nich słaby głos Yanuka.

– Dajcie mi jakieś naczynie, mam straszne mdłości.

Gene odprowadził księżniczkę do drzwi.

– Idź lepiej do swojego pokoju, Siwaro.

Posłusznie skinęła głową i wyszła.

Yanuk dostał torsji. Gene'a ogarnęły nudności, gdy patrzył na niego. Yanuk wymiotował zielonym płynem, a w końcu opadł na poduszki.

– Czuję się trochę lepiej – westchnął. – Tylko to mrowienie, czuję je w całym ciele...

Gene poklepał go pocieszająco.

– Na Vyras nie ma antidotum, w przeciwnym razie już byśmy ci je dali. Wiem, jak się czujesz. Też to przeżyłem – zwilżył usta.. – Yanuk, czy jesteś w stanie... czy jesteś jeszcze na tyle mocny, aby dokonywać swoich czarodziejskich sztuczek? Czy możesz rzucić urok na Froara, aby go uspokoić?

Oczy Yanuka błędziły nieprzytomnie. Po chwili mocno chwycił Gene'a za rękę.

– Kiedy jestem w takim stanie, nic nie mogę zrobić – wyjęczał. – Nie mogę na niczym się skupić. Myślę tylko o bólu, tylko o bólu – podkulił nogi, zwijając się jak kot i rękami obejmując swój gruby brzuch.

– Czy mógłbyś chociaż spróbować? – zapytał Gene.

– Nie, nie mogę! – wybuchnął rozdrażniony Yanuk. – Odejdź! Zostaw mnie! Daj mi umrzeć w spokoju! Och! Och! Och! – zajęczał, ale zabrzmiało to nieco teatralnie.

Gene odszedł od łóżka i kierował się w stronę drzwi, kiedy wszedł Miskal.

– Światła – powiedział. – Za nami długi rząd świateł. Dopadła nas flota! – Chwycił

Gene'a za ramię i pociągnął go wzdłuż korytarza na pokład. Wskazał palcem – na horyzoncie migotał szereg światełek.

– Pogonić wiosłarzy – wykrzyknął Gene.

– Już to zrobiliśmy! Dopiero co zmieniliśmy obsadę, ale ludzie są wyczerpani, niektó-

rzy zbyt zmęczeni, by wiosłować – odrzekł Miskal szorstko. – Ja też odbyłem swoją kolejkę.

Nie możemy bardziej przyspieszyć. A wiatr cichnie.

Wskazał ręką zwisające żagle.

Gene nic nie odpowiedział. Pospieszył na wolne miejsce na ławce, uniósł długie wiosło, wsadził je w dulkę. Rozpiął koszulę, obnażając tors, i zaczął poruszać się w jednym rytmie z pozostałymi wiosłarzami, zgodnie z szybkimi odgłosami gwizdka bosmana. Miskal zajął wolne miejsce po drugiej stronie statku. Desperacko napierali na wiosła.

Jeden z mężczyzn siedzący z przodu upadł i leżał bez ruchu. Uchwyt jego wiosła przesunął się, uderzając kolejnego wioslarza i zwalając go z ławki. Siedzący obok marynarz szybko puścił swoje wiosło, odciągnął obu nieprzytomnych towarzyszy, położył ich na deskach i powrócił na miejsce.

Koszula Gene'a, mokra od potu, przywarła mu do ramion i pleców. Trzaskała w szwach od napiętych mięśni. Statek płynął naprzód. Zielonkawy brzask świtu zabarwił niebo na wschodzie, przechodząc następnie w szarość.

Gene, z trudem chwytając oddech, wstał, ciągnąc za sobą wiosło i spojrział przez barierkę, opierając się o nią ciężko. Statki z Kof były już teraz blisko. Tworzyły na morzu wyraźną linię ciemnych kadłubów i równoległą do nich wstęgę obwisłych żagli. A na horyzoncie nie było widać ani śladu lądu.

Miskal odłożył swoje wiosło. Pozostali też je puścili, zbyt zmęczeni, by się poruszyć, i kompletnie wyczerpani.

– To na nic – powiedział załamany Miskal. – Będziemy musieli walczyć, a jakie mamy szanse? Będzie to zbędne przelewanie krwi. Równie dobrze możemy podpalić statek i rzucić się do morza. To o wiele lepsze wyjście, niż dostać się w ręce Kof.

Strasliwy obraz stanął Gene'owi przed oczami: płonący statek, unoszący się na wodzie ludzie, Siwara w zimnej, zielonej otchłani, z twarzą wykrzywioną strachem i bólem. Wyciąga dłonie w stronę migoczącego na powierzchni światła i powoli zanurza się w bezlitosnej ciemności i ciszy. Potrząsnął głową, odpędzając okrutną wizję.

– Będziemy walczyli – powiedział.

Miskal wydał polecenia załodze;

– Odłożyć wiosła! Uzbroić się, wyciągnąć tarcze i łuki! Wezwać na pokład pozostałych! Szybko!

Kiedy ludzie powstali i potykając się szli wykonać jego rozkazy, odwrócił się do Gene'a.

– Będziemy walczyli – powiedział, chwiejąc się ze zmęczenia i chwytając się barierki. –

Będziemy walczyli, jeżeli tego chcesz – wziął głęboki oddech i popatrzył na zbliżające się statki.

Gene położył mu rękę na ramieniu, nie będąc w stanie nic powiedzieć, a potem powlókł

się przez pokład do kajuty. Po drodze wstąpił do Yanuka. Sługa Orchera leżał spokojnie, patrząc przytomnym wzrokiem.

– Lepiej się czujesz? – zapytał go Gene. – Wystarczająco dobrze, by swymi czarami trochę nam pomóc? Flota jest już blisko, za parę minut będziemy musieli podjąć walkę.

– Czuję się lepiej – powiedział Yanuk – ale nie na tyle dobrze, aby czynić cuda. Próbo-wałem – uniósł trzęsącą się dłoń. – Nie odzyskałem mojego błękitnego ognia. Mam nadzieję, że trucizna nie zniszczyła moich umiejętności. Może trochę później...

Ciągle cierpiał, ale starał się tego nie okazywać. Wstydził się chyba swojego niedawno wybuchu.

– Cóż, przyłącz się do nas, kiedy już będziesz mógł – powiedział Gene i pospieszył do apartamentów Siwary.

Księżniczka leżała na łóżku kompletnie ubrana, Marza kiwając się siedziała na podłodze, oparta o łóżko. Siwara podniosła się i zapytała:

– Są blisko?

– Musimy walczyć – powiedział Gene. – Nie władam jeszcze sprawnie mieczem, ale najprawdopodobniej dziś rano dużo się nauczę. Nie pozwól, by cię schwytali...

Zamiast odpowiedzi dotknęła sztyletu, wiszącego u jej boku.

– Nie dam się – powiedziała i pocałowała Gene'a. – Mój kochany! Wybacz mi moje zachowanie tej nocy! Gdybym tylko mogła cofnąć te słowa... Kocham cię! Kocham cię...

Przytulił ją mocno. Znowu się pocałowali, długo i żarliwie. Potem puścił dziewczynę, wskazując głową w stronę pokładu.

– Muszę tam iść razem z innymi. Zostań tu z Marzą – dostrzegł klejnot. – Zabiorę go do Yanuka.

Jednak nie był w stanie unieść kamienia. W końcu chwycił go i pociągnął po podłodze w stronę drzwi. Siwara wstała, trzymając w ręku nóż.

– Czy nie powinniśmy już teraz go rozbić? – zapytała.

Gene zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Jeszcze nie. Pamiętaj, że Orcher przyjdzie tylko raz. Yanuk czuje się nieco lepiej i jak tylko będzie w stanie, spróbuje swoich czarów. Jeżeli okaże się, że nie może nic zdziałać, wtedy rozbijemy klejnot.

Westchnęła.

– Sam wiesz najlepiej, co robić.

Dyszac ciężko i przeklinając, Gene dociągnął klejnot do drzwi chorego i wtoczył kamień do środka. Yanuk siedział na łóżku.

– Spójrz! – wykrzyknął. – Błękitny ogień! – Na jego drżących palcach zbierał się niebieskawy płomień. Był jednak słaby, bardzo słaby, jedynie cień tego, co spływało z dłoni czarownika w świątyni.

– To dobrze.

Twarz Gene'a rozjaśniła się. Klepnął Yanuka tak mocno w plecy, że czarownik aż skrzywił się i opuścił na brzuch swoją otoczoną niebieskawą mgłą dłoń.

– Och! – krzyknął mimo woli. – Proszę! Nie czuję się jeszcze aż tak dobrze!

– Przyniosłem klejnot. Twoim obowiązkiem będzie go strzec. Przepraszam, Yanuk, że obarczam cię taką odpowiedzialnością, ale nie mam innego wyjścia. Mam nadzieję, że będziemy w stanie jakoś ci się odwdziżyć... – Jego głos załamał się, a oczy przepełnił ból.

Yanuk lekceważąco kiwnął łapą.

– Cieszę się, że mogę wam pomóc. O ile będę w stanie – dodał niepewnie. – Lepiej przyślij Siwarę do mnie. Jeżeli nie będę mógł zrobić nic innego, to przynajmniej spróbuję ją ochronić.

Gene skierował się w stronę drzwi, położył rękę na framudze i wysunął głowę na korytarz.

– Siwaro! Chodź do Yanuka! Weź ze sobą Marzę!

Kiedy Siwara weszła ze swą służącą, właśnie ściągał włócznie z uchwytych na ścianach.

Spojrzała na niego, tknięta złym przeczuciem.

– Gene, nie możesz walczyć w tym stroju! Idź do pokoju Froara. Tam w jednej ze skrzyń znajdziesz kolczugę.

Poszedł do kwatery Froara. Strażnicy wyprężyli się na baczność. Gene wskazał palcem na drzwi.

– Idźcie na pokład. Będziecie potrzebni w czasie bitwy. Froarem ja się zajmę.

Mężczyźni dosyć szybko opuścili pokój, ale Gene'owi nie spodobało się spojrzenie, które na odchodnym rzucili człowiekowi w purpurze. Czy Froar rozmawiał z nimi i próbował

przeciągnąć ich na swoją stronę? Cóż, nie było teraz czasu na sprawdzanie tego. Podeszedł do krzesła, na którym siedział więzień. Kiedy się zbliżył, człowiek w purpurze uniósł krzaczaste brwi w ironicznym pytaniu. Gene schwycił Froara za szaty na wysokości piersi i uniósł z krzesła.

– Nie lubię atakować bezbronnych ludzi, ale nie mam innego wyjścia – zauważył drwinę w oczach mężczyzny. – I nie zawaham się uderzyć cię, o, tak!

Pięścią rąbnął Froara w podbródek. Mężczyzna zachwiał się; cios był silny, ale nie ogłuszył go. Gene uderzył jeszcze raz – Froar upadł ciężko i leżał zwinięty w kłębek.

Gene zajrzał do skrzyni, wyrzucił z niej jakąś odzież, zakneblował Froarowi usta i wzmocnił kajdany pokrytym supłami powrośłem. Następnie zaczął grzebać w kufrze, pospiesznie wyrzucając z niego ubrania, którymi wkrótce zasłał całą podłogę. W tej skrzyni nie było kolczugi. Podeszedł do drugiej. Na samym wierzchu schludnie poukładanych ubrań leżał

ochronny kubrak i hełm oraz miecz. Porwał wszystko i wśliznął się w kolczugę. Hełm był za mały. Gene zważył w rękach miecz. Dobrze było trzymać w dłoni wygięte ostrze, nawet jeżeli nie za bardzo wiedział, jak się nim posługiwać.

Wychodząc spojrzał na Froara – mężczyzna leżał nieprzytomny. Gene wrócił do kabiny Yanuka.



Czarnoksiężnik znowu chorował, Siwara z Marzą próbowały mu pomóc. Księżniczka w milczeniu odeszła od łóżka, aby wręczyć Gene'owi łuk i pomóc mu wsunąć na ramię kołczan. Młodzieniec obrzucił ją długim spojrzeniem, po czym wybiegł z pokoju.

Nie był przyzwyczajony do ciężkiej kolczugi. Już wcześniej czuł się dosyć zmęczony, więc teraz ciężar niemal go przygniatał. Ale kiedy wynurzył się z korytarza, wyprostował

plecy i wyciągnął ramiona. Ludzie tłoczyli się na pokładzie. Wzdłuż barierek umocnili tarcze, aby osłonić nimi kolejną zmianę wioślarzy. Obecnie ustawiali płaskie, drewniane płyty z otworami do wypuszczania strzał.

Statki Kof jeszcze bardziej się zbliżyły. Słysząc było piskliwy dźwięk gwizdka bosmana.

Gene zajął miejsce za jedną z drewnianych tarcz. Ludzie odwrócili się w jego stronę –

najwidoczniej spodziewali się, że będzie nimi dowodził. Za tarczami stały naczynia z oliwą i stopy bawełnianych ścinków. Na pokładzie zatknięto spiczaste pochodnie, a ich tłusty, czarny dym snuł się w spokojnym powietrzu. Żołnierze owijali ostrza strzał w bawełniane szmatki, maczali je w oliwie i odkładali na bok, by przygotować następne. Gene również przygotował

sobie kilka strzał, spoglądając często w stronę podpływających statków.

Nad horyzontem wstawało złote słońce. Pierwsze płynęły dwa okręty Kof, trzy rzędy ich wiosł połykiwały w świetle poranka. Zbliżały się do statku Siwary tak szybko, jakby ten stał w miejscu.

Nie było sensu dalej wiosłować. Wrogie statki zamierzały podpłynąć do galery Siwary z obu stron, aby połamać wiosła i przy okazji zabić wielu wioślarzy. Lepiej będzie, jeśli ci ludzie również staną do walki. Ale jeżeli statek się obróci, to zostanie staranowany i zatopiony.

Mieli jeszcze cudowny klejnot. Jeżeli go teraz rozbiją i Orcher nadejdzie, z pewnością zniszczy flotę Kof. Ale to nie położy kresu niebezpieczeństwu, bo Kof może wysłać kolejną armadę. Nie, kamienia nie można jeszcze użyć, jeszcze nie teraz.

– Przestać wiosłować! – krzyknął głośno Gene. – Weźcie broń i przygotujcie się do walki!

Marynarze puścili wiosła, a gwizdek bosmana zamilkł. Pospieszyli do swych kajut.

U boku Gene'a pojawiła się drobna, filigranowa postać. Był jeszcze chłopak, ruchy miał

niezręczne, kiedy mocował na strzałach bawełnę i moczył je w oliwie. Wpadł na Gene'a, który zwrócił się do niego z gniewem.

– Uważaj, co robisz, dobrze? Czemu... Siwara?

Księżniczka wyprostowała się. Wyglądała niezwykle delikatnie w za dużej kolczudze.

Na głowie miała hełm Kaspela, a jego miecz przypięła do boku.

– Siwaro, wracaj do Yanuka! Szybko, zanim będzie za późno!

Statki Kof niemal nacierały na galerę, ich ostre jak noże dzioby połyskiwały w blasku słońca. Na pokładach tłoczyli się ludzie, których zbroje również rzucały świetlne refleksy.

Coś krzyczeli, ktoś wydawał rozkazy.

Siwara dumnie uniosła czoło.

– Za kogo mnie uważasz? Kobiety Nanich walczą u boku swych mężczyzn! A ja też jestem mieszkanką Nanich!

Nieprzyjacielskie okręty płynęły już wzdłuż burt galery. Popatrzyli na nie i na uwijających się wokół ludzi.

– Wiem, co nastąpi, jeśli zawiodą nas Yanuk i Orcher; nie wyjdziemy z tego żywi. A jeśli mam umierać, to chcę umrzeć u twego boku, Gene – spojrzała mu prosto w twarz.

Nie było czasu, by protestować. Nad wodą przemknęła pierwsza strzała, trafiając w drewnianą osłonę.

# XIII

Strzały sypały się teraz z obu stron. Wrogie statki podniosły wiosła i ze zgrzytem tarły burtami o galerę Siwary. Gene włożył ociekającą oliwą strzałę w płomieniach pochodni i wystrzelił przez szczelinę w desce. Obce pociski leciały w ich kierunku. Ostre drzazgi odłupywa-

ły się po drugiej stronie osłon i przelatywały nad głowami, trafiając w ludzi broniących przeciwniej burty statku. Padło już kilku marynarzy, przeszytych płonącymi strzałami.

Mimo, że był zajęty, Gene zauważył, że na barierki ze szczękiem zarzucono łańcuchy, a żołnierze na niższym pokładzie, próbujący je odczepić, padali pod gradem oszczepów i strzał.

U podnóża masztów ustawiono katapulty, pociski o metalowych zakończeniach wbijały się w burty statków Kof. Z kuszy obok rumpla wyleciał pocisk, ale jej obsługa padła od świszczą-

cych strzał. Inni natychmiast zajęli miejsca rannych.

Obie strony wydawały bojowe okrzyki i przekleństwa głosami pełnymi złości, bólu, a czasami strachu.

– Za Kof! Za Kof! Za Erlicha i Danna!

– Za Siwarę! Za Nanich!

Gene, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, wysyłając strzały ryczał: „Niech was diabli! Niech was wszyscy diabli!”

Pękła mu cięciwa w łuku. Odrzucił go, chwycił za włócznię. Ludzie z nieprzyjacielskiego statku zaczęli wspinać się po burtach, lecz przeszyci strzałami wpadali do wody pomiędzy szcepionymi statkami.

Niemal na oczach Gene'a zapłonął żagiel – wielkie języki ognia huczały żarłocznie, liżąc wyższy płat płótna, wyrzucając fale żaru i mdlący, żółtawy dym. Żołnierzom Kof udało się wylądować na galerze i rozległ się teraz szcęk broni. Gene jedną ręką odepchnął Siwarę za drewnianą osłonę, a drugą wywijał mieczem. Ciął przez szyję pierwszego napastnika i patrzył zdumiony, kiedy ten rąbnął jak długi. Po chwili pojawił się następny, skrzyżowali broń.

Paralizujące uderzenie wstrząsnęło ramieniem Gene'a, gdy pchnął przeciwnika. Czubek miecza napotkał na kolczugę, ale siła uderzenia spowodowała, że wróg zgiął się wpół. Gene zaatakował ponownie, zanim tamten się wyprostował. Mężczyzna zwałił się na pokład, jakby spadł z dużej wysokości.

Nie wiedział – on, który nigdy dotąd nie walczył – że usta miał zaciśnięte z furii i wysiłku. Ludzie Siwary ulegali przeważającym siłom przeciwnika. Przed Gene'em stało teraz trzech wojowników Kof. Za sobą słyszał odgłos bułatu Siwary. Nie myśląc długo, wyciągnął

swój sztylet, uderzając jednocześnie mieczem, aż ostrze złamało się na stali przeciwnika.

Zwarli się w walce i Gene posłużył się przeciwnikiem jak tarczą, aby uniknąć kolejnego ciosu, który dosięgnął zamiast niego wroga, przesywając kolczugę i niemal przecinając męż-

czynę na pół. Odparł atak trzeciego, unosząc miecz i zadając napastnikowi ranę w szyję.

Pośliznął się na krwi i całe szczęście, bo miecz wroga przeleciał nad jego głową. Gene zerwał się i runąwszy na przeciwnika, wyrwał mu szablę z ręki. Nawet nie poczuł, że przeciął

sobie przy tym dłoń.

Powietrze wypełniała bitewna wrzawa, szcęk metalu o metal, głuche odgłosy ostrzy, trafiających w ciała i okrzyki wojenne. Siwara powaliła jednego wroga, a teraz walczyła z następnym. Gene smagnął go swoim mieczem po nogach i powalił. Siwara obróciła się, by pomóc kolejnemu żołnierzowi. Wtedy właśnie Gene'a dosięgnął silny cios, pod którym zwałił

się z jękiem. Obcy wojownik stanął nad nim w rozkroku unosząc broń. W dłoni Gene'a błysnął nóż. Mężczyzna uniósł miecz nad głowę, lecz krzyknąwszy chwycił się za krwawiące ramię. Gene odsunął bezwładne ciało na bok, gramoląc się na nogi. Odparł szablą następne uderzenie, wytrącając broń z ręki atakującego. Uniósł miecz, by kolejny cios zadać z góry.

Ostrze osunęło się po kolczudze i przecięło twarz wroga.

Włosy Gene'a musnęła włócznia, rozłupując drewnianą tarczę, stojącą z tyłu. Skoczył

na niego kolejny napastnik, wywrócili się i przeokożkowali kilka razy. Gdzie podział się miecz? Widocznie zagubił się podczas upadku. Przy szyi Gene'a błysnął sztylet przeciwnika.

Gene złapał wroga za rękę, wykręcając ją. Jakieś zabłąkane pchnięcie zgrabnie ucięło mu ko-smyk włosów.

Śliskimi palcami Gene chwycił przeciwnika za ramię, a drugą ręką złapał go za twarz.

Zakrwawiona dłoń ześlizgnęła się, ściągając żołnierzowi hełm. Gene wczepił się palcami we włosy napastnika, drugą ręką uchwycił uzbrojoną w nóż dłoń i walnął kilka razy głową wroga o pokład, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Ręka z nożem upadła ciężko. Gene schwycił

sztylet, przykucnął, wokół niego tłoczyli się inni walczący. Uniósł nóż i...

Znowu był obok Siwary, odpierając ataki wroga, z rany na policzku spływała mu pod kolczugę ciepła krew. Siwara nie miała miecza. Wyrwał broń jednemu z poległych i wręczył

jej, jednocześnie wymachując własnym bułatem.

Co robił Yanuk? Cała ta bitwa wydawała się Gene'owi nierealna. Walczył jak automat, myślami błędząc gdzieś daleko. Widział Yanuka w kabinie na dole, chorego, ciskającego kulki błękitnego

światła w twarze wrogom, którzy pojawiali się w drzwiach. W progu leżał już spory stos ciał, ale w ten sposób na pewno nie wygrają bitwy z Kof! Żołnierze ponowią atak, wyzwoliwszy się spod wpływu czarów Yanuka, tak jak wyzwolił się Froar. Człowiek-ryba powinien zabijać, zabijać, zabijać...

Czyjeś pchnięcie strąciło Siwarze hełm; gdy padała, jej potargane loki opadły falą na policzki. Gene stał nad księżniczką, wyjąc jak oszalały, jego miecz zadawał cios za ciosem.

Jeden z żołnierzy Siwary stanął obok, odparowując uderzenia. Z Gene'em działo się coś niedobrego! Widział, że słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie, a mimo to pociemniało mu w oczach, w uszach słyszał dzwonienie. Cóż, może to od dymu. Czuł zmęczenie, ogromne zmęczenie, ale to nie było ważne. To nie on walczył. Ktoś weń wstąpił, walcząc za niego.

Klejnot! Czary Yanuka niewiele pomagały. Może rybopodobne stworzenie było zbyt chore, by działać więcej. Na cóż mogłyby się teraz zdać gliniane figurki i małe kulki niebieskiego światła?

Rozbij klejnot, Yanuk, rozbij klejnot! Sprowadź Orchera! Siwara padła, może nie żyje. I to dzwonienie w uszach! Dlaczego wszystko wokół tak pociemniało? Co się dzieje? Czy statek tonie? Pokład się przechylił – przewracamy się!

Yanuk, rozbij klejnot!

Gene upadł, ale nie wiedział o tym. Wyciągnął rękę i dotknął warkocza Siwary, ale tego też nie wiedział. Potem leżał już bez ruchu. Coraz więcej przeciwników wdzierало się na statek Siwary. Jeden okręt wroga płonął, drugi tonął na skutek wyrwy, zrobionej przez pociski wystrzelone z katapulty. Ale już tylko kilku wojowników Siwary żyło. Wokół piętrzyły się stosy tych, którzy zginęli, wierni jej do samego końca.

Gene był na to wszystko obojętny, jego myśli błądziły w ciemnych przestworzach pełnych ogłuszającej muzyki. Muzyka! Orcher! Czyżby nadszedł? Czy Yanuk w końcu rozbił

olbrzymi kamień? Cóż, i tak nie miało to już teraz żadnego znaczenia. Siwara zginęła, on sam też najprawdopodobniej umierał. Przynajmniej żywił taką nadzieję. Dalsze życie nie miało już sensu. Siwara zginęła, a Gene nie mógł wrócić do swego własnego świata; kiedy miał taką możliwość, nie skorzystał z niej. Nanich, praktycznie rzecz biorąc, padło. Gdyby Orcher nadszedł wcześniej, uratowałby Nanich. Dla Siwary nie miało to już teraz żadnego znaczenia – i dla niego również.

Ale Orcher nie nadszedł, klejnot nie został rozbity. Głowa Gene'a spoczywała na czymś twardym i szorstkim, a czyjaś miękka dłoń gładziła go po włosach; ktoś płakał. Myśli Gene'a wynurzyły się z ciemności. Gdzie miecz? Wyciągnął ręce w poszukiwaniu broni, podkułił

nogi, by powstać i ruszyć do walki...

Zmrużył oczy przed blaskiem słońca. Leżał na niższym pokładzie, z głową na kolanach Siwary, jej warkocze kołysały się, gdy łkając pochylała się nad nim, dotykając ręką jego włosów. Otaczali ich uzbrojeni mężczyźni z mieczami gotowymi do ciosu.

Gene czuł, że lewa część twarzy mu płonie, przecięta stalowym ostrzem. Uśmiechnął się do Siwary, a jej szloch przeszedł w cichy śmiech.

Uniósł głowę. Nie było widać płonącego statku. Galerę Siwary otaczała flota Kof.

Dlaczego księżniczka nie popełniła samobójstwa? Myślał, że Siwara zginęła. A teraz była jeńcem Kof. Nie był pewny, czy Kof łaskawie obchodziło się z wziętymi do niewoli. Co się z nią stanie? Jak spędzi resztę życia? Jęknął na samą myśl o tym i Siwara, zaniepokojona, poło-

żyła mu dłoń na policzku.

– Gdzie jest Yanuk? – próbował usiąść, ale nie mógł.

Wskazała głową. Yanuka trzymało dwóch uzbrojonych ludzi. Na skutek choroby wyglądał jak cień.

– A klejnot?

Spojrzała prosto przed siebie. Gene wytężył wzrok, by go dostrzec. Czterech mężczyzn trzymało płachtę materiału, każdy za jeden róg; po jej zaokrąglonym wybrzuszeniu domyślił

się, że w środku jest klejnot.

Obok nich stał Froar, już bez kajdan, uśmiechając się z zadowoleniem – bez najmniejszego zdraśnięcia, w czerwonym płaszczu, czystym i olśniewającym. Nie opodal stali dwaj mężczyźni w złotych zbrojach. Złoto było porysowane i miejscami zniszczone, ale widać musieli być jakimiś ważnymi osobistościami.

Gene spróbował znowu się podnieść; poczuł w prawym ramieniu kłujący ból, zacisnął zęby i jakoś udało mu się sięść. Całe ramię miał zabandażowane. Dotknął policzka – był porządnie przecięty, ale krew już zakrzepła.

Siwara pochyliła się nad nim, uśmiechając się ciągle.

– Gene! Żyjesz! Leżałeś taki blady! Taki blady!

Objął ją zdrowym ramieniem. Pilnujący ich ludzie nie poruszyli się, gdy księżniczka wstała.

– Możesz stać?

Skinął głową, a ona pociągnęła go, z ledwością postawiwszy półprzytomnego na nogi.

Gene znowu słyszał muzykę, ale cichą i odległą. Zachwiał się i powiódł wzrokiem po zebranych. Wszystko to wydawało mu się nierealne. To nie mogło dziać się naprawdę! A przecież zdarzyło się – było w tym coś zabawnego. Gene otworzył usta, by się roześmiać, ale nagle wszystko to przestało

być zabawne. Jedną ręką obejmował Siwarę, nie wiedząc, co się może stać za chwilę z księżniczką. To zupełnie nie jest zabawne.

Odwrócił głowę w stronę dziewczyny.

– Siwaro, co z tobą będzie? Czy jeszcze kiedykolwiek cię ujrzę?

Spojrzała zimnym wzrokiem, jakby ujrzała go po raz pierwszy.

– Nie wiem. Ale nie martw się, przecież jeszcze żyjemy. Mamy klejnot i Yanuka. Nie wolno nam tracić nadziei – wyszeptała, a jej wzrok złagodniał. – Byłeś wspaniały, nigdy o tym nie zapomnę!

Jakaż to mała pociecha! Nagle strażnicy rozstąpili się i podeszli do nich dwaj mężczyźni w złotych zbrojach.

– Ten wysoki to Dann – mruknęła Siwara. – Drugi to jego brat Erlich. Widziałam już ich kiedyś. Przybyli do Nanich przed miesiącami, wysuwając zuchwałe żądania. Gdyby był z nimi jeszcze Carill, mielibyśmy przed sobą wszystkich władców Kof.

Wyższy mężczyzna był otyłym blondynem o głupekowatym, lecz sympatycznym obliczu. Niższy, ciemny i szczupły, miał twarz o ostrych, szczerowatych rysach i wyrachowane, podstępne spojrzenie. Obydwaj stali, przyglądając się księżniczce, a następnie przenieśli wzrok na Gene'a. Froar podszedł do nich z boku i zaczął coś szeptać. Przez twarz Erlicha, tego niższego, przebiegł złośliwy uśmiech. Ale Dann, blondyn, uśmiechnął się pobłażliwie, jakby to, co powiedział Froar, nie było niczym złym.

Froar wskazał na Yanuka, który nic sobie z tego wszystkiego nie robił.

– Twierdzi, że jest nieśmiertelny. Byłoby interesujące sprawdzić to jego przekonanie.

Chyba za pomocą ostrych narzędzi udałoby się rozwiązać zagadkę owego wiecznego życia.

Osobiście nie wierzę w to. Zresztą nieważne, najlepiej go zabijcie. Dostał już silną porcję trucizny, ale nie wygląda, jakby wyrządziła mu specjalną krzywdę. Jest czarnoksiężnikiem.

Potrafi lepić z gliny małe duszki. Są żywe i poruszają się!

Dann patrzył na Froara lekceważąco i z niedowierzaniem. W szczerowatych oczach Froara również malowały się wątpliwości, ale jednocześnie jakiś podstęp.

– A to – Froar wskazał klejnot – to jest coś, co daje im siłę. Nie jestem całkiem pewny, co z tym zrobić, ale radzę wrzucić ten kamień do morza, gdzie nikomu nie będzie mógł już zaszkodzić.

Tęgi Dann obrócił się, by popatrzeć na kamień. Mały Erlich podkradł się do płachty i chciwie zajrzał do środka.

– Ale klejnot! – przemówił blaszanym tenorem. – A jaki wielki! – pożerał wprost kamień wzrokiem.

– Nie wyrzucimy go za burłę, Froarze. Jest bezcenny i z pewnością będzie miał w Kof niezwykłą wartość!

Uśmiechnął się głupio do księżniczki.

– Tak samo zresztą, jak w Nanich, i to już wkrótce. Jak tylko uczynimy z niego jedną z naszych kolonii.

Froar obrzucił księżniczkę badawczym wzrokiem.

– Co zamierzacie z nią zrobić?

Dann podrapał się po szczeciniastej brodzie.

– Na razie zaprowadzimy ją do kajuty i będziemy trzymać pod strażą, do czasu, aż przybędzie Carill, a potem zwołamy radę i zadecydujemy.

– Nie pozwólcie temu mężczyźnie być razem z nią – powiedział Froar, patrząc przebiegle na Gene'a.

To zirytowało Erlicha. Odwrócił się do Froara – był prawie o głowę niższy od człowieka w purpurze, ale miał wielką władzę.

– Nie będziesz nam dawał rad, Froarze, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ten mężczyzna nie może nam zaszkodzić. Pójdzie razem z nią. I z tym stworem, którego nazwałeś czarnoksiężnikiem.

Zaśmiał się krótko, przenikliwie.

– Czarodziej! Ty przesądny głupcze!

– Cóż, przynajmniej zabierzcie klejnot.

Oczy Erlicha powiedziały mu, że jeśli o to chodzi, może być spokojny.

Froar wskazał na Yanuka.

– Tak długo, póki on żyje, nie zostanę na pokładzie tego statku! Możecie się śmiać –

gniewnie spojrzał na Erlicha – ale widziałem te małe gliniane potworki i nie chcę ich spotkać już nigdy więcej.

Dann obrzucił go obraźliwym spojrzeniem.

– Idź, dokąd chcesz – udzieliły mu się dworne maniery Froara. – Wszystkie statki Kof należą do ciebie.

Ale w jego oczach można było wyczytać coś wprost przeciwnego.

Froar w dalszym ciągu patrzył nachmurzony, twarz mu się zaostrzyła.



– Dacie mi eskortę? Przyprowadzę Carilla.

Erlich spojrział na swych żołnierzy.

– Ty i ty – wskazał. – Dwóch wystarczy.

Froarowi nie spodobało się to, ale nic nie odrzekł. Odwrócił się, dając znak wyznaczonym ludziom, by za nim poszli, i podążył ze złością do jednej z szalup.

Dann wymamrotał coś do swego brata. Erlich, chociaż wyraźnie nie aprobował tego, co usłyszał, wyraził zgodę i lekko zmrużył oczy ze strachu. Ale wydał rozkaz, w sposób absolutnie nie znoszący sprzeciwu.

– Zabrać księżniczkę i jej kompana do kajuty. I tego czarodzieja z nimi! – zaśmiał się. –

Niech się wzajemnie pocieszają, póki nie nadejdzie Carill.

Wspomnienie osoby Carilla było zupełnie niepotrzebne. Ale widać było, że Erlich uważa swoją uwagę za wysoce na miejscu.

Gene'owi ścierpła skóra, kiedy mężczyźni schwycili go za ramię i zaprowadzili razem z Siwarą do kabiny dziewczyny. Popchnęli oboje na poduszki, leżące pod wielkim oknem, i ustawili się w pokoju, przybierając czujne postawy. Dyscyplina była sprawą pierwszej wagi dla żołnierzy Kof. Dwóch wojowników podtrzymujących Yanuka wprowadziło go i posadziło obok Gene'a i księżniczki. Kolejny żołnierz przyprowadzić rozczochną Marzę w porwanym ubraniu – to ona przedtem zabandażowała Gene'owi ramię. Przyciskała do piersi swojego małego bożka. Wyrwała się z uścisku mężczyzny, ruszyła w stronę Siwary, padła przed nią, płacząc i ukrywając twarz na jej kolanach. Siwara pogłaskała staruszkę po głowie, po czym podała dłoń Gene'owi. Uścisnął ją i oboje popatrzyli sobie w oczy. Nie musieli nic mówić.

Siedzieli w milczeniu a czas włókł się jak znużona, ślepa wiedźma w podróży nie mającej końca. Słońce zniżyło się, czerwona zorza pokrywająca niebo przenikała przez szyby okien. Statek płynął, holowany przez okręt Kof.

Stan Yanuka to poprawiał się, to pogarszał. Wszyscy sceptycznie ocenili jego próby przywołania błękitnych ogników.

Jeńcom, którzy nie mieli specjalnej ochoty na jedzenie, przyniesiono posiłek. Tylko Marza zjadła co nieco. Wpychała do ust pełne garście jedzenia, cały czas gorzko płacząc. Na-jadłszy się powróciła na swoje miejsce pod ścianą, przyciskając do mokrego od łez policzka dłoń księżniczki. Głowa jej opadła i ręka Siwary stopniowo odsunęła się na poduszkę. Staruszka usnęła.

Wszedł Froar, oświetlając kabinę jasnym światłem lampy. Ręka Gene'a spoczywała w dłoni Siwary, oboje patrzyli przed siebie, jakby marzyli na jawie. Siwara tylko raz odwróciła twarz do ukochanego. Wartownicy nie poruszyli się, ale czujnie zamrugali oczami. Gdyby księżniczka zmieniła pozycję lub spróbowała wstać, natychmiast by do niej podbiegli.

W wyglądzie Froara było coś tajemniczego. Kiedy tylko wszedł, rozkazał strażnikom odejść do najdalszego kąta pokoju. Mężczyźni poruszyli się niezdecydowanie, ale na znak drugiego przybysza cofnęli się pod ściany. Znaleźli się poza zasięgiem głosu, gdyby ktoś przemówił szeptem.

Obcy rycerz również nosił złotą zbroję. Był krępy i śniady, twarz miał nieco podobną do człowieka w purpurze, ale bardziej surową. Przypominał rzeźbę, wykonaną toporem w twardym, ciemnym drewnie.

– Carill – mruknęła bezgłośnie Siwara, nie wiadomo, wzywając przybysza po imieniu, czy też przedstawiając go Gene'owi.

Nikt nie zauważył, że na końcach palców Yanuka zaczynał świecić błękitny ogień. Czarnoksiężnik chyba nie był taki chory, na jakiego wyglądał. Froar wskazał ręką w stronę rybo-podobnego stwora i ciemnoskóry Carill wystąpił o krok i zatrzymał się przed czarownikiem.

W tym czasie jeden ze strażników skierował się w stronę drzwi. Froar zauważył to, ale nie zareagował, chcąc przede wszystkim usłyszeć, co Carill powie Yanukowi. Mężczyzna wysli-znął się z pokoju i szybko na palcach pobiegł w dół korytarza.

Carill pochylił się na Yanukiem, zniżając twarz do jego poziomu i wymamrotał głosem, brzmiącym jak zgrzytanie metalu o metal:

– Słyszałem, że jesteś czarodziejem, że potrafisz posługiwać się błękitnym klejnotem, dającym nadzwyczajną siłę. Jeżeli zdobędę tę moc, możesz zostać mym sługą. W ten sposób ocalisz swoje życie.

Froar uśmiechnął się szyderczo, ale Carill, nie zważając na to, ciągnął dalej.

– Jestem Carill, jeden z trzech władców Kof. Chcę mieć klejnot i przy jego pomocy zgładzić Danna i Erlicha, by zapanować nad całym Kof, Kof i jego koloniami!

Froar spojrzał niespokojnie przez ramię i położył dłoń na ramieniu Carilla.

– Pospiesz się!

Carill skinął głową i zwrócił się do Yanuka.

– Więc jak, pomożesz mi, jeśli postaram się, by pozwolili ci żyć?

Gene uśmiechnął się do Siwary.

– To pomysł Froara – powiedział, jakby tamten dopiero co wszedł. – Trzyma się swoich starych, podstępnych metod!

Oczy Froara zabłyśły, uderzył Gene'a dłonią w zraniony policzek. Rana otworzyła się i wzdłuż twarzy zaczęła znowu płynąć czerwona struga. Ale Gene tylko roześmiał się, patrząc Froarowi prosto w twarz. Zaskoczony Froar zmrużył oczy, a Siwara splunęła mu w twarz.

Zdrajca uniósł rękę, by uderzyć dziewczynę, ale w tej właśnie chwili Yanuk podniósł łapę.

Błękitna mgiełka spływała z jego palców i zbierała się niby w krople rtęci, które drząc wolno przepłynęły w powietrzu ku twarzy Carilla. Przeniknęły mu przez skórę i zamarł bez ruchu. Ręka Yanuka odchyliła się w stronę Froara. Mężczyzna w purpurze zaklął, podskoczył

i obrócił się, by uciec, ale w tym momencie grupka ludzi, wśród nich Dann wraz z bratem, przestąpiła próg pokoju. Miecze mieli gotowe do ciosu.

Froar skulił się i zaczął się cofać. Pośliznął się na poduszce, na której wciąż chrapała Marza i przywarł do ściany. Obaj bracia i ich żołnierze nie odzywali się, ale z wyciągniętymi przed sobą mieczami, skierowanymi prosto we Froara, wolno zbliżali się do niego.

Twarz zdrajcy pokryła się licznymi zmarszczkami, przypominającymi blizny. Podniósł i opuszczał nogi, jakby ciągle jeszcze szedł, w cudowny sposób przenikając przez ścianę.

Potrącił Siwarę, która odsunęła się spokojnie, jakby nieświadoma tego, co się działo. Patrzyła na Froara z niesmakiem. Chrapanie Marzy ustało. Pokojówka uniosła głowę i usunęła się z drogi. Mężczyźni byli teraz bardzo blisko, a światło lampy połyskiwało na stalowych ostrzach. Krzyk zamarł na ustach Froara; zdrajca oddychał ciężko. Palcami dotknął szyby i właśnie przykucnął, szykując się do skoku, gdy ostrza zanurzyły się w jego ciele. Ktoś odsunął Gene'a i Siwarę. Froar zwałił się, z licznych ran buchnęła krew. Leżał jak mokra szmata, ani drgnął. Dann i Erlich cofnęli się, a ich ludzie kopniakami odsunęli ciało zabitego na bok.

Carill stał przed Yanukiem bez ruchu. Nacierający żołnierze potrącili swego wodza, który zwałił się na podłogę. Erlich i Dann spoglądali na ciało swego druha.

Erlich cmoknął z udawanym współczuciem.

– Biedny Carill! Nie żyje!

Uniósł oczy w niebo z fałszywą pobożnością.

– I to nie my go zabiliśmy, Dann. Ci ludzie mogą zaświadczyć.

Odwrócił się do nich, a potem położył dłoń na ramieniu brata.

– Cóż, Dann, teraz zostaliśmy tylko my i siła armii Kof – uważnie spojrział w obojętną twarz brata, jakby bojąc się tego, co się kryje za maską obojętności.

Carill naturalnie żył, został jedynie zahipnotyzowany, podobnie jak Froar w świątyni Orchera. Ale najwidoczniej Erlich o tym nie wiedział.

– Weźmiemy jego ciało i pogrzebiemy w morzu ze wszelkimi honorami – powiedział. –

To oczywiste, że go nie zabiliśmy. Nie ma nawet najmniejszego zdraśnięcia.

Oczy utkwił w Yanuku.

– To ty tego dokonałeś? Ciekaw jestem jak. Lepiej nie próbuj tych sztuczek ze mną!

Ale Yanuk znowu wyglądał na chorego.

Erlich wskazał palcem na nieprzytomnego Carilla.

– Wynieście go! Tylko ostrożnie. Trzeba szanować umarłych!

Uprzejmość Danna zniknęła, przypatrywał się bratu ze zdumieniem. Erlich uczynił gest w stronę Danna.

– Chodźmy, bracie. Strażnicy, którzy byli przydzieleni tu wcześniej, niech zostaną.

Wkrótce zostaniecie zmienieni i na wszystkich będzie czekała nagroda.

Oczy żołnierzy zaświeciły się z chciwości.

Wyniesiono ciało Carilla, a Dann i Erlich podążyli za nim. W drzwiach Erlich odwrócił się; nie potrafił odmówić sobie teatralnego efektu.

– Księżniczko, wydaje mi się, że jeszcze masz jakieś złudzenia. Ale może będę mógł sprowadzić cię na ziemię. Zbliżamy się do Nanich. Dotrzemy tam jeszcze tego ranka. Chyba wiesz, co to oznacza.

Siwara ocknęła się. Odwróciła się do Gene'a i patrzyła na niego wymownie.

Uśmiech Erlicha przywodził na myśl oblizywanie się z radości. Było w tym człowieku coś z Froara. Wyprostował się i niemal nadął, podążając za bratem.

Strażnicy przypominali kukły o ludzkich kształtach, tylko ich oddechy i czujne spojrzenia wskazywały na to, że to żywe istoty.

A gwiazdy zaglądały przez okno migocząc, jakby wyrażając swym światłem śmiech.

# XIV

Niemal natychmiast po ich wyjściu Yanuk powrócił do zdrowia i uśmiechnął się do Gene'a i księżniczki. Marza oderwała poplamiony krwią rąbek sukni, po czym znów pograży-

ła się w modlitwach do swego bożka. Siwara zaczęła coś mówić, lecz Gene przerwał jej gwałtownie, zwracając się do Yanuka:

– Gdybyś w czasie bitwy dysponował chociaż połową swych sił, mógłbyś stłuc szafir i sprowadzić Orchera!

Yanuk spojrzał smutno.

– Byłem wtedy chory, Gene, naprawdę. Nie wierzysz mi? – wyciągnął błagalnie łapę, na której nie było widać błękitnych ogników.

– Dziwnie szybko wyzdrowiałeś! – wysapał Gene.

– Kiedy zapędzili mnie w kąt, zaczęli mną tak mocno szarpać, iż myślałem, że zemdleję

– naiwnie tłumaczył się Yanuk. – Sądzę, że przy okazji wytrząsnęli ze mnie resztę trucizny.

Gene parsknął drwiąco. Księżniczka pochyliła się, dotykając ich obu.

– Nie kłóćcie się – powiedziała i spojrzawszy na strażników zniżyła głos. – Yanuk, czy masz dosyć sił, by dokonać jakiejś sztuczki, która mogłaby nam pomóc?

Skinął głową.

– Ale na cóż to się teraz zda? Jesteśmy otoczeni przez statki Kof. Już prędzej nie dotrzemy do Nanich. Czemu nie płynąć tak długo, jak tylko się da?

– Moglibyśmy odzyskać klejnot, rozbić go i wezwać Orchera. Jeżeli oczywiście przybędzie – uśmiechnęła się smutno. – Bo właściwie czemu miałby to uczynić?

Yanuk był nastawiony równie sceptycznie, co ona.

– Właśnie. Jeżeli przybędzie, jak słusznie zauważyłaś, księżniczko. Nigdy się specjalnie nie spieszył. Pamiętam dawno temu, kiedy jeszcze żyli moi ludzie, och, to musiało być całe wieki temu, wzywali go raz, ale się nie zjawiał. Kiedy indziej znowu uruchomiłem Machineę, ale też nie nadszedł. Ma tyle ważniejszych spraw na głowie, przynajmniej ważniejszych z jego punktu widzenia. My jesteśmy dla niego tylko kłopotliwymi stworzeniami. I dlatego myślę, księżniczko, że nie powinniśmy nic robić, póki statek nie dotrze do Nanich. Chyba, że ktoś będzie próbował nas skrzywdzić.

Siwara zastanowiła się.

– Może masz rację. Ale jestem taka niecierpliwa. Chodzi przecież o moich ludzi. Wciąż istnieje szansa uratowania ich!

Czule spojrzała na Gene'a swymi ogromnymi oczami.

– Chce mi się spać, Siwaro – Gene powiedział to takim tonem, jakby ogłaszał coś niezwykłego.

– No cóż, to śpij – odparła praktycznie. – Usiądź sobie pod ścianą. Możesz się oprzeć o mnie.

Posłuchał jej jak dziecko. Poglaskała go po głowie macierzyńskim ruchem.

– Powinieneś zdjąć tę ciężką zbroję, chociaż później może ci być jeszcze potrzebna –

powiedziała, spoglądając krzywo na strażników. – Chciałabym, żeby przestali się tak gapić! –

zauważyła, powstrzymując ziewnięcie. – Też jestem zmęczona. Ale chyba nie powinnam spać w takiej chwili. Chociaż właściwie nie mamy teraz nic do roboty. Podniosłeś mnie trochę na duchu, Yanuku.

Jej uśmiech był dla czarownika niczym pocałunek; Yanuk pokraśniał z zadowolenia.

– Myślę, że też spróbuję usnąć – powiedziała i niemal natychmiast opadły jej powieki.

Oparła się o ścianę, wzdragając się lekko, gdy statkiem szarpało.

Gene drzemał. Dziewczyna też wkrótce usnęła. Yanuk rozejrzał się po pokoju, popatrzył na płonące lampy, strażników, mrużąc coś do swego bożka Marzę. Pokiwał głową, skulił się i westchnął głęboko.

Po chwili spał i on.

Obudziły ich odgłosy kroków i czyjeś wrzaski. Gene cały zdrętwiał, w ramieniu czuł

ból. Z twarzą pokrytą zaschniętą krwią nie sprawiał najlepszego wrażenia. Szare światło poranka, przedzierające się przez zasłony, nie przydawało mu urody.

Siwara przeciągnęła się, rozprostowała ramiona i przesunęła palcami po włosach.

Niepokoili ją rany Gene'a.

– Obawiam się zakażenia – mruknęła.

Yanuk uspokajająco uniósł dłoń.

– Mogę temu zaradzić.

Delikatnie położył łapę na ranie i skoncentrował się, komicznie przewracając przy tym oczami.

– Wysyłam do rany białe promienie – szepnął do Siwary. – Są antyseptyczne.

Dotykał każdego skaleczenia Gene'a pytając:

– Czujesz coś?

Gene potrząsnął głową.

– Nie szkodzi, i tak ci pomoże – odparł Yanuk.

Marza najwidoczniej straciła wiarę w swego bożka, bo niedbale rzuciła go obok siebie.

Spoglądała w stronę drzwi, zaintrygowana dobiegającym stamtąd hałasem.

– Chyba widać już brzeg – powiedziała Siwara i zwróciła się do strażników: – Czy zbliżamy się do Nanich?

Jeden z mężczyzn, zastanowiwszy się przez moment, czy należy jej odpowiedzieć, skinął szybko głową, po czym znów zamienił się w bezmyślny automat.

– Czas, abyś zaczął czynić swoje sztuczki – powiedziała do Yanuka. – Chciałabym być na pokładzie, by móc widzieć, co zamierzają zrobić nasi wrogowie.

Najwidoczniej tak właśnie miało być, ponieważ do pokoju wmaszerowała grupa żołnierzy i zbliżyła się do więźniów. Gestem nakazali księżniczce i pozostałym, by wstali.

– Dokąd nas zabieracie? – zapytał Gene, obejmując dziewczynę ramieniem.

– Erlich kazał was przyprowadzić na pokład. Chce, żebyście widzieli upadek Nanich –

powiedział jeden z przybyłych, a na boku szepnął do towarzysza: – Sam wiesz, jaki on jest!

Był to szokujący objaw niesubordynacji.

Więźniowie zostali zaprowadzeni korytarzem na górny pokład statku. Siwara skrzywiła się, ujrawszy na deskach ślady zakrzepłej krwi. W pobliżu rumpla ustawiono cztery krzesła –

jeszcze jeden objaw zamiłowania Erlicha do efektów teatralnych. Zajęli miejsca, żołnierze stanęli z tyłu.

Lekka mgiełka przesłaniała słońce. Galera ciągle płynęła w samym środku floty Kof, połączona liną holowniczą z wyprzedzającym ją statkiem. A Nanich było już bardzo blisko.

Znajdowali się tuż u wejścia do portu.

Przed nimi rozciągała się długa, zielona linia, usiana brązowymi plamami, które, jak wyjaśniała Siwara, były skalistymi urwiskami. Powyżej bieleło miasto. Siwara, wskazując na nie palcem,

westchnęła.

– To moja stolica, Jolaise. Na lewo, tuż za tamtą przepaścią, leży Szangar. Dalej są wioski, a tam majaczy we mgle Alu. Yanuk? – zwróciła się do ucznia Orchera.

– Słucham? – oderwał wzrok od horyzontu.

Z uwagi na strażników nie mogła mówić swobodnie.

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy ostatniej nocy?

– Tak.

– No i...?

Nie odpowiedział. Ponownie skierował wzrok ku brzegom Nanich, wpatrując się z uwagą, jakby próbował powiększyć obraz i zapamiętać wszystkie szczegóły. Jeden ze strażników trącił swego towarzysza.

– Spójrz tam – wskazał dłonią.

Jego kompan uniósł wzrok, a razem z nim uczynili to Gene i księżniczka.

Marza wstała z krzesła i przerażona dotknęła ręką ust.

– Pożar! Pożar! – krzyknęła i zaczęła szukać w fałdach sukni zapomnianego bożka.

Wąska smuga dymu unosiła się między szparami desek dolnego pokładu. Dym gęstniał

z każdą chwilą i wnet pojawiły się pierwsze płomienie, a potem kolejne, mniejsze języki ognia. W miarę rozprzestrzeniania się pożaru dał się słyszeć suchy trzask. Kilku strażników zbiegło na dół, zaś pozostali ciaśniej otoczyli więźniów.

Siwara bezwiednie ścisnęła zabandażowane ramię Gene'a, który aż drgnął, odrywając zafascynowany wzrok od morza ognia. Księżniczka pochyliła się, by spojrzeć na Yanuka, który siedział nieporuszenie, z oczami utkwionymi w Nanich.

Ogień rozprzestrzeniał się, dym gęstniał. Z kabin na dole strzelały języki ognia. Ale czy to prawdziwy pożar? Czuli żar, który, być może, wojownikom Kof wydawał się nieznośny, ale jednocześnie żar ten nie niszczył farby pokrywającej ściany kabin.

– Pożar! Pożar! – rozległy się okrzyki.

Garstka tych, którzy byli na pokładzie, dreptała niezdecydowanie. Wszelkie próby stłumienia gwałtownych płomieni były z góry skazane na niepowodzenie. Pożar ogarnął już cały statek, a dym gryzł wojowników Kof w oczy. Nie dokuczał on jednak czwórce widzów na górnym pokładzie, obserwującej to widowisko jedynie z grzecznym zainteresowaniem.



Ostatni strażnicy pędem opuścili pokład. Znajdujący się poniżej skakali przez barierki do morza, kierując się ku pozostałym statkom, na których tłoczyli się wojownicy, wydając głośne okrzyki.

Wydawało się, że sytuacja na galerze jest beznadziejna. Należało więc jak najszybciej pozbyć się statku, by ogień nie przeniósł się na inne okręty. Kilku mężczyzn na dolnym pokładzie przypomniało sobie o jeńcach i ruszyło na górę, ale wyrosły przed nimi gwałtowne płomienie, zagradzające drogę, a oślepiający dym owionął wojowników Kof.

Możliwe, że wcale nie czuli żaru ani duszącego dymu, po prostu wydawało im się to tak oczywiste, że aż w to uwierzyli. Ściana ognia uniemożliwiała zidentyfikowanie ludzi tłoczą-

cych się na dole, a wkrótce nie było tam już nikogo – rzucili się do morza, pozostawiając nawet małe szalupy ratunkowe, które próbowali spieszenie opuścić na wodę. Zostawili jedną łódź kołyszącą się na końcu liny, a drugą unoszącą się na falach.

Kiedy ostatni z nich opuścił statek, płomienie przesunęły się od nie osmalonych drewnianych ścian i skupiły wzdłuż burt statku, tworząc efektowną ruchomą zasłonę, której fałdy spowijały kłęby dymu. Pokłady były wolne od ognia.

Yanuk, ze wzrokiem wciąż utkwionym w Nanich, zwrócił się do Gene'a:

– Pomóż mi zejść na niższy pokład. Spuśćcie szalupę na wodę i poszukajcie klejnotu.

Kiedy pomagali baśniowemu stworowi z wydatnym brzuchem, pokrytym zielonymi łuskami, zejść po stromych stopniach, czarnoksiężnik z uwagą wpatrywał się przed siebie.

Gene i księżniczka zapomnieli o swoim odrętwieniu i dolegliwościach i biegali od kajuty do kajuty, zaglądając do skrzyń i ściągając z łóżek narzuty w poszukiwaniu klejnotu Orchera. W kabinie Froara natknęli się na stół zastawiony naczyniami z potrawami, widocznie ktoś za chwilę miał tu zasiąść do jedzenia. W kajucie Yanuka ustawiono w kozły broń. Ale nigdzie na całym statku nie było klejnotu.

Siwara z pobladłą twarzą oparła się lekko o ścianę. Gene przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Nie poddawaj się, Siwaro. Nanich jeszcze nie padło. Co z tego, że nie mamy klejnotu?

Mamy przecież Yanuka. W najgorszym wypadku wyobraź sobie, że nigdy nie zawinęliśmy na tę wyspę, tylko po prostu udało nam się pokonać sztorm, prześcignąć statki i dotrzeć do Nanich.

Znowu zobaczył Siwarę taką, jaka była na początku podróży – powabną i czułą. Uniosła usta do pocałunku. Stali przez moment razem, póki Marza nie wynurzyła się z kajuty księżniczki, trzymając w jednej ręce swego małego bożka. Spoglądała na figurkę, jakby nie była pewna, czy ją zostawić, czy też schować w fałdach sukni.

Podeszła do Yanuka czekającego przy jednym z masztów. Gene potrząsnął czarnoksiężnikiem.

– Yanuk, nie możemy znaleźć klejnotu. Może został przeniesiony na inny statek. Co teraz zrobimy?

– Spuśćcie szalupę na wodę, popłyniemy do Nanich – zdecydował Yanuk.

Gene podszedł do ściany ognia, która wciąż otaczała statek. Nie czuł gorąca. Na próbę wsunął dłoń w pomarańczowe płomienie, ale też nic nie poczuł. Wysunął całą głowę i rozejrzał się wokoło.

– Łódź jest już prawie na wodzie – zawołał. – Siwaro, chodź! I ty, Marzo! Nie, zaczekajcie!

Pobiegł z powrotem do kajut i pojawił się po chwili z mieczami i sztyletami dla całej czwórki. Marzą wzięła swoją broń ze strachem, jakby brała rozpaloną do białości monetę, Yanuk bez najmniejszego mrugnięcia okiem objął rękojeść miecza.

Gene zdrową ręką przeciągnął linę na kołowrotku, póki łódź nie dotknęła fal.

– Siwaro, czy potrafisz opuścić się na linie czy też mamy cię obwiązać i spuścić do szalupy?

– Dam sobie radę – powiedziała. – Ale musicie pomóc Marzy. Nie sądzę, by pozostała jej choć odrobina rozumu.

Yanuk podszedł do nich sztywnym krokiem, ze skupionym wzrokiem. Siwara złapała Gene'a i przerzuciła nogi przez poręcz, jedną dłonią ujmując linę. Potem uchwyciła ją obiema rękami wypróbując. Odepchnęła się od burty i ześlizgnęła po sznurze do podskakującej na falach łódki, nie zważając na to, że lina ociera jej skórę na dłoniach. Yanuk poszedł w jej ślady. Potem Gene uciał nożem linę przy innym kołowrotku, która zwisała luźno na dziobie statku. Obwiązał Marzę, uniósł ją – opierała się słabo, nie za bardzo wiedząc, co się z nią dzieje – i zaczął popuszczać linę jak tylko mógł najwolniej. Z wysiłku i bólu zacisnął zęby.

Sznur zrobił się wiotki, Marza była już w łodzi. Gene ześlizgnął się po drugiej linie, czując nieznośny ból w zranionym ramieniu, i z głuchym łoskotem runął do łódki. Siwara odcięła sznur, a szalupa odpłynęła od statku. Księżniczka uniosła wiosło i położyła na jego uchwycie dłoń Marzy.

– Marzo, musisz wiosłować ze mną – powiedziała, biorąc drugie wiosło. – Gene nie jest w stanie ze swym zranionym ramieniem! Marza! – uniosła głos. – Słyszałaś mnie? Wiosłuj!

Marza mechanicznie wsunęła wiosło w dulkę i zaczęła na nie napierać. Siwara dostosowała swoje ruchy do tempa staruszki, kierując łódź w stronę Nanich.

Ogień rozlał się po burcie statku, dosięgnął szalupy i otoczył ją jak gdyby zasłoną. Gene siedział na dziobie, trzymając rękę na obandażowanym ramieniu, które znów zaczęło krwawić. Próbował wzrokiem przeniknąć ogień. Yanuk siedział przy sterze, pogrążony w myślach.

Flota Kof opuściła żagle. Od strony portu Nanich zbliżała się mała armada Siwary.

Wkrótce zmierzą się w walce. Przewaga była, niestety, po stronie Kof.

Gene z podziwem pokiwał głową. Bez względu na to, jakie mieli szanse, mieszkańcy Nanich byli

zdecydowani bronić swej ojczyzny!

Łódź sunęła między statkami Kof. Nie zwracano na nią większej uwagi. Była to przecież tylko płonąca szalupa ze statku Siwary. Nie miała żadnego znaczenia, przynajmniej do-póki nie groziła przerzuceniem ognia na któryś z okrętów. Żołnierze Kof byli zajęci przygotowaniami do bitwy.

Płonąca łódź dryfowała cały czas w stronę portu w Jolaise. Siwara była zmęczona, ale nie oddała wiosła Gene'owi. Marza nie miała takich skrupułów i pozwoliła mu wiosłować, usuwając się na bok, by mógł zająć jej miejsce. Strach całkowicie ją ogłupił. Jednak po kilku uderzeniach wiosłem Gene musiał się poddać i Marza zaczęła wiosłować równie chętnie, jak przedtem przestała.

Wreszcie opuścili szeregi statków Kof. Okręty Nanich były już blisko, płonąca łódź

zrobiła łuk, by je wyminąć.

Dopiero wtedy płomienie przygasły. Yanuk westchnął ciężko i zrobił kilka głębokich oddechów, z dumą klepiąc się po piersi.

– No, udało mi się. Ale czuję się tak, jakby moja głowa miała za chwilę gdzieś odlecieć.

Siwaro, teraz mogę wiosłować.

Księżniczka przysunęła się do Gene'a i otoczyła go ramionami. Łódź nadal płynęła do portu. Obejrzel się za siebie.

Statek Siwary nie płonął już. Nie widzieli go, bo zasłaniały go okręty Kof, ale nie było widać już nad nim dymu ani łuny pożaru. Obie floty znajdowały się już blisko siebie. Garstka okrętów Siwary robiła duże wrażenie. Gdyby tylko mieli ich trochę więcej!

Port był już blisko, jego nabrzeża zapełnili szczerze przypatrujący się ludzie. Rozpoczęła się bitwa na morzu. Słysząc było słabe trzaski napierających na siebie statków. Na jednym z okrętów Kof wystrzelił czerwony płomień...

# XV

Kiedy uciekinierzy dotarli do przystani Nanich, księżniczka była kompletnie przemo-czona i wyczerpana. Szła na chwiejnych nogach, odziana w zniszczoną zbroję, obejmując ramieniem Gene'a, który sam nie czuł się zbyt pewnie. Otoczył ich tłum żołnierzy, jakieś głosy docierały do zmęczonych uszu rozbitków, ale nie odróżniali poszczególnych słów. Wycią-

gnięto na brzeg Marzę; spoglądała na wojowników Nanich nieprzytomnym wzrokiem. Na końcu wysiadł Yanuk. Ludzie napierali na niego, gapiąc się wytrzeszczonymi oczami. On również, choć zmęczony, przypatrywał się im z zainteresowaniem.

Wysoki mężczyzna wydał głośno jakieś rozkazy. Podniósł Siwarę jak dziecko i przeniósł ją przez tłum. Za nim postępowali dwóch żołnierzy, podtrzymujących Gene'a. Potem szła Marza, przypominająca niezbyt urodziwą żywą kukłę. Pochód zamykał Yanuk. Jego znu-

żenie było raczej umysłowe niż fizyczne, więc nie potrzebował niczyjej pomocy.

Minęli barykady i dotarli do bulwaru. Jolaise było rzeczywiście białym miastem, jego kamienne budowle ozdabiały liczne rzeźby.

Szeroką ulicą nadjeżdżał wóz pełen żołnierzy. Ciągnęły go zwierzęta, które mogły być (lub nie) końmi; bardzo przypominały także renifery. Mężczyzna niosący Siwarę wszedł na jezdnię, zatrzymał pojazd, krzyknął do wojowników, by wysiedli, bo oto stoją przed swoją władczynią.

Kiedy Siwara, a razem z nią Gene, Yanuk i Marzą, znaleźli się już na wozie, księżniczka zapytała:

– Mordin, czy zabierasz mnie do pałacu?

Przytaknął jej.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Chcę jechać do domu Kasela. To wysoki budynek i stoi bliżej morza, z dachu będziemy mogli wszystko obserwować. Czy wyznaczyłeś kogoś na swoje miejsce? Dobrze.

Chcę, żebyś pojechał z nami. Mam pewien plan, który pragnę zrealizować, kiedy ludzie z Kof będą próbowali wkroczyć do naszego miasta. Gdzie stacjonuje Baili? I Gorm, i Raigal?

Żołnierz dał znak woźnicy. Wóz zaturkotał na brukowanej jezdni.

– Nie żyją, księżniczko. Gorm i Baili zostali otruci. Raigala znaleziono w rzece martwego.

– Agenci Froara – powiedziała głośno sama do siebie. – Mordin, co uczyniłeś, aby bronić innych miast na wybrzeżu?

Gene siedział oparty o bok wozu, przysłuchując się rozmowie. Marza bawiła się swoim bożkiem,

jakby to była lalka, a ona sama wydawała się małą dziewczynką, udającą matkę.

Yanuk nasłuchiwał zadowolony.

Mordin westchnął.

– Posłańcy rozjechali się do miast i wiosek, aby ściągnąć posiłki do nas, a na miejscu pozostawić jedynie podstawową załogę. Tylko w Alu i Szangar są większe armie. Parę statków patroluje wybrzeże aż do Czarnej Góry.

Skinęła z aprobatą.

– Zrobiłeś wszystko, co tylko było możliwe.

Z dachu domu Kaspela spoglądali ponad budynkami w stronę morza. Bitwa wciąż trwała. Statki przypominały małe, ciemne owady, zgromadzone wokół okruchów jedzenia.

Przesłaniał je ogień i dym, zamazując kontury.

Marza była gdzieś na dole pod troskliwą opieką kobiet. Rany Gene'a opatrzone, a tę na policzku zszyto. Księżniczka, chociaż blada, wyglądała prześlicznie w sukni przyniesionej z pałacu. Jej zbroja leżała na pobliskiej sofie.

Yanuk, na prośbę Siwary, opuścił swoje miejsce obok jednej z bogato rzeźbionych kolumn, które podtrzymywały markizę na dachu. Księżniczka siedziała pochylona nad stołem, trzymając w dłoni pędzelek, obok stał kałamarz. Gene, Mordin i pozostali wodzowie spoglądali na kartkę papieru.

dali na kartkę papieru.

– To jest mapa – powiedziała dziewczyna do Yanuka. – Plan Jolaise. Jak widzisz, rzeka dzieli miasto na dwie części. My jesteśmy tutaj, na prawym brzegu. Po drugiej stronie są głów-

wnie fabryki. Tu są mosty.

Pędzelkiem zaznaczyła coś na sztywnym papierze.

– Dzielnicę przemysłową Jolaise otacza mur. Tutaj oraz od morza do samej rzeki ciągną się strome skały pochodzenia wulkanicznego. Ludzie Kof nie mogą tędy przejść, z wyjątkiem jednego miejsca, które jest jednak dobrze strzeżone.

Oznacza to, że wróg będzie próbował dostać się do miasta od strony morza. Podpalimy nabrzeża! Magazyny są w równej linii z wodą, czyli nie będą mogli wkroczyć tędy do miasta.

W tej sytuacji będą się starali podpłynąć w górę rzeki. I tu wkroczysz ty, Yanuku, ze swoimi zaczarowanymi płomieniami.

Jak widzisz, rzeka nie jest zbyt szeroka. Czy jesteś w stanie stąd dokonać swej sztuczki

– i stworzyć na wodzie iluzję płonącej ropy? Będą musieli się wycofać, a w tym czasie statki patrolujące wybrzeże dotrą do portu i utworzą na morzu zaporę. Okręty Kof dostaną się w pułapkę: będziemy mogli je podpalić. Mamy szansę wygrać, przyznaję, że niezbyt dużą, ale zawsze to coś. Pomożesz nam?

Yanuk w geście protestu uniósł dłoń do skroni.

– Siwaro, nie zdajesz sobie sprawy, ile trudu kosztowało mnie stworzenie efektu pożaru na statku. Oczywiście, postaram się wam pomóc, ale nie wiem, jak długo będę w stanie robić te sztuczki. Obiecuję, że uczynię, co będę mógł.

Nikt nie wspomniał klejnotu Orchera, chociaż wszyscy o nim myśleli. Gdzie mógł być i co się z nim stało? Czy Erlich planował zabrać go do Kof? Czy też wrzucili go do morza? A może go rozbili i Orcher zlekceważył sobie wezwanie?

Zmierzchało. Spoglądali na morze, a Siwara obejmowała Gene'a. Płonące statki przypominały żłowrogie, czerwone gwiazdy. Okręty Kof zbliżały się do portu.

– Rozbili moją flotę – powiedziała bezbarwnym głosem. – Nadpływają! Yanuk, czas, abyś zaczął się przygotowywać.

Gdyby zbroja Yanuka była zielona, wyglądałaby jak część jego łuskowatego ciała.

Poklepał się po niej z dumą i skinął głową.

– Idę nad rzekę. Im bliżej pożaru się znajdę, tym lepszy będzie efekt.

Gene odsunął się od Siwary.

– Idę razem z nim. Moje ramię nie jest aż w tak złym stanie, żebym zupełnie nie mógł walczyć.

Ale księżniczka przyciągnęła go do siebie.

– Zostaniesz tutaj.

– Nie – powiedział. – Nanich jest teraz moją ojczyzną i muszę za nią walczyć. Będą inni, ciężiej ranni, którzy mimo to nie zrezygnują z dalszej walki. Wiedząc o tym, nie mogę spokojnie obserwować wszystkiego z dachu.

Westchnęła i pocałowała go, nie zważając na obecność innych.

– Jak chcesz, Gene, ale idę z tobą. Będę równie bezpieczna tam, jak i tu. Jeżeli czary Yanuka zawiodą – zwróciła się do generałów – w całym Nanich nie będzie bezpiecznie.

Pomogła Gene'owi nałożyć pancerz, a potem ją również zamknęto w zbroi. Ktoś przyniósł Gene'owi

hełm, Siwara swój założyła wcześniej. Opuścili dach i zeszli schodami na dół.

Na ulicy Siwara po kolei uścisnęła wszystkim dłonie.

– Jesteście wszyscy tacy dzielni – powiedziała cicho i niewyraźnie. – Nie potrafię powiedzieć, co zrobiłabym... ale sami najlepiej wiecie, co czuję.

Uśmiechnęła się mimo łez, które napłynęły jej do oczu, i westchnęła, spoglądając na budynki Jolaise.

– Nanich jest wspaniałe. Miejmy nadzieję, że kiedyś znowu takie będzie. Być może to jest nasze pożegnanie.

Wsiadła razem z Gene'em i Yanukiem do wozu, który miał zawieźć ich nad rzekę. Za nimi podążał oddział pieszych.

Znajdowali się na dachu magazynu, którego pozbawione okien ściany dotykały bezpo-

średnio wody. Za głębokim strumieniem majaczyły niewyraźnie białe fabryki. Była noc; oświetlały ich jedynie migoczące pochodnie i płomienie lamp.

Statki Kof dotarły do portu, płynąc wolno wzdłuż brzegu, nie mogąc nigdzie znaleźć miejsca do zacumowania. Powietrze wypełniała błękitna mgła i dym z płonących nabrzeży.

Stopniowo okręty zbliżały się do rzeki. Yanuk pozwolił trzem z nich wpłynąć, zanim zasłona sztucznego ognia przegrodziła wodę.

Płonące pociski bombardowały osaczone statki nieprzyjaciela, wielkie kamienie wyrzucane z katapult rozbryzgiwały fale. Statki nie mogły zacumować; zostały pokonane i poszły z dymem. Na wodzie widniały ciemne głowy rozbitków. Niektórym udało się dotrzeć do brzegu, gdzie zostali pojmani. Trzy statki Kof zostały zniszczone.

Magiczne płomienie Yanuka zniknęły. Pułapka znowu była otwarta. Czekali. Rybopodobne stworzenie wyglądało tak, jakby z jego głową było coś nie w porządku. Kolejne trzy statki wpłynęły w górę rzeki. Z tyłu podążał czwarty, ale zatrzymały go płomienie Yanuka. I te okręty podzieliły los swoich poprzedników.

Wzdłuż wybrzeża rozgorzała bitwa. Kilku statkom udało się staranować magazyny i przepchnąć się przez wysokie mury, ale przy okazji same uległy zniszczeniu. Woda tutaj nie była głęboka. Z okrętów, które staranowały zabudowania, wyskakiwali ludzie i gramolili się na gruzy, by walczyć o zdobycie składów; czasami nawet zwyciężali. Przyłączały się do nich kolejne grupy żołnierzy i wyglądało na to, że Kof posiada niewyczerpane zastępy wojowników.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu, jakby nie chciał opuszczać tak interesującego widowiska. Siwara i Gene pili środki wzmacniające, pojąc nimi również Yanuka w chwilach, kiedy odpoczywał. Kompletnie osłabł, jego wyłupiaste oczy budziły litość, coraz częściej pocierał dłonią czoło. Aż w końcu jego ognista zasłona zrobiła się przejrzysta, by po chwili zniknąć całkowicie. Padł nieprzytomny.

Walki toczyły się na ulicach. Z dołu dobiegały krzyki ludzi i szczęk stali. Gene i Siwara próbowali ocucić nieprzytomnego Yanuka, zwilżając mu skronie i masując czoło. Niestety, bezskutecznie.

Usłyszeli gwałtowne walenie do zamkniętych drzwi. Gene i paru żołnierzy zbiegło po schodach z mieczami gotowymi do walki.

Rozległ się zgrzyt rygli u metalowych podwoi; uderzenia tarana były ogłuszające. Pod naporem uderzeń drzwi wyginały się do środka. W pewnej chwili z kamiennej obudowy wy-

łamał się zawias i upadł z brzękiem. Drzwi puściły, a nieprzyjaciel wdarł się do środka.

Gene ledwo zdołał raz zamachnąć się mieczem i padł pod naporem tłumu, przyparty do ściany przez dziesiątki stóp. Żołnierze Kof zalali całe schody, kierując się na górę, tam, gdzie była Siwara.

Nanich walczyło dzielnie. Każdy dom stał się fortecą, a kobiety, dzieci i starcy walczyli tym, co znaleźli pod ręką. Ale coraz to nowi żołnierze Kof nadciągali ze statków, połączonych razem tak, że utworzyły w porcie most pontonowy. Flota nadbrzeżna Nanich nie nadpływała.

Kof drogo zapłaciło za swoje zwycięstwo. Napastnicy zdobywali barykadę za barykadą i kolejne domy-cytadele. W końcu, kiedy zapadł kolejny zmierzch, szary od ciężkich chmur, państwo Nanich, pobite, musiało się poddać. Flota przybrzeżna nie pojawiła się, rozgromiona przez statki Kof.

Nanich zostało zwyciężone. Co mogło być podpalone, płonęło. Dymy unosiły się do nieba niczym potężne kolumny. Żołnierze Kof patrolowali ulice.

Nanich i wszystko, co się z nim wiązało, przestało istnieć.



# XVI

Ulicami prowadzono pojmanyh. Wlekli się przy wtórze ostrych dźwięków rogów i głuchego dudnienia bębnow. Szli wzdłuż białych domów, poczerniałych nad drzwiami i oknami od dymu pożarów, które strawiły wnętrza budynków. Jeńcy mijali milczące tłumy rozbrojonych mieszkańców Nanich, oddziały żołnierzy Kof, wysokie stosy zabitych. Podążali szeroką aleją prowadzącą na wzgórze, do pałacu Siwary.

Wśród nich znajdował się Gene. Szedł na chwiejnych nogach, brudny, przygnębiony, z oczami utkwionymi w ziemię. Gdzie była Siwara? Uniósł wzrok na nieruchomych obserwatorów, ale nie ujrzał wśród nich księżniczki.

Tłum podjął kilka prób, aby oswobodzić pojmanyh, ale zostały one szybko stłumione przez żołnierzy Kof. Kolejne ciała rzucone na stosy poległych i przemarsz więźniów kontynuowano.

Ogrody pałacowe nosiły ślady ognia i licznych stóp. Na murawie rozstawione były oddziały żołnierzy Kof. Erlich siedział na tarasie, obok niego stał Dann.

Jeńców po kolei stawiano przed obliczem Erlicha. Uśmiechał się do nich łaskawie, ale jedyne słowo, które padało z jego ust, brzmiało: „śmierć”.

Kiedy przyprowadzono Gene'a, wysunął do przodu głowę, przypatrując mu się uważnie.

Nagle twarz mu się rozpromieniła; rozpoznał jeńca.

– Ten człowiek też ma umrzeć, ale niech to będzie powolna śmierć – powiedział uprzejmie.

Nie było już więcej więźniów, Erlich wstał. Klejnoty Siwary – miał ich zbyt wiele, by nosić wszystkie na raz – połyskiwały matowo w szarym świetle, jakby ich blask zgasł razem z upadkiem Nanich. Erlich uniósł rękę i mruknął coś do otaczających go ludzi. Podniósł dłoń wyżej, zwracając się do zgromadzonych.

– Jolaise, klucz do Nanich, należy do nas! Tym samym Nanich należy do nas, stało się kolonią Kof.

Kontynuował przemówienie dziękując żołnierzom za wysiłki i wychwalając dosyć wątpliwie zalety Kof, a jego piskliwy głos brzmiał radośnie. Gene nie słuchał, stał między innymi skazanymi na śmierć i czekał.

Żołnierze Erlicha wyprowadzili z pałacu Siwarę, niosąc również... talizman! Oczy dziewczyny, utkwione w twarze więźniów, dostrzegły Gene'a i przywarły do niego; przepelniał je ból. Erlich schwycił dziewczynę za ramię, popchnął w stronę tłumów i zaczął z niej szydzić.

A więc sądziła, że zwycięży Kof! Była głupia, a nawet gorzej – użył nieprzyzwoitych słów, zaś tłum

zaczął gwizdać i syczeć.

Wstrząsnęło to Gene'em. Twarz wykrzywiła mu się wściekłością; chciał rzucić się do przodu, lecz zatrzymało go uderzenie bata. Nie mógł podnieść swego zranionego ramienia, ale zdrową ręką chwycił za ramię. Mężczyzna puścił batog i zbliżył się do więźnia. Płazem miecza uderzył go w ramię i zdrętwiałe palce puściły bat.

Siwara dumnie zносиła drwiny ludzi. Próbowwała coś powiedzieć, ale jej słowa zagłuszał gwar. Erlich odepchnął dziewczynę i rozkazał ludziom, by unieśli klejnot. Chociaż nie było słońca, w którego promieniach mógłby rozblysnąć w pełni, błękitny talizman Orchera jasno połyskiwał. Oczy Erlicha rozkoszowały się tym widokiem. Mimowolny szmer podziwu przebiegł przez tłum, kiedy uniesiony do góry klejnot zamigotał jak garść lazurów gwiazd.

Siwara postanowiła działać. Zaczęła błagać trzymającego ją mężczyznę:

– Puść mnie! Pozwól mi błagać Erlicha o łaskę!

Strażnicy oswobodzili ją – czyż mogła im jeszcze zaszkodzić? Podbiegła do Erlicha, padła na kolana, wyciągając błagalnie ręce. O klejnocie zapomniano, zgromadzeni wykrzykiwali drwiące uwagi.

Siwara nie podeszła do Erlicha, by prosić o litość. Znalazła się teraz blisko strażników trzymających kamień. Nagle zrobiła gwałtowny obrót i złapała jednego z nich za nogę. Nie przewróciła mężczyzny, ale go zaskoczyła i skupiła uwagę żołnierza na swojej osobie. Opu-

ścił rękę, by odepchnąć księżniczkę i wtedy ciężki klejnot wysunął mu się z dłoni. To spowodowało, że pozostali również stracili równowagę i kamień upadł na ziemię.

Nie roztrzaskał się na kawałki, jedynie pękł. Strażnicy podbiegli do księżniczki i odciągnęli ją do tyłu. Gene zrobił krok do przodu, ale został odepchnięty...

Ze szczeliny w klejnocie zaczął wydobywać się blady obłok mgły. Wił się do góry leniwie, jak smuga połyskliwego, niebieskiego dymu, nic sobie nie robiąc z odzianych w zbroje mężczyzn. Unosił się, jakby wspinając się szczebel po szczeblu po niewidzialnej drabinie coraz wyżej, prosto do nieba.

Erlich skrzekliwie wykrzykiwał przekleństwa pod adresem Siwary i wydawał rozkazy swym ludziom. Nagle przerwał w pół słowa i przechylił głowę, obserwując unoszącą się smugę błękitu. Wśród zebranych tłumów zaległa cisza. Wszystkie twarze zwróciły się do góry; Gene również uniósł wzrok.

Na samym końcu słupa dymu pojawiła się iskierka. Niebieska iskierka, która potężniała w miarę opadania w dół po błyszczącej smudze. Nie było słyhać żadnego dźwięku, ale w ciszy wyczuwało się tony melodii – jak wtedy, kiedy przebrzmiały ostatnie akordy muzycznego arcydzieła.

Gene rozpoznał ten nieokreślony kształt błękitnego ognia, który tak gwałtownie się powiększał; był to

Orcher! Ale ludzi z Kof ogarnęła panika. I kiedy drżące kontury obcej istoty dosięgły ziemi, rozbiegli się przerażeni, napierając na siebie nawzajem, tarasując jeden drugiemu drogę, tratując tych, którzy padli, na krwawą miazgę. Zapomniano o Siwarze, Erli-chu i Dannie. Gene nie mógł oswobodzić związanych rąk, ale zaczął się przepychać, aż dotarł

do księżniczki.

Orcher unosił się nad tłumem niby drżąca plama ognia i wydawało się, że wypełnia całe niebo. Dźwięk jego głosu rozdarł przestrzeń, powodując gwałtowne podmuchy powietrza.

– Kof napadło na Nanich! Władcy Kof wywołali wojnę. Są niezwykle wojowniczym plemieniem. To świetnie! Pokażę im teraz, jak się walczy!

Niewyraźne kontury Orchera zmieniły się; stopniowo wynurzyło się z nich coś jakby głowa, ramiona i nogi. Brzmienie jego głosu nie było dostosowane do ludzkich uszu. Erlich uciekł, a za nim Damm. Może schronili się w pałacu. Pierzchający tłum kierował się w stronę wody, budynków, gdziekolwiek, byle tylko uciec od otwartych przestrzeni ogrodów Siwary.

Tylko Gene i księżniczka pozostali, dziewczyna obejmowała ukochanego; w jej oczach malował się niepokój, ale nie strach.

– Tak – zwrócił się do nich Orcher. – Pokażę teraz wszystkim, jak się walczy.

Jego potężna postać przepłynęła nad ogrodem.

– Na przykład tak! – powiedział.

Powietrze rozdarł głos trąbki, na której na pewno nie grał żaden człowiek. Można było dostrzec pulsowanie powietrza, spowodowane wibrującym dźwiękiem.

W całym podbitym mieście poruszyły się stosy padłych w boju żołnierzy. Ciały staczały się koziółkując lub wolno poruszały się na leżąco, unosząc sztywne ręce, rozprostowując nogi. Gramoliły się i stawały, przypominając kukły o ludzkich kształtach, kierowane za pomocą niewidzialnych sznurków. Zamknięte oczy otwierały się, patrząc wkoło szklanym wzrokiem.

A żyjący spoglądali na to wszystko przejęci trwogą.

Zwłoki powstały i ustawiły się w szeregi. Nie miały broni, ale ich ręce zagięły się niby szpony. Trupy skradały się skulone, czujne, zataczając koła, szykując się do skoku niby zwinne pantery.

Ruszyły do ataku! Makabrycznie wyglądała ta walka trupów! Rzucały się na siebie, rozrywając ubrania, rozdrapując ciała, ale z ich ran nie płynęła krew. Zabici nie mogli też umrzeć po raz drugi. Z obnażonymi kośćmi, wyłupanymi oczami nie padali, trwając w boju.

Oszalali ze strachu żywi cofnęli się w popłochu.

Orcher wybuchnął nagle ogłuszającym śmiechem. Jego sylwetka zadrżała, promienie światła

rozproszyły się, płynąc leniwie nad miastem. Dotykały walczących trupów, formowały je jak palce rzeźbiarza kształtując glinę. Zgniatały ciała, wykręcały je i wygładzały.

Oto na ulicach pojawili się giganci, bezgłowi wojownicy, utworzeni z ciał martwych żołnierzy. Macki Orchera dotykały walczących ze sobą olbrzymów; niektórzy łączyli się ze sobą, tworząc monstra o wielu rękach i nogach.

Giganci mocowali się ze sobą i rozszarpywali nawzajem; chwiejnym krokiem kroczyli po ulicach, zataczając się podczas walki na ściany domów, a Orcher znowu ich przekształcał.

Z walczących w małych grupkach zbudował tytanów, którzy rozdeptywali małe domki, burząc je niby papierowe pudełka, gdy tak kroczyli na oślep przez miasto w poszukiwaniu przeciwników.

Mocarne istoty porywały fragmenty murów i miotały nimi niczym kamykami, wymachiwały niezliczonymi ramionami, wyrywały sobie nawzajem kończyny i wyrzucały je w powietrze.

Orcher zaśmiał się znowu. Wszystkie olbrzymy zwały się na siebie; siła uderzenia przypominała pęknięcie napiętej skóry bębna. Monstra zlały się w potwora, który w niczym nie przypominał ludzkiej istoty, raczej pająka zbudowanego wyłącznie z nóg i rąk. Stał

wyprostowany, wymachując odnóżami, splątując je i rozplątując, i ruszył w stronę morza, ostrożnie wybierając drogę między budynkami, uważnie krocząc ulicami. Dobrnął do przystani, wzniecając fale, które zalały brzeg, i zaczął bawić się statkami Kof.

Chwytał je delikatnie dwiema mackami i niszczył, a szczątki spadały do morza. Uniósł

dwa okręty, zgniół je jak orzechy i zmiażdżył. Posuwał się od statku do statku, wzburzając morską toń i zatapiając flotę kołyszącą się na falach.

Ulice opustoszały. Wszyscy stłoczyli się w domach, osłupiali ze strachu, patrząc przerażonym wzrokiem, z pobladłymi twarzami. Usłyszeli krzyk Orchera:

– Wysyłam swego posłańca do Kof. Tam dokona tego samego, co tutaj.

Siwara padła zemdlona. Gene leżał obok niej z twarzą zwróconą ku Orcherowi.

Niebieski ogień oddalił się od pałacu i zawisł nad morzem.

– Jeszcze z wami nie skończyłem – dodał drwiącym tonem. – Nauczę was, jak prowadzić wojny!

W swej pasji przybrał niemal ludzkie kształty. Przypominał kolosa z błękitnej poświaty.

Wyciągnął ramię i chmury spiętrzyły się jak za podmuchem cyklonu. Zaczęły walić z nich kuliste pioruny. Orcher łapał świetliste kule i zonglował nimi, miotając błyskawicami w miasto i pobliskie wzgórza. Chwycił otaczające go języki płomieni i utkał z nich sieć, którą zarzucił na chmury, by złowić w nią wijące się języki kolorowych ogni. Chwytał je po kolei, szybko formował i układał

jeden na drugim, budując gród jak z bajki. Jego głos uderzał w podbite miasto jak dźwięcząca fala.

– A więc zachciało wam się wojny, słabe stworzenia! Ale czy potraficie to zrobić? Albo to? A może to? W takim razie cóż wy potraficie i cóż możecie osiągnąć dzięki wojnie? Niektórzy z was pragnęli władzy, ale czym ona jest w porównaniu z moją? Czy możecie się ze mną zmierzyć? Czy ktokolwiek z was, a może wszyscy, chce popробować?

Miasto z płomieni rozsypało się i zniknęło. Kuliste pioruny rozbłyskiwały na całym niebie. Zaczął padać deszcz, który wkrótce przemienił się w ulewę. Padające krople rozpryskiwały się na chodniku wokół Gene'a i księżniczki, tworząc drobinki dżdżu, które formowały mgłę. Ocknęli się, gdy mokra odzież oblepiła im ciała. Orcher unosił się nad morzem.

W szalejącym huraganie Gene uklęknął, a następnie się podniósł. Siwara odzyskała zmysły i wstała, przywarła do jego skulonej od podmuchów wiatru postaci i coś krzyknęła, ale nie usłyszał, co. Wskazała palcem, chociaż wiatr wykręcał jej rękę. W porywach wichru dotarli do pałacu. Strzelił piorun i obojgu wydawało się, że to nad ich głowami.

Ludzie przywarli do murów jak cienie. Erlich potykając się podbiegł do Siwary i Gene'a.

– Powstrzymajcie te czary! Zawróćcie z Kof tego potwora! Podpiszemy pokój na każdych warunkach...

Gene potrząsnął głową.

– To nie czary. I nie umiemy tego powstrzymać.

Znajdowali się w pustym przedsionku pałacu. Siwara ruszyła strudzonym krokiem do obszernej sali o posadzce wypolerowanej jak lustro. Szyby w wysokich oknach roztrzaskał

wiatr, gobeliny na ścianach falowały, przypominając tańczące duchy. W środku było mroczno; wchodzących oślepiła nagła błyskawica.

W rogu sali, gdzie nie docierał wiatr, ujrzeli wodę.

Orcher wracał, nie zważając na kuliste pioruny. Odpychał je, jakby były natrętnymi owadami. Wody zatoki zrobiły się szare od piany.

– Powstrzymajcie go! – krzyknął Erlich. – Dostaniecie wszystko, czego tylko chcecie, tylko powstrzymajcie go!

Jednak ani Gene, ani księżniczka nie odpowiedzieli. Erlich padł przed nimi na kolana, ale nie zwracali na to uwagi, utkwivszy zafascynowany wzrok w olbrzymie fale nadpływające w stronę miasta. Erlich upadł, płacząc i zatykając sobie uszy rękami...

# XVII

Orcher odszedł; huragan ucichł. W Nanich znowu zapanował spokój.

Ludzie wypełzli z kryjówek, oglądając w milczeniu zniszczone budynki i szczątki floty Kof, unoszące się na wodzie. Jedyne okręt Siwary kołysał się nietknięty. Było wykluczone, by ocalał przed mściwym potworem Orchera i morskimi falami przypadkowo.

Ludzie chodzili po mieście, jakby zostali przeniesieni w obce miejsce i próbowali się w nim odnaleźć. Przyglądali się sobie bez słowa, a oczy mieli pełne wspomnień tego, co się wydarzyło. Odwracali się od siebie, ich ciałami wstrząsały dreszcze.

Nie byli to wyłącznie mieszkańcy Nanich. Wśród zebranych znajdowali się również wojownicy Kof.

Na ulicach nie było zabitych, których można by pogrzebać i opłakiwać. Wszyscy polegli złożyli się na ostatnie, szalone dzieło Orchera, które zniknęło nad wodą, kierując się ku Kof.

Zagubieni niedawni triumfatorzy stali na osmalonym nabrzeżu, wpatrując się w morze.

Wyglodniali, zaczęli tworzyć małe grupki i grasowali po mieście. Paru ponurych i milczących żołnierzy wdarło się do domu, gdzie kobieta karmiła swoje dzieci. Porwali chleb, owoce i wino i wycofali się, jedząc łączywie. Przerażone dzieci schowały się za matkę.

Kobieta nie okazała napastnikom gniewu.

– Mogliście poprosić o jedzenie – rzekła znużonym głosem. – Podzielilibyśmy się z wami tym, co mamy. Czy po tym, co widzieliście, ciągle uważacie, że możecie po prostu zabierać wszystko, na co macie ochotę?

Przestali jeść i zawstydzeni spuścili wzrok na podłogę. Potem chyłkiem podeszli do stołu, położyli resztki jedzenia i zmieszani wymknęli się z domu.

Na ulicy natknęli się na kompanów, którzy doświadczyli podobnego traktowania. Przywołując innych, szeptali coś między sobą. W końcu cały tłum wojowników Kof skierował się w stronę pałacu Siwary na wzgórzu.

Mieszkańcy Nanich, uprzątający gruz na ulicach, unosili wzrok, potrząsali z dezaprobatą głowami i powracali do swego zajęcia. W końcu któryś z nich zapytał:

– Dokąd idziecie?

Jeden z żołnierzy odparł:

– Do pałacu waszej księżniczki, poprosić o jedzenie! Nie możemy wrócić do siebie.

Musimy coś zjeść!

Mieszkaniec Nanich zaśmiał się gorzko.

– Żebracy z Kof! Jakie to uczucie, zostać zwyciężonym? Głodujcie sobie! Zdychajcie!

Czemu to księżniczka ma się wami przejmować?

Paru wojowników Kof zatrzymało się, w oczach ich pojawiła się nienawiść. Wtem słońce przesłoniła chmura, rzucając na ulicę cień. Wszyscy – i ludzie z Nanich, i żołnierze Kof – odruchowo unieśli wzrok. Spojrzeli do góry, a twarze poblądły im ze strachu. Była to jednak tylko chmura, a nie Orcher.

Po długiej chwili mieszkaniec Nanich rzekł nieśmiało:

– Wybaczcie i wstąpcie do mnie do domu, mam trochę jedzenia. Porozmawiam też z sąsiadami. Zaopiekujemy się wami.

W pałacu Siwary księżniczka i Gene naradzali się z Dannem, Erlichem i innymi. Stół zasłany był papierami. Stały też kałamarze i pędzelki, którymi bawili się dyskutujący.

– Możemy mieć dwóch królów, jednego w Nanich, jednego w Kof – powiedział wolno Dann. – Mogą wymieniać się władzą: rok tu, rok tam, nie będzie wtedy nieporozumień między obu krajami.

– A po co w ogóle królowie? – zapytał Gene. – Czemu nie mają to być przedstawiciele narodu, wybierani na krótkie kadencje przez ludność? Wtedy, jeśli władza dostanie się w niewłaściwe ręce, rządzący będą odpowiadali przed samym narodem. I czemu dwa królestwa?

Nie lepiej dwa stany jednego państwa?

Zaczęli się nad tym zastanawiać, gdy nagle do Siwary podbiegł sługa.

– Księżniczko! Mnóstwo ludzi zdążyło w stronę ogrodów na wzgórzu! Zdaje się, że to mieszkańcy Kof. Coś wykrzykują i wymachują rękami.

Siwara wstała i zmarszczyła brwi.

– Czyżby już zapomnieli Orchera?

Wychodząc z sali, skinęła na Gene'a; pospieszył za nią, a wraz z nim pozostali.

Przez duże okno, wychodzące na miasto, obserwowali zbliżający się tłum. Kiedy mogli już rozróżnić twarze nadchodzących, dostrzegli, że nie było na nich gniewu, a wprost przeciwnie – szalona radość. Zaczęli też rozróżniać słowa, które wykrzykiwali nadchodzący ludzie.

– Kof się zbuntowało! Kof się zbuntowało!

Ciżba zatrzymała się w ogrodach, a tylko trzech mężczyzn weszło do pałacu. Księżniczka wraz z towarzyszącymi jej osobami przyjęła delegatów przy zasłanym papierami stole.

– To prawda, Kof zbuntowało się – powiedział jeden z przybyłych. Zachowywał się nieco niezgrabnie, onieśmielony splendorem wytwornej sali. – Właśnie stamtąd przybywamy.

W mieście pojawił się potwór... niszcząc, zabijając i paląc... – Wzdrygnął się na samo wspomnienie, unosząc drżącą, muskularną rękę do ust i zamilkł, przypominając sobie niedawne wydarzenia. – Był to twój czarodziejski potwór, księżniczko. A my powstaliśmy przeciwko naszym panom. Twoje czary są potężne, tobie chcemy więc służyć.

Siwara uśmiechnęła się i opiekuńczo położyła mu dłoń na ramieniu.

– Omawiamy nowy system sprawowania władzy. Czy jesteś głodny? Zmęczony? Nie?

W takim razie przyłącz się do nas, może też będziesz miał jakieś sugestie.

Mężczyzna rozejrzał się po twarzach zebranych ludzi, a w jego oczach zabłyśł strach.

Na widok Erlicha i Danna zacisnął usta.

– Jeżeli oni mają brać udział... – zaczął nieufnie.

Dann podszedł do niego.

– Nie jesteśmy już tacy jak przedtem – odezwał się zakłopotany, oblizując wargi. – Nie pretendujemy do władzy. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, tak jak ty – z uśmiechem wyciągnął

rękę. – Twój głos jest równie cenny, jak nasze.

Delegat zbuntowanego Kof ze ściśniętym gardłem podał Dannowi dłoń i szybko ją cofnął. Potem usiadł na brzeżku wielkiego, rzeźbionego krzesła, które wskazała mu Siwara, z czcią dotykając bogatych ozdób.

Dann powrócił na swoje miejsce. Siwara uniosła kartkę papieru i przebiegła wzrokiem tekst.

– Czy możemy kontynuować?

Zapadła noc. Miasto, przyozdobione lampkami zawieszonymi na drutach wyglądało odświeżenie. Ludzie tłoczyli się na ulicach, wchodząc i wychodząc z domów, na których widniały napisy, informujące: „Głosujcie tutaj”.

Siwara i Gene szli, trzymając się za ręce. Ludzie na ich widok milkli i odsuwali się, najwidoczniej z obawą. W oczach poddanych nie było ani śladu życzliwości. Księżniczka razem z Gene'em weszła do jednego z lokali wyborczych i wszyscy tłoczący się mieszkańcy Nanich zamarli w bezruchu, jakby wkroczył czarny anioł śmierci.



Gene i dziewczyna popatrzyli po wrogich twarzach.

– Boją się nas! – mruknęła Siwara. – Gene, nigdy już nie będzie tak, jak dawniej, nigdy już nie będą mnie kochali.

Wyszli, a ich pojawienie się na ulicy znowu uciszało rozbawione tłumy. Wrócili do pa-

łacu i poszukali Yanuka. Był w swoim apartamencie, ubranie miał powalane błotem, pracowicie modelował z gliny jakieś dwie olbrzymie konstrukcje. Z pewnością nie były przeznaczone, by biegać sobie wokół, jak to robiły przedtem gliniane laleczki. Miały ponad dziesięć metrów długości i przypominały raczej mosty. Każdy z nich posiadał trzy podstawy i grube prę-

śła. Ale wzdłuż glinianych łuków widniały... ludzkie ręce, rozmieszczone z matematyczną dokładnością.

– Yanuk, co robisz? – spytała Siwara.

Czarownik uniósł wzrok i spojrzał smutno.

– Dzięki temu będę mógł powrócić na swoją wyspę, jeśli dacie mi statek. Mam dosyć Nanich, Siwaro. Ludzie mnie nienawidzą i sądzą, że chcę ich skrzywdzić. Myślałem, że będę szczęśliwy, że w końcu będę miał przyjaciół! Ale nikt mnie nie lubi, z wyjątkiem ciebie i Gene'a.

Zdrapał glinę z rąk.

– Czemu nie popłyniecie ze mną? Nie jesteś już dłużej księżniczką, Siwaro; nie po tym, co stało się ostatniej nocy. Czy jesteś w stanie żyć jak inne kobiety, prowadząc dom, podczas gdy mąż jest w pracy?

– Nie widzę przyczyny, dla której nie miałabym tego robić – odparła Siwara.

– Ludzie nie będą dla ciebie mili. Będą was traktowali jak odmieńców.

– Możemy pojechać do innej części Nanich, gdzie nas nie znają – dodał Gene.

Ale Siwara potrząsnęła głową.

– Nie, Gene. Jestem znana w całym Nanich. Moglibyśmy tylko jechać do Kof.

Ale było widać, że nie jest zachwycona taką perspektywą.

Zamieszkali w pałacu. Pewnego razu odwiedziła ich grupa dygnitarzy. Pokłonili się sztywno Siwarze, z szacunku dla jej dawnej pozycji, ale ze świadomością własnego obecnego statusu.

– Księżniczko Siwaro, jesteśmy reprezentantami narodu... – zaczął jeden z nich. – Przyznajemy, że uczyniłaś wiele dla Nanich i jesteśmy ci wdzięczni. Ale teraz... musisz zrobić coś więcej – uczynił ręką szeroki gest. – Odejdź!

Siwara spojrzała na Gene'a – porozumieli się bez słów.

– Odejdź! – powtórzył przedstawiciel ludu. – Twoja obecność nie jest już nam potrzebna Sprawiasz, że czujemy się wszyscy, że się tak wyrażę, skępowani. Chcemy rządzić mą-

drze. Jeżeli nas nie opuścisz, zawsze będziemy się obawiali, że znudzi cię nowa sytuacja i dla własnych korzyści użyjesz swoich czarów przeciw nam. Tylko odchodząc możesz udowodnić, że naprawdę chodzi ci o dobro Nanich.

– Mają rację – powiedziała Siwara do Gene'a, który bezwiednie obmacywał szramę na policzku. – Czy w takim razie popłyniemy z Yanukiem? Pomyśl tylko o ogrodzie! Będziemy tam szczęśliwi. Czy dacie mi statek? – zwróciła się do delegatów.

Popatrzyli po sobie, naradzając się spojrzeniami. Ich przywódca skinął głową.

– W takim razie, gdy tylko Yanuk będzie gotów, odpłyniemy – powiedziała Siwara.

Kiedy została sama z Gene'em, uniosła rękę.

– Mają rację. Nie możemy tu zostać. Spójrz!

Z czubków jej palców spływała błękitna światłość.

Nie odpowiedział, tylko uniosł własną dłoń – połyskiwała takim samym blaskiem.

Statek umieszczono w doku remontowym. Nabrzeże i ulice, którymi mieli przechodzić, wypełnił szczelnie tłum ludzi, cofających się bez słowa, ze strachem, na widok dwóch glinianych mostów Yanuka, które kroczyły w dół na trzech nogach, a dalej w lektyce niesiono czarnoksiężnika, sądząc po jego zamkniętych oczach, pogrążonego we śnie.

Za nim postępowała Siwara z Genem, a następnie służba obładowana prowiantem na czas rejsu. Pochód zamykała policja nowych władz.

Wkroczyli na pokład. Mosty Yanuka rozciągnęły się wzdłuż ławek dla wiosłarzy, gliniane ręce chwyciły za wiosła i uniosły je. Gene z Siwara stanęli przy sterze, a Yanuk przykucnął przy fokmaszcie, myślami kontrolując ruchy wiosłującej maszynerii.

Odczepiono cumy. Statek odbił od brzegu i skierował się w stronę otwartego morza.

Nie towarzyszyły mu okrzyki pożegnania, życzenia szczęśliwej podróży ani machanie rąk zgromadzonych widzów. Jedynie cisza i ponure twarze.

Księżniczka, którą Gene pocieszająco objął ramieniem, popatrzyła na nich ze smutkiem.

– Będziemy szczęśliwi na wyspie – odezwał się Gene. – Wydaje ci się, że to koniec?

Może tak. Koniec ludzkiego towarzystwa i ciepła. Ale, Siwaro, dla nas to dopiero początek!

Podniósł dłoń, emanującą błękitny ogień, i dziewczyna zrozumiała, co miał na myśli.

– I cóż z tego? – westchnęła. – Lata samotności i starzenia się, zabawy lalkami, jak w przypadku Yanuka!

– Nie – powiedział. – Pamiętasz, co mówił Orcher w świątyni? Jeżeli będziemy się doskonalić, zdobędziemy wszystko. A będziemy się uczyli. Yanuk nam w tym pomoże, a jeżeli Orcher będzie z nas zadowolony, to też nas czegoś nauczy. Pewnego dnia opuścimy wyspę, ale nie na statku, jak teraz. Opuścimy ją, nie skrępowani ludzkimi ciałami, opuścimy ją wolni, by przemierzać Wszechświat na skrzydłach myśli. Wolni, by tworzyć, by niszczyć –

jak bogowie!

Pomyślała przez chwilę i skinęła głową.

– Może nieśmiertelni, tak jak Yanuk. Razem na zawsze!

Siwara spojrzała na Nanich, a jej żal stopniowo nikał.

Statek sunął po morzu, jego wiosła pracowały rytmicznie. Odpływali coraz dalej i dalej.

Dla stojących na brzegu ludzi galera stanowiła już tylko ciemny punkcik na morzu.

Punkcik, który zmniejszał się, aż w końcu zniknął.

Hannes Vajn Bok (2. XII. 1914 – 11. IV. 1964) – amerykański artysta, pisarz i miłośnik astrologii. Uczeń słynnego Maxfielda Parrisha, był i pozostał jednym z najbardziej znanych i cenionych grafików-ilustratorów fantastyki. Jako profesjonalista zadebiutował na okładce magazynu *Weird Tales* w grudniu 1939 roku. Przedtem rysował dla fanzinu Raya Bradbury'ego *Futura Fantasia*. Ogółem HB namalował ponad 150 okładek i do magazynów SF, fantasy i grozy. Ilustracji czarno-białych wykonał setki. W 1953 roku otrzymał nagrodę Hugo (ex equo z Emssem) dla najlepszego „artysty okładkowego”. Przed śmiercią pracował nad serią masek dla celów muzealnych oraz kolorowymi ilustracjami do *Rubajatów* Omara Chajjama. W Polsce ilustrację HB umieszczono na okładce *Stworów ś wiatła i ciemność ci* Zelazny'ego.

W 1967 roku powstała fundacja Bokanalia, której prezesem został Emil Peteja, wieloletni przyjaciel HB, także pisarz SF i fantasy oraz poeta. Nakładem fundacji ukazały się teki dzieł HB, tomiki jego poezji oraz *And Flights of Angels: the Life and Legend of Hannes Bok* (1968) pióra Peteji.

W latach czterdziestych HB pisywał także opowiadania i powieści fantasy i SF do magazynów pulpowych (groszowych). Jest przede wszystkim autorem dwóch powieści fantasy: *Statek czarnoksiężnika* (1943 *Unknown*, wyd. książk. 1969) i „The Blue Flamingo” (1948 *Startling Stories*, wyd.

książk. rozsz. pt. *Beyond the Golden Stair* 1969). Jako wielbiciel twórczości A. Merritta uzupełnił w zasadniczym stopniu początkowe fragmenty dwóch powieści autora *The Moon Pool* (Merritt zmarł w 1943 roku) i w całości zilustrował: *The Black Wheel* (1947) i *The Fox Woman and the Blue Pagoda*

(1946).